

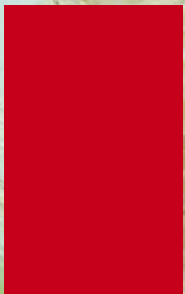
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Ambasador po znajomości •
Wiedzą, że będą gwałcone, a i tak
płyną do Europy • Widziałem
filmiki z kamer Hamasu • Ceny
mieszkań w górę? Pensje też



WYSOKIE OBCASY
Islandia Nikt was,
Polacy, tu nie chce
Jak wybaczyć mamie,
że się mnie wyparła



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

ZBIGNIEW BONIEK

**Dlaczego w Polsce wszyscy
chodzą przygarbieni**

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



1900 stron
FBI
zbiera haki
na Chaplina

**Seks
i biznes**
Żydzi
na Podlasiu



Na Gwiazdkę
aresztowali
mi tatę

**Dywizja
gwałcicieli**
NKWD pacyfikuje
Litwę

Agnieszka
KublikTrzeba ich szybko
zaimpregnować

Gdy w Sejmie przemawiał Krzysztof Brejza, którego władza inwigilowała cyberbronią do ścigania terrorystów – Pegasusem – w TVP Info ubolewano, że przyszły rząd Tuska chce odwołać tzw. ruską komisję, czyli legislacyjnego potworka znanego też jako „lex Tusk”, którego PiS wypichcił, by przed wyborami ugodzić najgroźniejszego przeciwnika zarzutem, że poputczyk, nieświadomy agent, a może i zdrajca.

Nic z tego nie wyszło. Komisja, choć w ostatniej chwili próbuje ukąsić, w zasadzie zdechła. Lecz w TVP Info żal, że nowa władza nie chce wylapać szpiegów, którzy się panoszą w najlepsze (to co robiły specysłużby przez ostatnie osiem lat?), przykrywał powołanie przez nowy Sejm trzech komisji śledczych: kopertowej, wizowej i Pegasusu właśnie.

Brejza mówił tak: „Komisja przywróci znaczenie słowom »prawo« i »sprawiedliwość« oraz da sygnał, jak zabezpieczyć obywateli, żeby tego typu nikczemne działania nie były w przyszłości wobec obywateli Polski podejmowane”.

TVP przygotowuje
wyborców PiS na zderzenie
z faktami w nadchodzących
miesiącach i latach

Widzowie telewizji publicznej tego nie zobaczyli. Bo na jej antenach trwa okopywanie się w urojonej Polsce. Czyli przygotowanie na trudne czasy. Czasy, kiedy wyborca PiS zasiadający przed np. „Wiadomościami” przeżyje szok poznawczy, bo usłyszy, że rządy PiS przyniosły zmianę nie dobrą, jak słyszał przez osiem lat, ale złą. Więc trzeba szybko, nim Tusk obejmie władzę, wyborców zaimpregnować na komisje śledcze, na prokuratorskie akty oskarżenia, na skazujące wyroki. Aby nie nabral wątpliwości albo chociaż nabral jak najpóźniej.

Dlatego w TVP (zupełnie jak w Fox News po przegranej Trumpa) trwa festiwal urojonej prawdy. Tu PiS wygrał i już odniósł sukces – mamy sprawnie powołany nowy rząd Morawieckiego, który ma program na lata. Że to potrwa dwa tygodnie? O tym cisza.

Ale tego, że wkrótce przyjdzie prawdziwy nowy rząd, nie da się zupełnie nie dostrzec. Dlatego na pasku TVP Info pada pytanie: „Zemsta i likwidacja programem koalicji Tuska?”.

Przesyłanie składanych przez PiS rzutem na taśmę projektów ustaw do sejmowych komisji to „blokowanie” i „zamrażanie”. Posłowie PiS już nowy Sejm – choć pracuje od połowy listopada – ochrztili „niemym”, bo marszałek Hołownia nie pozwala im mówić bez trybu. A prowadzenie obrad bez chamstwa – co było zwyczajem pisowskich marszałków – z przestrzeganiem reglamentu i zwyczajnej grzeczności to „show celebryty”. Jakież kontrast z ekipą, która – znów pasek TVP Info – „przez ostatnie osiem lat pokazała, że polityka może polegać na dotrzymywaniu słowa”.

I tak od rana do wieczora. Półki mogą, będą kłaść widzowi do głowy, że PiS ma się świetnie i wkrótce wygra wybory samorządowe – pod warunkiem, że nie da sobie wmówić, że jest inaczej.

TVP przygotowuje wyborców PiS na zderzenie z faktami w nadchodzących miesiącach i latach – tak by je wszystkie z automatu dezawuowali. A posłańców złych wieści – nienawidzili jeszcze bardziej. ●

Londyn

Rock’n’roll dla wyższych sfer



FOT. KIRSTY WIGGLESWORTH/AP

Środa, 29 listopada, słynny dom aukcyjny Bonhams przygotowuje się do corocznej licytacji pamiątek po gwiazdach rocka, popu i filmu. Pracownica Bonhams prezentuje gitarę jednego z braci Gallagherów, liderów Oasis, najsłynniejszego zespołu nurtu britpop, siedząc w fotelu zaprojektowanym dla Beatlesów przez wytwórnię EMI, na tle mozaiki projektu Johna Lennona, która zdobiła ścianę basenu w jego rezydencji.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend *

UG7F3SL

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 2–3.12.2023 r.

Opona zimowa,
czyli cepry driftują na zakopiance

Tegoroczna zima – która już w listopadzie śniegiem i mrozem dała o sobie znać w niemal całej Polsce – może przyczynić się do wprowadzenia obowiązkowej wymiany opon na zimowe. Właśnie zaczęli lobbować za tym górale, bo zima zaskoczyła nie drogowców, ale kierowców, którzy jadą w góry na letnich oponach.

Po pierwszych śnieżcach ustawiły się kolejki do zakładów wulkanizacyjnych w całym kraju. Jak zwykle za późno, bo turyści na letnich oponach zdążyli już zablokować drogi Podhala.

Góralom nie za bardzo wypada narzekać na przyjezdnych ślizgających się po zaśnieżonych drogach, bo wiadomo, że śnieg to goście, a goście to dutki. Chcieliby jednak, by nowy Sejm opracował przepisy nakazujące zmianę opon na zimowe, kiedy tylko chwytą mróz i pada śnieg, bo kierowcy jadący zimą na letnich oponach stwarzają ogromne zagrożenie.



Policja nie może karać za jazdę zimą na letnich oponach. Aspirant sztabowy Roman Wiczorek z Komendy Powiatowej w Zakopanem tłumaczy: – Nie mamy podstaw, bo w polskim kodeksie ruchu drogowego nie ma zapisu o obowiązku zmiany opon.

Kiedy jest właściwy czas na wymianę opon? Eksperti zatrudniani przez zakłady produkujące ogumienie twierdzą, że gdy temperatura w ciągu dnia utrzymuje się w okolicy 7 st. C. Zmiana temperatury wpływa na zmianę twardości opon. Niższa sprawia, że letnie gumy twardnieją i nie zapewniają nam już odpowiedniej przyczepności, a prawdopodobieństwo wpadnięcia w poślizg gwałtownie rośnie. ● Bartłomiej Kuraś

FOT. MACIEK JĄZWIĘCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Andrzej rysuje

Polska poza
Warszawą

Wieś pod Węgorzewem nie lubi Tuska, bo „ludzie po kilka lat wtedy mieli, a teraz mają ponad 30 i wciąż to pamiętają, jak zamknął nam PGR”

Anna Wyrwik w jesiennej powyborczej podróży z Kołobrzegu na Podlasie
► Wyborcza.pl/magazyn

Sztuczna inteligencja. Już po nas?

TYLKO
94
PROC.

ludzi jest bardziej kreatywnych niż AI – i to na obecnym etapie. W badaniu Uniwersytetu Humboldtta większość badanych wypadła gorzej niż słynny ChatGPT-4. A pierwsze agencje reklamowe próbują zastąpić AI copywriterów. To zła wiadomość – dotąd uważano, że wyginą zawody umysłowe sprowadzające się do rutyny i/albo powtarzalnych czynności, jak programiści niższego szczebla, zaś profesje wymagające twórczego, nieszablunowego myślenia są bezpieczne

Więcej ► Wyborcza.pl/jutronauci

FOT. SHUTTERSTOCK

WOJCIECH FANGOR
„M 39”, 1969

Estymacja: 6 000 000 - 10 000 000 zł

DESA
UNICUM

SZTUKA WSPÓŁCZESNA ABSTRAKCJA GEOMETRYCZNA I OP-ART

AUKCJA 7 GRUDNIA 2023, 19:00

Wystawa prac:
25 listopada – 7 grudnia 2023

DESA UNICUM, UL. PIĘKNA 1A

pn. – pt. 11:00–19:00 sob. 11:00–16:00
WSTĘP WOLNY

Zapraszamy do licytacji online i telefonicznych 514 446 892.
Pobierz aplikację DESA Unicum i oglądaj transmisję na żywo.

DESA UNICUM. NAJWIĘKSZA PRYWATNA INSTYTUCJA KULTURY.



Zeskanuj kod QR
i dowiedz się
więcej o aukcji

DESA.PL

Ministerstwo Spraw Zagranicznych po 8 latach PiS

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Hans Holbein Młodszy,
Ambasadorowie, 1533 r.

IMPERIUM WYOBRAŹNI

Wyjeżdżający na placówki nie mają pojęcia o pracy dyplomatycznej,
ambasador nie musi znać języka, dyplomatów mianuje się pocztą pantoflową,
a minister rozmawia z gościem jak przedstawiciel mocarstwa

Krzysztof Jacek Hinz*

Dla tych, którzy rozpoczęli pracę w służbie dyplomatycznej w latach 90., doświadczenia z tamtego okresu były niezwykle. Przed 1989 rokiem nie mogliśmy nawet marzyć, że za naszego życia doczekamy się powrotu Polski do świata zachodniego. I oto nagle sen stawał się rzeczywistością. Trudno było w to uwierzyć.

Należało jeszcze zrobić wszystko, żeby zmiana była nieodwracalna. Gwarancją naszej suwerenności i dobrobytu mogło być tylko zakorzenienie Polski w strukturach NATO i Unii Europejskiej. Stało się to nadrzędnym celem naszej polityki zagranicznej. Traktowaliśmy to jako najważniejszą misję w życiu. Równocześnie była to realizacja osobistych marzeń, stąd też nie liczył się czas, jaki tej sprawie można było poświęcić. W marcu 1999 roku Polska stała się członkiem Paktu Północnoatlantyckiego. Pierwsza część planu została wykonana.

W grudniu 2002, kilkanaście dni przed szczytem Unii w Kopenhadze, który miał przesądzić o rozszerzeniu Wspólnoty, w Sejmie po raz kolejny starli się zwolennicy i przeciwnicy integracji. Zagorzałymi przeciwnikami byli tylko posłowie Ligi Polskich Rodzin. PiS i Samoobrona opowiadały się za zawieszeniem negocjacji członkowskich i odroczeniem wejścia do Unii.

1 maja 2004 roku Polska stała się pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej. Od tego czasu, w miarę jak widoczne były coraz bardziej korzyści wynikające z członkostwa w UE, rosło poparcie społeczne i nie słychać już było polityków antyunijnych.

Przed objęciem w 2015 r. władzy przez PiS często z dumą tłumaczyłem zaprzyjaźnionym dyplomatom z państw unijnych, że nie ma większego znaczenia, jaka opcja polityczna rządzi w Polsce. Mówiłem, że niezależnie od tego, czy rząd jest lewicowy, czy centroprawicowy, podstawowe założenia polityki zagranicznej i gospodarczej się nie zmieniają. Podkreślałem, że nic nie rozerwie naszych więzi z NATO i UE, że panuje co do tego pełny konsensus.

Wykazałem się pewną naiwnością, bo oto okazało się, że spór o to, czym jest suwerenność Polski, utrzymuje się nadal. Dla PiS, Suwerennej Polski i Konfederacji Unia jest bardziej zagrożeniem niż szansą.

Politycy tych trzech ugrupowań stawiają znak równości między Brukselą a Moskwą. Traktują Unię jak jakiś zewnętrzny byt, tak jakbyśmy nie zawarli z jej pozostałymi państwami żadnych porozumień, nie umówili się co do wspólnych zasad, jakby ktoś nam to wszystko narzucił. Prezydent Andrzej Duda mówi o „wymagowanej wspólnocie, z której niewiele dla Polski wynika”. Jarosław Kaczyński oznajmia wprost, że UE dąży do „anihilacji polskiego społeczeństwa”.

Pod rządami Zjednoczonej Prawicy jednym z celów polityki zagranicznej stało się osłabienie UE. Polska skonfliktowała się z Unią i jej instytucjami. Utraciliśmy w znacznym stopniu wpływ na procesy decyzyjne i zdolność tworzenia sojuszy państw zajmujących podobne stanowiska.

Pelniąc w Brazylii funkcję ambasadora RP, kiedy jeszcze byliśmy w przedsionku UE, utrzymywałem bliskie kontakty z ambasadorami kluczowych państw unijnych: Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Portugalii, Włoch i Holandii. I nie było to spowodowane tylko względami towarzyskimi. Dla nich byłem przedstawicielem kraju, który wkrótce będzie należał do grupy największych państw wspólnoty. Sposób, w jaki mnie traktowali, był wręcz nieproporcjonalny do roli Polski w relacjach zagranicznych Brazylii i szerzej, państw Ameryki Łacińskiej, bo przecież poziom naszych obrotów gospodarczych i inwestycji był i nadal jest bardzo niski w porównaniu z czołowymi graczami europejskimi.

Z ambasadorami Francji i Niemiec odbywaliśmy spotkania w formacie Trójkąta Weimarskiego. Ambasador UE, który wcześniej był przedstawicielem Komisji Europejskiej w Warszawie, domagał się ode mnie szczegółowych informacji na temat tego, co dzieje się w Polsce. Nie zadowolął się byle czym, bo znał osobiście czołowych polskich polityków. Bliskie relacje miałem z ambasadorem Niemiec. Pamiętam, jak prezydent elekt Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva zorganizował, jeszcze przed objęciem prezydentury, spotkanie z ambasadorami państw europejskich. Niedoświadczeni współpracownicy Luli niezręcznie zredagowali zaproszenia i w rezultacie wśród zaproszonych nie było przedstawicieli państw kandydujących. Otóż po spotkaniu ambasador Niemiec przekazał mi kopię sprawozdania, które wysłał do swojego MSZ. Dokument był w języku niemieckim, którym w zasadzie nie władam, ale dzięki wsparciu szefa administracyjnego mogłem wysłać do Warszawy prze-

łożone na polski sprawozdanie. Ambasador zapewne naruszył przepisy, ale zdawał sobie sprawę, że byłby w stanie się z tego wytłumaczyć, bo zwyczajnie przedstawiciele państw kandydackich powinni być na spotkaniu z prezydentem elektem. Dla mnie było to ważne, bo musieliśmy zdefiniować naszą politykę wobec Brazylii pod rządami Luli.

Kiedy byłem w Wenezueli, a Polska była już pełnoprawnym członkiem UE, utrzymywałem podobnie bliskie relacje z przedstawicielami kluczowych państw unijnych. Przed niektórymi ze spotkań ambasadorów państw Unii, zwanych w żargonie dyplomatycznym HOM's meetings, spotykali się ze mną oddzielnie ambasadorowie Hiszpanii i Wielkiej Brytanii, żeby pogadać o tym, co będziemy chcieli ustalić na oficjalnym spotkaniu. Czasami spotykałem się w wąskim gronie ambasadorów najważniejszych dla Wenezueli i regionu państw unijnych. W tym przypadku koledzy i koleżanki kierowali się nie tylko tym, że reprezentują duże państwo unijne, ale także tym, że Polska ma unikatowe doświadczenia w walce o demokrację i prawa człowieka. Nasz głos był dla nich ważny w kontekście formułowania wspólnych stanowisk wobec Wenezueli. Podobnie było w przypadku ambasadora USA, którego znałem jeszcze z Brazylii, gdzie pełnił funkcję konsula generalnego USA w São Paulo.

W ciągu 8-letnich rządów PiS osłabły więzi Polski z głównymi partnerami, zmalało nasze znaczenie na arenie międzynarodowej. Przestali się z nami liczyć główni gracze. Przedstawiciele państw unijnych nie zabiegali już o kontakty z polskimi dyplomatami. Nie tylko dlatego, że Polska łamie praworządność, ale także dlatego, że pisowska „dyplomacja” przy każdej okazji pokazywała, że nie chce rozmawiać z UE. Turbopatriotyzm, tromtadracja i zblatowanie władz z Kościołem stały się znakiem rozpoznawczym rządu, którym kierował z Nowogrodzkiej Jarosław Kaczyński.

Minister uznał, że materiały nie są mu potrzebne. Skoncentrował się na prezentacji pozycji Polski. Szefa dyplomacji salvadorskiej nie dopuszczał w zasadzie do głosu. – Co możemy dla was załatwić? Co wam potrzeba? – pytał kilkakrotnie.

Widziałem coraz większe oczy gościa

W listopadzie 2017 roku oficjalną wizytę w Polsce złożył minister spraw zagranicznych Salvadora Hugo Martínez. Była to pierwsza w historii relacji dwustronnych wizyta szefa tamtejszej dyplomacji. Priorytetem miały być sprawy gospodarcze. Jako tzw. desk officer w Departamencie Ameryki byłem odpowiedzialny za organizację tej wizyty i przygotowanie rozmów. Ale minister Witold Waszczykowski uznał, że materiały nie są mu potrzebne. Skoncentrował się na prezentacji niezwykle silnej pozycji Polski. Im dłużej mówił, tym bardziej można było odnieść wrażenie, że Polska jest światowym mocarstwem. Salvadorczyka nie dopuszczał w zasadzie do głosu.

– Co możemy dla was załatwić? Co wam potrzeba? – pytał kilkakrotnie minister Witold Waszczykowski szefa dyplomacji salvadorskiej.

Widziałem coraz większe oczy Salvadorczyka. Zwykle dla krajów rozwijających się miarą siły partnerów zagranicznych jest ich zaangażowanie w pomoc rozwojową i poziom współpracy gospodarczej, w tym wartość dokonanych inwestycji. Minister Martínez z pewnością nie mógł zaliczyć Polski do czołowych partnerów. Nie wiedział, co powiedzieć, tym bardziej że nigdy dotąd nie był w takiej sytuacji. Gorączkowo zastanawiał się, jakie życzenie polityczne wyrazić. Wreszcie coś powiedział, choć raczej głównie po to, żeby zadośćuczynić uprzejmości gospodarza.

Po zakończeniu rozmów miałem poważny problem, bo nie wiedziałem, co właściwie mam napisać w notatce służbowej. Powinna przecież wskazywać konkretne możliwości rozwoju dwustronnej współpracy, a także współdziałania na arenie międzynarodowej. Tego rodzaju rozmowy są też okazją do poznania stanowiska partnerów w interesujących nas

sprawach, dotyczących problematyki bilateralnej, regionalnej itd. A tymczasem głównym tematem były sukcesy Polski w każdej dziedzinie. Minister uznał najwyraźniej, że taki mały kraj jak Salvador niczego nie może nam zaoferować i nie mają dla nas znaczenia opinie salvadorskiego ministra.

Na szczęście ambasador Panamy, jedyne państwa środkowoamerykańskiego mającego ambasadę w Warszawie, wydał przyjęcie, którego gościem honorowym był minister Martínez. Udało mi się dłużej z nim porozmawiać i miałem materiał do notatki.

O ile jeszcze w początkowej fazie rządów PiS ministrowie tacy jak Witold Waszczykowski czy Jacek Czaputowicz pracowali przed objęciem stanowisk w MSZ, o tyle później już nikt z kierownictwa resortu nie miał doświadczeń dyplomatycznych. Komentatorzy polityczni przestali się zastanawiać nad długością ławki kadrowej PiS, gdyż stało się oczywiste, że kompetencje nie mają znaczenia. Jedynym wyznacznikiem przydatności stała się gotowość do spełniania oczekiwań prezesa z Nowogrodzkiej. Starając się nie narazić na krytykę naczelnika, członkowie kierownictwa resortu naruszali nawet elementarne zasady dobrego wychowania.

Kiedy w 2021 r. ambasador Peru Alberto Salas Barahona kończył 6-letnią misję w Polsce, zorganizował przyjęcie pożegnalne, na które zaprosił wiceministra Marcina Przydacza. Ambasador był bardzo aktywny i kompetentny, zrobił dużo dla wzmocnienia relacji z Polską. Był też dyplomata powszechnie lubianym i rozpoznawalnym w korpusie dyplomatycznym.

Jak to jest w zwyczaju przy tego rodzaju okazjach, przed wygłoszeniem słów pożegnalnych ambasador zapytał wiceministra, czy zechce też coś powiedzieć. Spotkał się z odmową. Musiało to dotknąć Peruwiańczyka, gdyż należy do dobrego obyczaju zabranie przez gospodarza głosu w takiej sytuacji. Widziałem zdenerwowanie młodszego kolegi z Departamentu Ameryki. Przygotował przecież wystąpienie, które zatwierdził sekretariat wiceministra. Staralemi się go pocieszyć:

– Niech się pan w ogóle nie przejmuj. Napisał pan, co należało. Po prostu wiceminister uznał, że Peru nie jest na tyle ważnym partnerem, żeby on musiał zabierać głos.

Niestety, takie zachowanie stało się normą, jak również to, że większość materiałów przygotowanych przez departamenty terytorialne nie była w żaden sposób wykorzystywana, co było szczególnie frustrujące dla młodych pracowników.

Uczestniczący w Radzie do Spraw Zagranicznych UE (FAC) pisowscy ministrowie najczęściej nie zabierali głosu w sprawach dotyczących polityki unijnej wobec poszczególnych regionów. Wynikało to między innymi z braku zrozumienia, czym jest dialog polegający na przekonywaniu innych do swoich racji i trudne często poszukiwanie konsensusu. Okazało się, że tak zwane wstawanie z kolan sprowadzało się do groźnego pohukiwania, prychania i wysuwania nieuzasadnionych roszczeń. Zwolennicy tej szkoły od dyskusji wołał pyskówki; chętnie milczą, czekając na okazję, żeby się obrazić.

Pracownicy poszczególnych departamentów stawali się mimo wszystko wykonywać swoją pracę, chociaż szła na marne.

Departamenty terytorialne utraciły możliwość inicjowania i koordynowania polityki wobec poszczególnych regionów. Zaczęły pełnić jedynie funkcję przekazańników pomysłów politycznych kierownictwa MSZ, oderwanych od realiów państw należących do ich kompetencji.

A co więcej, polityka zagraniczna stała się zakładnikiem polityki wewnętrznej. Kwestie takie jak gender, LGBT, aborcja, „zamach smoleński”, sprawa reparacji od Niemiec oraz obrona tezy, że w Polsce nie zostały naruszone standardy demokracji i praworządności, urosły do rangi racji stanu, prezentowanych przez Polskę na forum międzynarodowym.

Forsowaniu „racji stanu” związanych z propagowaniem postulatów Kościoła sprzyjał wpływ, jaki na kształtowanie kadry MSZ zaczęła mieć Fundacja Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris. Działacz tej ultrakonserwatywnej organizacji Paweł Jabłoński od 2019 r. zajmował stanowisko podsekretarza stanu w MSZ, a po ostatnich wyborach awansował do rangi sekretarza stanu.

Po objęciu rządów PiS rozpoczął czyszczenie w MSZ. Nie chodziło tylko o ludzi, ale o to, żeby zatrzeć pamięć sukcesów polskiej dyplomacji w ciągu 25 lat, jakie upłynęły od początku transformacji. Celem tych działań było wymazanie pamięci instytucjonalnej. Wraz ze zniszczeniem służby cywilnej w administracji publicznej zniszczono również służbę dy-

Departamenty terytorialne MSZ utraciły możliwość inicjowania i koordynowania polityki wobec poszczególnych regionów świata. Stały się przekąźnikami oderwanych od realiów pomysłów politycznych kierownictwa

plomatyczną, rozumianą jako korpus fachowych, niezależnych od bieżącej polityki urzędników.

Obowiązujące wcześniej konkursy na wszystkie stanowiska w placówkach zagranicznych nadal były ogłaszane, ale przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Stały się parawanem dla podejmowania decyzji zgodnych z oczekiwaniami partyjnymi lub wynikającymi z powiązań towarzyskich. Większość pracowników MSZ nie miała szansy na zakwalifikowanie się na wyjazd, chyba że Biuro Spraw Osobowych nie miało innych, „lepszyc” kandydatów.

Przez kilka lat rządów PiS prowadziłem zajęcia w Akademii Dyplomatycznej MSZ, często dla osób wyjeżdżających na placówki. Większość była spoza MSZ. Nie miały żadnego pojęcia o pracy dyplomatycznej czy konsularnej, ale najwyraźniej spełniały oczekiwania Biura Spraw Osobowych. Obowiązywały nowe, kuriozalne zasady naboru do korpusu dyplomatycznego, realizowanego poprzez obniżenie wymagań kompetencyjnych i ułatwienie szybkiej ścieżki kariery dyplomatycznej dla nowo przyjmowanych do służby.

Zadziwiająca była głębokość czystek kadrowych. Nawet w przypadku kandydatów na niższe stanowiska w placówkach lepszymi od pracowników MSZ byli ci rekomendowani przez „swoich”.

Dyrektorzy departamentów, do których należy planowanie i nadzorowanie pracy placówek, przestali mieć jakikolwiek wpływ na ich obsadę. Często jako ostatni dowiadywali się, kto jest kandydatem do objęcia stanowiska w podległej departamentowi ambasadzie. Stanowiska były przedmiotem swoistej licytacji w kancelariach premiera, prezydenta i w poszczególnych ministerstwach. Poczta pantoflową rozchodziła się wiadomość, że w jakiejś placówce zwalnia się miejsce, na które MSZ nie ma kogo wysłać.

Departamenty MSZ również przeszły trzęsienie ziemi. Wiele doświadczonych, wybitnych często dyplomatów z dnia na dzień przestawało być dyrektorami. Stali się zwykłymi pracownikami lub co najwyżej naczelnikami. Ich miejsca zajmowali młodzi, niedoświadczeni pracownicy. Ale oni również nie mogli być pewni dnia ani godziny. Częste rotacje na stanowiskach kierowniczych przekonywały ich, że nie ma czegoś takiego jak ścieżka kariery zawodowej. Są tylko lepsze lub gorsze znajomości.

Kulminacją czystek było przyjęcie w styczniu 2021 ustawy o służbie zagranicznej, na mocy której osoby w wieku 65 lat zostały zmuszone do przejścia na emeryturę. Tym samym wygasł stosunek pracy wielu doświadczonych dyplomatów, zwanych przez Jarosława Kaczyńskiego „złogami”.

Według tej samej ustawy kandydaci na ambasadorów nie muszą już spełniać żadnych wymogów obowiązujących zawodowego dyplomata, takich jak znajomość języków obcych, wyższe wykształcenie, wie-

dza merytoryczna i umiejętności zarządcze. Liczy się jedynie pełna dyspozycyjność polityczna. Nie zdarza się w krajach cywilizowanych, żeby z założenia wszyscy ambasadorowie mogli pochodzić z nadania politycznego. Takich ambasadorów mamy już bardzo dużo.

Niektórzy pisowscy nominaci więcej zrobili dla skonfliktowania Polski z państwami, w których urzędowali, niż dla umocnienia relacji dwustronnych. Ikoną takiego ambasadorowania stał się Andrzej Przyłębski, prywatnie mąż prezes tzw. Trybunału Konstytucyjnego. Ambasador w Niemczech w latach 2016-22 dawał często upust niechęci wobec społeczeństwa kraju goszczącego. W 2018 r. na konferencji w niemieckim MSZ wyraził opinię, że ostatnie sto lat było „epoką, w której niemiecka arogancja ujawniła się w całej swej podłości, a niemieckie interesy stały zawsze na pierwszym planie”. Za główny cel działalności uznał stałe recenzowanie niemieckich mediów zajmujących się Polską, a nie pogłębianie kontaktów ze stroną niemiecką. Korzystał z każdej okazji, żeby ostro skrytykować miejscowe media za rzekomo niewłaściwe przedstawianie obrazu Polski. Po zakończeniu misji stwierdził, że niemieckie społeczeństwo jest zepsute, a tamtejsi politycy nie chcą zrozumieć, że Polska pod rządami PiS „jest drogowąskazem dla dzisiejszej Europy”. Nad jego CV ciążyła agenturalna przeszłość (TW „Wolfgang” w czasach PRL-u), choć Biuro Lustracyjne IPN w czasach rządów PiS uznało, że nie był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa.

Nominaci PiS najczęściej nie są nawet w minimalnym stopniu przygotowani do piastowania powierzonych im stanowisk. Ambasadorem Polski w Brazylii została ostatnio Bogna Janke, była redaktor naczelna i właścicielka portalu Salon24.pl, która pracowała również w kancelarii prezydenta Dudy, pełniąc nadzór nad Biurem Dialogu i Korespondencji. Nie ma żadnych doświadczeń dyplomatycznych ani związków z re-

gionem. Języka portugalskiego zaczęła się uczyć, kiedy pojawiła się możliwość wyjazdu do Brazylii – państwa, które jest naszym głównym latynoamerykańskim partnerem i członkiem ekskluzywnej grupy G-20.

PiS chętnie poszukuje kandydatów na ambasadorów w środowiskach akademickich. Często jednak ich dokonania naukowe wywołują uzasadnione wątpliwości. Jędrzej Kotarski uzyskał zielone światło do objęcia placówki w Panamie, mimo że ponad rok wcześniej komisja dyscyplinarna dla doktorantów Uniwersytetu Łódzkiego uznała, że starając się o zatrudnienie w roli adiunkta, przypisał sobie cztery nieistniejące publikacje. Drugi z zarzutów postawionych dr. Kotarskiemu dotyczył monografii „Etnopolityka w Meksyku”, którą napisał ze swoją matką, prof. Magdaleną Śniadecką-Kotarską. Komisja dyscyplinarna UŁ uznała, że zawiera ona pięć rozdziałów, które są plagiatem artykułów hiszpańskojęzycznych. Dr Kotarski odwołał się do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Łodzi, który ze względu na uchybienia formalne uchylił uczelniane orzeczenie karzące go naganną. Prof. Śniadecka-Kotarska od 2017 r. jest ambasadorką RP w Peru, Ekwadorze i Boliwii z rekomendacji ministra Waszczykowski.

Resort, który w większości normalnie funkcjonujących państw jest jednym z kilku kluczowych ministerstw, utracił całkowicie podmiotowość, przestał być kreatorem i koordynatorem polityki zagranicznej. Nastąpiła jej decentralizacja. Sprawy unijne przejęła kancelaria premiera, ale stosunki bilateralne z państwami unijnymi pozostały w gestii MSZ, co uniemożliwia sprawne zarządzanie. Polityka bezpieczeństwa znalazła się w gestii ministra obrony narodowej i prezydenta, który również nadzoruje sprawy ONZ. Sprawy Polonii i Polaków za granicą przejął odrębny pełnomocnik rządu, zasiadający w kancelarii premiera, a promocję gospodarczą i kulturalną – różne inne resorty.

Obóz rządzący doprowadził do spięć i otwartych konfliktów z naszymi sojusznikami i ważnymi partnerami: z USA, Niemcami, Francją, Izraelem i Czechami, a nawet ze Szwecją (premier Morawiecki wysunął zarzut niehumanitarnego traktowania pacjentów zakażonych koronawirusem; małopolska kurator oświaty Barbara Nowak stwierdziła, że w szwedzkich przedszkolach uczy się dzieci masturbacji), Norwegią (Morawiecki postawił zarzut żerowania na wojnie z Ukrainą) i z odległym RPA – gdy w czerwcu delegacja z prezydentem Cylem Ramaphosą, udająca się z wizytą do Ukrainy, a następnie do Rosji, została zatrzymana na lotnisku w Warszawie pod zarzutem braku zezwolenia na przewóz broni. Przedstawiciele RPA zarzucili polskiej stronie celowe utrudnianie misji pokojowej Unii Afrykańskiej.

Tym jednak, co się szczególnie rzuciło w oczy, był brak jakiegokolwiek polityki zagranicznej, nie mówiąc o strategii, przewi-

dywaniu sytuacji kryzysowych czy zdolności do budowania sojuszków. Polska skonfliktowała się z najbliższymi sojusznikami z UE i NATO, osłabiając możliwości wzmacniania własnego bezpieczeństwa i mobilizowania sojuszników do realizacji własnych racji stanu.

Warszawa utraciła też rolę współtwórcy aktywności zagranicznej UE w odniesieniu do poradzieckich państw Europy Wschodniej. Zainicjowane przez Polskę i Szwecję Partnerstwo Wschodnie, którego celem było zacieśnienie więzi politycznych i gospodarczych z sześcioma państwami Europy Wschodniej i Zakaukazia, została zaprzeczona.

Trójkąt Weimarski przestał być wpływowym ugrupowaniem – zwornikiem interesów wschodu i zachodu Unii.

Jako państwo, które nie respektuje zasad demokracji i praw człowieka, Polska utraciła również wiarygodność na forum ONZ i innych organizacji międzynarodowych.

Szczególnie szkodliwe było i wciąż jest podsycanie przez PiS konfliktu z Niemcami, naszym głównym partnerem gospodarczym, który popierał wejście Polski do UE. Wydawało się, że zdołaliśmy pokonać bolesną przeszłość i osiągnąć pojednanie na miarę tego francusko-niemieckiego. Okazało się jednak, że wysiłek kilku pokoleń, jeśli za początek uznamy orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 roku, może pójść na marne. Niemcy na szczęście podchodzą do tego z rezerwą. Trudno jest jednak odzyskać wiarygodność, kiedy się ją utraci, tak jak trudno jest budować przyszłość, rozdrapując jedynie rany z przeszłości.

Jako kraj na wschodniej flance NATO Polska udzieliła Ukrainie dużej pomocy politycznej i militarnej, co było zgodne z oczekiwaniami społeczeństwa i ze strategicznymi interesami państwa. To wsparcie nie przyczyniło się jednak do wzmocnienia pozycji Polski we wspólnocie euroatlantyckiej ze względu na skonfliktowanie rządu PiS z Unią i z jej największymi państwami. Polska nie była zapraszana do udziału w ścisłych sojuszniczych konsultacjach na temat Ukrainy. Zaangażowanie Polski w pomoc Ukrainie to być może jedyny jasny punkt w polityce zagranicznej pod rządami PiS, ale prawdopodobnie i to osiągnięcie zostałoby zaprzeczane z powodu złego zarządzania spornymi kwestiami w relacjach z Ukrainą, tymi z przeszłości i obecnymi.

Szkody wyrządzone Polsce nieodpowiedzialną polityką Zjednoczonej Prawicy są trudne do oszacowania. Niektóre będzie można szybko naprawić. Pewnego czasu będzie wymagało przywrócenie silnej obecności Polski w świecie zachodnim, co wzmocni nasze bezpieczeństwo i możliwości rozwojowe. Ale najtrudniejsza będzie poprawa wizerunku Polski, bo pozostanie pamięć kraju, w którym antyunijny kurs polityki ma silnych zwolenników. ●



FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Krzysztof Jacek Hinz

• ur. w 1955 r., iberysta, dziennikarz, dyplomata. W latach 2001-05 ambasador w Brazylii, w latach 2007-12 w Wenezueli. Był korespondentem PAP w Hawanie i Meksyku, współpracował z „Wyborczą”, „Polityką”, Radiem Wolna Europa i meksykańską telewizją Televisa, kierował działem zagranicznym meksykańskiego miesięcznika „GenteSur”. Autor książki „Kuba. Syndrom wyspy”. Członek Konferencji Ambasadorów RP.

Forsowaniu „racji stanu” związanych z propagowaniem postulatów Kościoła sprzyjał wpływ, jaki na kształtowanie kadry MSZ zaczęła mieć Fundacja Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris

Polska rusofobia? Nie, polska wschodofobia

Bieliaszyn to ruskie nazwisko

O tym, że pochodzenie w Polsce będzie mi ciążyć, w moim domu mówiło się, jeszcze zanim pojawiłam się na świecie

Bieliaszyn



„W drodze na Ukrainę najchętniej brałbym środki nasenne”, napisał mi czytelnik, budząc moją ciekawość. Czy bezsenność mojego obserwatora wynika ze strachu i świadomości, że po przekroczeniu granicy nie da się już postrzegać wojny jako czegoś, co dzieje się gdzieś daleko?

Że w sumie niewiele trzeba, by zdać sobie sprawę, że toczy się ona tuż nad twoją głową? Żeby zobaczyć linię frontu, należy co prawda pojechać na wschód, ale ataki rosyjskich dronów i rakiet ciągle zdarzają się w głębi kraju.

A może chęć zażycia tabletek nasennych jest bardziej prozaiczna? Może miarowy stukot kół pociągu, tak dobrze znany i działający uspokajająco na wszystkich, którzy kiedykolwiek przemierzali byle ZSRR, mojego czytelnika, przyzwyczajonego do podróży samolotem, zwyczajnie drażni i utrudnia mu zasypianie?

Odpowiedź nadeszła, zanim zdążyłam wziąć pod uwagę kolejne scenariusze. „Chciałbym spać, żeby nie widzieć, jak chamsko polscy strażnicy traktują ludzi ze wschodu. To dla mnie lekcja. Nie miałem pojęcia”, tłumaczył. A mnie zatkało. „Witamy w Polsce”, miałam ochotę w pierwszym momencie skwitować. Nieświadomość mojego rozmówcy, wykształconego, stuprocentowego Polaka w średnim wieku, jednocześnie mnie zirytowała i rozbawiła. No bo jak można nie zauważać zachowań, z jakimi notorycznie i od zawsze spotykają się w Polsce osoby zza wschodniej granicy? Nie rozumieć, że wieloletnia, wyraźnie wyższościowa względem państw i narodów Europy Wschodniej narracja wielu polityków to często nie ich prywatne poglądy, lecz odpowiedź na zapotrzebowanie społeczeństwa? Jak można nie dostrzegać, że wszystkie wódczано-słowiańskie anegdoty, tak niewinne, здаwać by się mogło, bawią masy, mimo że podszyte są rasizmem i ksenofobią?

I kiedy już, już kusilo mnie, by ironicznie mu te pytania zadać, przypomniałam sobie hasło, które momentalnie postawiło mnie do pionu. „Osoby z niepełnosprawnością, Wiktoria. Pamiętaj o osobach z niepełnosprawnością”.

Uspokajam: z wyżyn cynizmu nie spadłam w otchłań chamstwa. Nie przyszłoby mi do głowy, by zarzucać komuś upośledzenia tylko dlatego że nigdy wcześniej nie dostrzegał w polskim społeczeństwie wschodofobii, którą ja, jako ktoś, kogo ona bezpośrednio dotyka, widzę niemal każdego dnia. Chodzi o to, że przecież

mnie swego czasu to, że polskie osiedla i całe miasta są skrajnie wykluczające dla osób z niepełnosprawnością, zszokowało. Nie myślę o nich na co dzień: w końcu ani ja, ani nikt w moim bezpośrednim otoczeniu nie zмага się z podobnymi problemami. Ile mogę mieć okazji, by zastanawiać się, czy do budynku, w którym mieszkam, dałaby radę samodzielnie dostać się osoba na wózku? Ile razy państwo zadawali sobie podobne pytanie? No właśnie.

„Check your privilege”, mówią w takich sytuacjach Amerykanie. Sprawdź swój przywilej.

DeEtta Jones, psycholożka i konsultantka zajmująca się równością, zwraca uwagę nie tylko na to, że przywilej oznacza członkostwo w grupie lub grupach, które definiują dominującą kulturę, ale też na jego „zautomatyzowaną naturę”. Nie trzeba na niego zapracować, by go uzyskać. To z kolei sprawia, że jego posiadacze często nie zdają sobie nawet sprawy z jego istnienia ani tego, jak duży wpływ ma na ich komfort życia. A już tym bardziej nie zaprzatają sobie głowy tym, jak wygląda rzeczywistość tych, którzy nie mogą się nim cieszyć. Peggy McIntosh napisała w przełomowym eseju na temat przywileju: „Przywilej jest jak niewidzialny plecak ze specjalnymi przepisami, mapami, paszportami, wizami, ubraniami, narzędziami i czekami in blanco”.

O tym, że rosyjskie pochodzenie w Polsce będzie mi ciążyć, w moim domu mówiło się, jeszcze zanim pojawiłam się na świecie, a więc na debrych kilka lat przed przyjściem Putina do władzy. „Dajcie jej nasze nazwisko, z rosyjskim będzie mieć same problemy”, naciskała babcia ze strony mamy.

Bardzo wcześnie zrozumiałam, że jej obawy były uzasadnione. W szkole od najmłodszych klas słyszałam niewybredne dowcipy, w których Polak zawsze był tym mądrym cwaniakiem, a Ruski co najwyżej pijanym idiotą. Już jako dziecko wielokrotnie byłam świadkiem sytuacji, w których zupełnie obce osoby, tuż po tym, jak wychwyciły wschodni akcent w mowie mojego ojca, natychmiast z uprzejmym, a niekiedy wręcz usługowym, stały się aroganckie, „tykające” i traktujące z góry. W dorosłym życiu nie raz i nie dwa zdarzało mi się usłyszeć od przypadkowych przechodniów, że w Polsce mówię mam po polsku, choć najlepiej byłoby, żebym „spierdała do Rosji”.

Odkąd zajmuję się dziennikarstwem i publicznie zabieram głos, regularnie zdarza mi się otrzymywać wiadomości, w których czytelnicy albo podważają moje kompetencje, zwracając uwagę, że „Bieliaszyn to ruskie nazwisko”, albo rozpisują się o mojej „ruskiej urodzie”, wyraźnie traktując to jako obelgę. Na forach internetowych zdarzyło mi się natrafić na swoje zdjęcia, pod którymi anonimowi użytkownicy pisali na przykład: „Rosjanka? No nie wiem, ukraińskie i moldawskie tiorówki twierdzą, że są Rosjankami,

wtedy mogą liczyć na więcej pieniędzy za oferowane usługi”.

O tym, że moje pochodzenie nie jest problemem jedynie dla bańki anonimowych trolli, przypominają mi znajomi z branży. „Ta Ruska. Tak o tobie mówią”, powiedziała mi niedawno Magdalena Rigamonti z Onetu.

Powiedzą państwo: to wszystko skutek rosyjskiej napaści na Ukrainę. A ja państwu odpowiem: figa z makiem. Tuż przed wybuchem pełnowymiarowej wojny w Ukrainie, w lutym 2022 r., CBOS opublikował badania, w których podsumował stosunek Polaków do innych nacji. „Gdyby ustawić sąsiadów Polski w kolejności od najbardziej do najmniej lubianych, to wyglądałaby ona tak: Słowacy, Czesi, Litwini, Niemcy, Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie”, komentowali dziennikarze „Wyborczej”.

„Mieszkam w Polsce od dziesięciu lat. Przez cały ten czas, kiedy odbieram poza domem telefon od mamy, mówię szeptem. Bo z mamą rozmawiam po ukraińsku”, opowiadała mi Alina Makarczuk, pochodząca z Ukrainy dziennikarka polskich mediów. „Zawsze mam z tyłu głowy, że mogą mnie spotkać nieprzyjemności. Może dlatego, że tak często słyszę w Polsce: »nie jesteś u siebie«?”, zastanawiała się. Podobne doświadczenia ma Jana Szostak, wywodząca się z Białorusi artystka i aktywistka. „Ksenofobia i hejt? Nie wiem, od czego zacząć. Ciągle słyszę, że jestem białoruską kurwą,



Przywilej jest jak niewidzialny plecak ze specjalnymi przepisami, mapami, paszportami, wizami, ubraniami, narzędziami i czekami in blanco

ewentualnie agentką. I że mam wracać na Białoruś”, mówi. „Ja nauczyłem się mieć grubą skórę. I wpisuję ksenofobiczne doświadczenia w koszty życia w Polsce”, kwituje ukraiński dziennikarz Igor Isajew.

Ale niechęć Polaków do Wschodu przejawia się nie tylko w postaci jawnie agresywnych wycieczek wobec tych, którzy są z nim w jakiś sposób związani (albo tak się kojarzą). Domorośli publicyści dwoją się i trują, by dowieść, że Polska więcej ma wspólnego z zachodnią Europą, wskazując przy tym najczęściej na położenie geograficzne, alfabet i religię. Chęć zdystansowania się wobec Europy Wschodniej przybiera niekiedy wymiar kuriozalny. Jak wtedy, kiedy podczas pokazu filmu niezależnego twórcy z Białorusi prowadzący spotkanie dziennikarz w reakcji na stwierdzenie reżysera, że „mentalność Polaków i Białorusinów jest podobna, i różni się od tej, którą cechują się obywatele tej bardziej zachodniej Europy”, widowiskowo zaprzeczył: „Proszę pamiętać, że Polska jest Zachodem”.

Wiadomo, z czego to wynika. Wschód widziany zgodnie z koncepcją orientalizmu to coś, co jest gorsze. Według stereotypów Wschód to brud, bieda, zacofanie, chamstwo, nacjonalizm. Tylko że pod tym względem i Polska na tle zachodnich sąsiadów, do których aspiruje i których uważa za normę, wypada raczej średnio, choć na pewno nie tragicznie – w przeciwieństwie do Rosji, Białorusi czy Ukrainy. Wyższościowcy stosunek do tego, co się z nimi wiąże, to próba dowartościowania się. Łatwego, szybkiego, miłego dla kruchego ego.

Historyk i youtuber popularyzator Wojciech Drewniak również zwraca uwagę na rolę polskich kompleksów. „Mam dziwne wrażenie, że Polacy mają podwójny kompleks: niższości wobec Zachodu i wyższości wobec Wschodu. Wydaje się nam, że jesteśmy nie wiadomo kim w porównaniu z Białorusinami, którzy mają swój kraj od niedawna, podobnie jak Ukraińcy. A Rosjanie to w ogóle bydło. Ale z drugiej strony w porównaniu z Zachodem mamy kompleks niższości. Twierdzimy, że w Niemczech jest super, a u nas to »trzeci świat«”, mówił w wywiadzie dla Gazeta.pl.

Rosyjska inwazja na Ukrainę i niepodważalny fakt, że rosyjskie społeczeństwo też ponosi za nią odpowiedzialność, znacząco utrudniają apelowanie o zwalczanie rusofobii. Ale ogólnie pojmowana wschodofobia, na którą pozwalają sobie i politycy, i zwykli obywatele, wpuści nas wszystkich w maliny. A już na pewno nie przybliży do Zachodu. Patrzenie na siebie przez pryzmat propagandy, wieczne odwoływanie się do „dumnej” czy „europejskiej” historii, myślenie uproszczeniami plus wieczne stosowanie zasady zbiorowej odpowiedzialności prowadzi do zwykłych postaw rasistowskich. A to z kolei jest na rękę tylko tym, którym zależy, by Polskę przedstawiać w jednoznacznie złym świetle.

„Powinienem był opieprzyć tego strażnika”, napisał mi czytelnik, żalując, że nie zareagował na chamstwo, którego w jego obecności doświadczyła podróżująca pociągami do Polski Ukrainka. Powinien był. I państwo też powinni to robić. Nie każdy potrafi się bronić, nie każdy czuje się w obcym kraju na tyle pewnie, by zareagować i nie pozwolić pluć sobie w twarz.

Podobne komentarze słyszę nie tylko osoby takie jak ja, które są w równym stopniu związane z Polską i drugą ojczyzną, ale też ci, dla których jedynym wyjściem, by żyć i czuć się bezpiecznie, było opuszczenie swojego kraju. Nie mamy prawa leczyć sobie nimi własnych kompleksów. A ci, którzy sobie na to pozwalają, nawet nie zdają sobie sprawy, w jak bardzo wschodnią w stereotypowym ujęciu mentalność się wpisują. ●

Wiktoria Bieliaszyn

• Manifestacja
solidarności z Gazą
w Karaczi,
największym
mieście Pakistanu

FOT. FAREED KHAN/AP



WYSTARCZĄ NAM NASI DŻIHADYŚCI

Arabscy władcy wściekli
na Hamas. Terrorysty
pokrzyżowali im szyki

Marta Urzędowska

„Królestwo Arabii Saudyjskiej obserwuje bezprecedensowe wydarzenia, do jakich dochodzi między palestyńskimi grupami a izraelskimi siłami okupacyjnymi. Ostrzegaliśmy, że z powodu okupacji i pozbawiania Palestyńczyków ich praw w końcu dojdzie do eksplozji”.

„Katarskie MSZ uznaje Izrael za stronę wyłącznie odpowiedzialną za trwającą dziś eskalację w związku z nieustannym naruszaniem praw Palestyńczyków”.

„Arabska Republika Egiptu ostrzega przed eskalacją między stroną palestyńską i izraelską po serii ataków na palestyńskie miasta”.

„MSZ Królestwa Jordanii przestrzega przed dalszą eskalacją w Gazie, szczególnie w świetle izraelskich ataków i naruszeń dokonywanych na palestyńskim narodzie”.

„Irak potwierdza, że przeprowadzane przez Palestyńczyków operacje to naturalny efekt opresji, jakiej są poddawani od niepamiętnych czasów przez syjonistyczne władze okupacyjne”.

„Algieria z zaniepokojeniem przygląda się brutalnym izraelskim atakom na Strefę Gazy, w których giną niewinni synowie i córki palestyńskiego narodu, męczennicy syjonistycznej okupacji, opresji i prześladowań”.

Oświadczenia arabskich rządów publikowane po 7 października brzmią niewiarygodnie. Zwykle nie pojawia się nawet nazwa grupy, która tego dnia w Izraelu zamordowała 1,2 tys. osób, a setki kolejnych porwała do Gazy. Czytając słowa Arabów, ma się wrażenie, że Izrael bez powodu zaatakował palestyńską enklawę, a jedyną przyczyną trwającej od dwóch miesięcy wojny, w której zginęło też kilkanaście tysięcy Palestyńczyków, jest izraelska okupacja.

Nawet kiedy pierwsze emocje opadły, Arabowie nie zmienili retoryki. 11 listopada arabscy i muzułmańscy przywódcy spotkali się w Rijadzie, by pomachać szabelką. Spotkanie było niezwykle – rzadko przy jednym stole zasiadają Liga Arabska i Organizacja Współpracy Islamskiej, w ostatnich latach kwestia palestyńska nie ruszała ich na tyle, by się spotykać.

W rozmowach skrzykniętych przez saudyjskiego następcę tronu, księcia Muhammada ibn Salmana, uczestniczyli nie tylko jego sojusznicy, jak Jordanińczycy czy Egipcjanie, ale też zniechęceni rywale – przywódcy Iranu, Turcji, Kataru. O ile lista gości zaskakiwała, w ustaleniach niespodzianek nie było – uczestnicy potępił „izraelską agresję na Strefę Gazy, zbrodnie wojenne i niehumanitarne masakry popełniane przez okupacyjne władze Izraela”. O zbrodniach i niehumanitarnych masakrach Hamasu znowu ani słowa.

Świat arabski, czyli blisko pół miliarda ludzi w kilkudziesięciu krajach, solidaryzuje się z Palestyńczykami, bo to Arabowie, którym od lat dzieje się krzywda. Dlatego mieszkańcy krajów arabskich wychodzą – choć nielicznie – protestować przeciwko izraelskim nalożom w Gazie, a ich władzom trudno dziś realizować snute wcześniej plany normalizowania

relacji z Izraelem – bogatym, nowoczesnym krajem, z którym zwyczajnie opłaca się kolegować.

Dziś normalizacja musi poczekać – arabscy przywódcy wiedzą, że im groźniej robi się w Gazie, tym bardziej kruche robią się bezpieczeństwo i stabilność na ich własnych podwórkach. Większość arabskich rządów to dyktatury, które doskonale zdają sobie sprawę, że demonstracje solidarności z Palestyńczykami, czyli tłumy młodych Arabów na ulicach Kairu czy Rabatu, w jednej chwili mogą się zmienić w antyrządowe protesty. W dodatku krzywda Palestyńczyków zawsze była ulubionym argumentem wszelkiej maści islamskich ekstremistów i terrorystów od Al-Ka-idy po Państwo Islamskie. Dzięki obecnej odsłonie wojny mają nowe paliwo i latami będą epatować koszmarnymi zdjęciami zabitych palestyńskich dzieci.

Pobrzmiwające od początku wojny pytanie, czy wojna zostanie w Gazie, czy rozleje się na region, nie ma sensu – ona już tam jest. Od dwóch miesięcy w starciach na granicy izraelsko-libańskiej po obu stronach giną setki ludzi, w atakach szyickich bojówek w Syrii i Iraku rannych zostało już kilkudziesięciu amerykańskich żołnierzy, a Izrael kilka razy zbombardował lotniska w Damaszku i Aleppo.

Choć normalizować relacje z Izraelem Arabom dziś trudno, obrażać się też nie jest łatwo. Szczególnie że wspierająca Izraelczyków bezwarunkowo Ameryka to jednocześnie najważniejszy sojusznik co ważniejszych krajów arabskich. Nic dziwnego, że poszczególne rządy lawirują dziś między uspokajaniem własnej ulicy przez wygłaszanie antyizraelskich oświadczeń a pilnowaniem, by nie zaszkodzić intratnym relacjom z Izraelem i Zachodem.

Najtrudniej mają Egipt i Jordania, kluczowi sojusznicy Ameryki. Oba kraje graniczą z te-

renami palestyńskimi, od dekad mają układy pokojowe z Izraelem, aktywnie współpracują z Izraelczykami w kwestiach wywiadu i bezpieczeństwa i nie chcą słyszeć o wysiedlaniu Palestyńczyków na ich terytorium.

Zresztą Jordanińczycy to już niemal w polowie z pochodzenia Palestyńczycy – w końcu tylko Jordania dała palestyńskim uchodźcom obywatelstwo. Nawet jordańska królowa to z pochodzenia Palestynka, a Amman odpowiada za święte dla muzułmanów miejsca w Jerozolimie.

Nic dziwnego, że Jordanińczyków dramat w Gazie niepokoi szczególnie. To właśnie król Jordanii, Abdullah, obwieścił krótko po ataku Hamasu, że „cały region stanął nad przepaścią”, a szef jordańskiej dyplomacji Ajman Safadi alarmował, że „Bliski Wschód tonie w morzu nienawiści, która zdefiniuje poglądy kolejnych pokoleń”. Jednocześnie mimo publicznego złorzeczenia Izraelczykom Jordanińczycy zachowują zimną krew – tuż po ataku zaprosili do Ammanu amerykańskiego sekretarza stanu Antony’ego Blinkena, by porozmawiał z arabskimi przywódcami i uspokoił nastroje.

Egipt, najludniejszy kraj arabski, wyjątkowo czujnie przygląda się wydarzeniom w Gazie. To Kair kontroluje przejście graniczne w Rafah, a tym samym dostawy pomocy humanitarnej i wypuszczanie z enklawy cudzoziemców i rannych. Choć od października już milion Palestyńczyków z Gazy musiał uciekać z domów i nie ma gdzie się schronić, a w mediach pobrzmiwa pytanie, dlaczego nie wpuszczają ich do siebie bracia Egipcjanie, Kair pozostaje nieugięty. – Likwidowanie sprawy palestyńskiej bez sprawiedliwego rozwiązania nie wchodzi w grę – tłumaczy egipski prezydent, generał Abd al-Fattah as-Sisi. – W żadnym wypadku nie może się odbyć naszym kosztem – uciął.

Władze w Kairze wiedzą, że w tłumie uchodźców przez granicę mogliby łatwo przyniknąć radykalowie, a tych już nie brakuje w samym Egipcie. Kair od dekady boryka się z terrorystami na Synaju i nie chce ryzykować, że palestyńscy dżihadysty wejdą w konszachty z miejscowymi i zaczną wspólnie atakować Izrael z egipskiego terytorium. Izrael musiałby odpowiedzieć i byłoby po wieloletnim pokoju. Zresztą Palestyńczyków nie chcieliby u siebie sami mieszkańcy Synaju, których władze – wójując z terrorystami – ciągle przesiedlają i którzy od dekad cierpią biedę, czują się zaniedbani i dyskryminowani.

Jednocześnie Egipt poza kłopotami ma na obecnym konflikcie coś do ugrania. Unia Europejska, która w związku z wojną w Gazie jeszcze bardziej boi się napływu migrantów, rozważa porozumienie z Kairem zakładające – w zamian za obietnicę ograniczenia migracji – współpracę gospodarczą, w tym wsparcie finansowe. Którego Kair laknie jak kania dżdżu.

Wojna w Gazie to również cios w malarńki, pechowy, stojący u progu bankructwa Liban. Miejskowa najważniejsza partia polityczna, najbardziej wpływowy ruch społeczny i najpotężniejsza grupa zbrojna to Hezbollah, czyli wierni przyjaciele Hamasu. Od lat pod rękę z Iranczykami, Syryjczykami i szyickimi rebeliantami w Jemenie tworzą „oś oporu” wobec Izraela. A choć szef partii Hassan Nasrallah nie pali się dziś do dużej, kosztownej wojny z Izraelem, od dwóch miesięcy nie ustają potyczki na granicy izraelsko-libańskiej, gdzie Izrael i Hezbollah wzajemnie się ostrzeliwiają, ryzykując, że byle błąd, śmierć większej grupy cywilów, wciągnie Libańczyków w wojnę z potężnym sąsiadem, która do reszty zrujnuje kraj.

Sytuację uważnie obserwują irańscy ajatollahowie – sponsorzy i sojusznicy Hamasu i Hezbollahu. Już trzy dni po ataku z 7 października najwyższy przywódca Ali Chamenei gorąco pochwalił sprawców i oświadczył, że „cały świat islamu ma obowiązek wspierać Palestyńczyków i – jeśli Bóg pozwoli – będzie ich wspierał”. Jednak także on nie chce wielkiej wojny z Izraelem, dlatego przy każdej okazji zapewnia, że atak „przeprowadzili sami Palestyńczycy”.

Ajatollahom, choć sami nie chcą się w nią pakować, wojna w Gazie jest na rękę – z uciechą podkreślają, że atak Hamasu ujawnił „słabość” ich izraelskich wrogów. Pasuje im, że krajom arabskim, które wcześniej rozważały nawiązanie relacji z Izraelem, chwilowo się odechciało. Do tego konflikt skutecznie odwraca uwagę świata od prac nad bombą atomową i psuje opinię w regionie Amerykanom. To dlatego władze w Teheranie, lubiące załatwiać swoje sprawy cudzymi rękami, dyskretnie dolewają oliwy do ognia, śląc szyckie bojówki na izraelskie i amerykańskie cele w Syrii i Iraku, choć przezornie unikają amerykańskich ofiar.

Jeszcze więcej kłód Hamas rzucił pod nogi Saudom, którzy od czerwca szykowali się, by znormalizować stosunki z Izraelem. Przełom byłby ogromny, bo Rijad, który dotąd nie uznał istnienia państwa Izrael, to nieformalny lider świata arabskiego. Nawet izraelski premier Benjamin Netanjahu chwalił planowany deal jako „wielki historyczny zwrot”.

Teraz ze zwrotu nici, a choć z czasem Saudowie wrócą do swoich planów, dziś nie byłoby w stanie wytłumaczyć poddanym, dlaczego wyciągają rękę do Izraelczyków, kiedy miejscowe media pełne są zabitych w Gazie palestyńskich cywilów.

Jednocześnie Saudowie zachowują dystans – Rijad, choć krytykuje Izrael i użala się nad losem mieszkańców Gazy, nie odwołuje planowanych wcześniej organizowanych na swoim terenie dużych międzynarodowych eventów, a Biały Dom potwierdza, że Saudowie z czasem wznowią proces normalizacji stosunków z Izraelem. Tyle że teraz kwestia palestyńska, która już wcześniej była elementem negocjacji, zyska nową wagę, bo Rijad będzie przekonywać poddanych, że deal pozwoli skuteczniej pomóc dotkniętym wojną Palestyńczykom.

Na razie świat zastanawia się, co z Gazą po wojnie. Pojawiają się sugestie, by oddać kontrolę Autonomii Palestyńskiej, jednak ta nie

bardzo radzi sobie nawet z rządzeniem na Zachodnim Brzegu Jordanu. Ten drugi kawałek palestyńskich ziem coraz bardziej pogrąża się w chaosie – na miejscu w najlepsze panoszą się Hamas i inne grupy terrorystyczne, powstają też nowe, bardziej radykalne ugrupowania młodych, sfrustrowanych Palestyńczyków. Izraelska armia regularnie prowadzi tu operacje zbrojne, a żydowscy osadnicy coraz częściej atakują miejscowych Palestyńczyków. Tymczasem bez stabilnego Zachodniego Brzegu i silnych władz palestyńskich nie może być mowy o ustabilizowaniu sytuacji w Gazie.

Największym zaskoczeniem obecnej wojny jest Katar. Mnożą się pytania, jak to się stało, że utworzony dopiero na początku lat 70., łączący zaledwie milion mieszkańców malarńki emirat tak skutecznie pośredniczy w negocjacjach, pomaga wypuszczać z Gazy cudzoziemców i rannych, a ostatecznie – wraz z Amerykanami i Egipcjanami – doprowadza do wymiany zakładników na więźniów i zawieszenia broni.

Palące flagę Izraela tłumy młodych Arabów na ulicach Kairu czy Rabatu w jednej chwili mogą zmienić się w protesty przeciwko własnym władcom

Dla speców od regionu to żadna niespodzianka. Katar od dekad buduje sobie markę, brylując w negocjacjach pokojowych w regionie i poza nim – w Afryce, Ameryce Południowej czy Afganistanie. Mediował już w konfliktach libańskim, palestyńskim, somalijskim czy sudańskim, otwarcie popiera Hamas i Hezbollah, ma świetne stosunki z Iranem, jednocześnie nie tracąc sojuszu z USA i poprawnych relacji z Izraelem.

Dziś, choć świat się cieszy, że Katarczycy pomagają w zwalnianiu zakładników i przerywaniu walk, jednocześnie podejrzliwie patrzy na konszachty Ad-Dauhy z Hamasem. Po brzmiewa pytanie, dlaczego ważny sojusznik Zachodu gości u siebie szefów terrorystów, którzy tak bestialsko uderzyli w Izrael. Katarczycy odpowiadają, że terroryzmu nie wspierają, a utrzymywanie szerokich kontaktów to dla sprawnego negocjatora konieczność.

Zresztą – podobnie jak w przypadku talibów – Ad-Dauha pozwala przywódcom Hamasu mieszkać u siebie na wyraźną prośbę Amerykanów, którzy uważają, że lepiej pilnować wrogów na podwórku sojusznika, niż stracić ich z oczu choćby w Teheranie.

Choć Arabowie publicznie ostro krytykują izraelską ofensywę w Gazie, to faktycznie Hamas pokrzyżował im szyki. Od lat nie musieli oglądać się na Palestyńczyków i bardziej lub mniej otwarcie flirtowali z Izraelem, uważając słusznie, że to współpraca, która bardziej im się opłaca. Dlatego tak chętnie przyjmowali w ostatnich latach wysiłki Amerykanów, którzy dawno postavili krzyżyk na palestyńsko-izraelskim pokoju, za to wzięli się do poprawy relacji Izraela z ich arabskimi sojusznikami. W efekcie w ostatnich latach relacje z Jerozolimą nawiązaali Emiratzycy, niedługo po nich – Bahrajn i Maroko. Palestyńczycy każdą taką umowę traktowali jak zdradę i wylamanie się z ogólnoarabskiej zasady, że nie wolno uznać Izraela, dopóki nie przestanie okupować palestyńskich terenów.

To, że Palestyńczycy nie mają szans na własne państwo i dziejową sprawiedliwość, dawno spowszedniało nie tylko Zachodowi, ale też Arabom. Koszmar, który 7 października rozegrał się w Izraelu i który od dwóch miesięcy rozgrywa się w Gazie, przypomniail, że czas zmienić podejście, bo ten konflikt to żadna przeszłość, to tykająca bomba zegarowa. ●

Niepokojąca zdolność do przetrwania

Dlaczego Putin uwziął się na ludzi LGBTQ prawie jak na Nawalnego.

Maria Łacińska

17 listopada ministerstwo sprawiedliwości Federacji Rosyjskiej – czyli organ, który w każdy piątek ujawnia zagranicznych agentów, a w niektóre dni dodaje do listy niepożądane organizacje – wysłało do sądu najwyższego wniosek o uznanie „międzynarodowego ruchu społecznego LGBT” za organizację ekstremistyczną. Tym samym domaga się zakazania „LGBT w Rosji”. Rozprawa odbyła się 30 listopada.

Absurdalna wiadomość – jak może istnieć zjednoczony ruch międzynarodowy oparty na seksualności i płci? Ale Kremlowi to nie przeszkadza; powody wojskowe i ustrojowe są ważniejsze. By odwrócić uwagę Rosjan od niepowodzeń na froncie ukraińskim, wystarczy znaleźć wroga wewnątrz. No i kolejne wybory Putina odbędą się już w przyszłym roku, a dyskryminacja osób LGBTQ jest kontynuacją „walki z narzuconymi zachodnimi wartościami”.

Reakcje osób LGBTQ są różne. Blogerzy, którzy wyjechali, ironizowali lub publicznie dziękowali sobie za decyzję: „Było wiadomo, że będzie tylko gorzej”. Ci, którzy pozostali, albo zignorowali tę wiadomość – „kto się do nas przyczepi, skoro nie machamy flagą na ulicy” – albo wpadli w panikę, zamykając swoje projekty i usuwając sieci społecznościowe, albo próbowali opracować linię dla prokuratury i sądu, konsultując się z prawnikami i działaczami praw człowieka, jak interpretować ekstremizm.

Ale posiedzenie sądu jest tajne. Oznacza to, że osoby LGBTQ w Rosji, a także media, które o nich piszą, i organizacje, które im pomagają, nie będą miały skąd wiedzieć, jak władze interpretują „ekstremizm osób queer”. Pozostaje roztrząsanie na własną rękę: czy jedna z najstarszych organizacji, Rosyjska Sieć LGBT, i jej założyciel, działacz praw człowieka Igor Koczetkow, zostaną uznani za ekstremistów? Czy wizerunek sześciokolorowej tęczy i skrót „LGBT” zostaną zakazane? Czy zostaną ukarane poszczególne publiczne osoby queer, czy też ścigani będą wszyscy?

Zapewne najbardziej zagrożeni będą znaczący twórcy treści queer i organizacje LGBTQ – a więc w sumie niewiele się zmieni, bo już teraz urzędowy zakaz „propagandy LGBTQ” i ustawa o zagranicznych agentach pozwalają nękać osoby queer. No i aby represje stały się masowe, potrzeba czasu i środków, a wskutek korupcji, zaniedbań i zwykłego lenistwa urzędników państwo nie ma energii na czystki na dużą skalę, jak za czasów Stalina.

Lecz władze mogą szkodzić punktowo tu i tam, uwziąć się na poszczególne osoby. Efekt zaskoczenia, niejasne sformułowania, brak logiki i kary rozciągnięte w czasie to także narzędzia tortur. A do tego w czasie wojennego wzmożenia rozpowszechniło się donosicielstwo, teraz zaś donosiciele dostali dodatkowe narzędzie.

Po pierwszej ustawie sprzed dekad, zakazującej „propagandy LGBTQ” wśród nieletnich, rozszerzeniu jej w grudniu zeszłego roku na wszystkie grupy wiekowe, zakazaniu sześć

miesięcy temu korekty płci wiele osób queer w Rosji spodziewało się logicznego kroku, czyli kryminalizacji związków homoseksualnych, jak w ZSRR, ale państwo postanowiło ich zaskoczyć „ekstremizmem”.

Konsolidacja narodu wokół wroga to niejedyny powód, dla którego reżim uwziął się na osoby LGBTQ. Ta społeczność jest niewygodna ze względu na swoją zdolność do przetrwania.

Osoby queer w Rosji od lat wykazują zdolności adaptacyjne do opresyjnych przepisów i wrogiego otoczenia. Nawet po wybuchu wojny odbywały się edukacyjne i rozrywkowe wydarzenia queer, blogerzy i podcasterzy tworzyli treści, a organizacje LGBTQ pomagały ludziom. W dodatku osoby LGBTQ zrzeszają się chętniej i skuteczniej niż inni Rosjanie. A dzięki empatii ukształtowanej przez dyskryminację pomagają Ukraińcom lub otwarcie sprzeciwiają się wojnie.

Jednym z najgłośniejszych oskarżeń aktywistów antywojennych jest sprawa przeciwko jawnej lesbijce, artystce Saszy Skoczilenko, która podmieniała w marketach metki na takie z informacjami o wojnie w Ukrainie. W listopadzie dziewczyna usłyszała wyrok: siedem lat kolonii karnej. Sasza spędziła półtora roku w areszcie śledczym, była zastraszana przez sędziów i funkcjonariuszy służby więziennej, nie dostawała jedzenia, nie pozwalano jej – a ma celiakię i wadę serca – na wizyty u lekarzy, o odmówieniu widzeń z Sonią, jej partnerką, nie wspominając.

Po inwazji na Ukrainę wiele queerowych mediów emigrowało, aby pomagać Ukraińcom oraz krzywdzonym rodakom finansowo i informacyjnie. Popularny youtuber Karen Szainian pojechał do Berlina i zaczął kręcić materiały o wojnie i państwowej homofobii, edukatorka seksualna Sasza Kazanцева w Wilnie zbierała pieniądze dla ukraińskiej armii i polsko-ukraińskiej organizacji kobiecej Martynka, psychołożka i pracownica organizacji LGBTQ Sfera Olga Razmachowa przekazyje z Pragi pieniądze na pomoc humanitarną, aktywiści QueerSvit pomagają Rosjanom wyjeżdżać z kraju, a producentka Tatiana Kalinina założyła w Tbilisi społeczność lesbijek Cheers Queers. Ja mieszkam w Warszawie, uprawiam niezależne dziennikarstwo i działam na rzecz LGBTQ.

Po 30 listopada pojawi się więcej wychodźców. Będą potrzebować pomocy krajów UE w zakresie wiz i integracji. Czasu na przygotowanie się do nowych okoliczności lub emigrację jest sporo – decyzja ministerstwa prawdopodobnie wejdzie w życie dopiero w styczniu, po świętach. Zupełnie jakby władze dawały Rosjanom LGBTQ „czas na ucieczkę, zanim będzie za późno”.

Jednak nie wszyscy będą mogli wyjechać – jedni z powodów rodzinnych, inni finansowych, a są i tacy, którzy zostaną pryncypialnie.

Mimo starań reżimu osoby nieheteroseksualne i niecisplciowe nie znikną ani z Rosji, ani z oczu. Potrzeba czasu, aby się dostosować, wypracować protokoły bezpieczeństwa i, podobnie jak w przypadku mówienia o wojnie, znaleźć nowy, niby neutralny, ale zrozumiały dla postronnych język – i nadal treści LGBTQ i organizacje pomocowe będą krążyć po kraju. ●

Przełożyła Patrycja Eiduka

Masakra 7 października
w kamerach terrorystów

ALLAH
JEST
DZISIAJ
DLA NAS
DOBRY



Większość ludzi nigdy nie zobaczy nagrań Hamasu, które obejrzałem. Zazdrość im.

Wojciech Czuchnowski

Małe dzieci zabijane strzałami w głowę, torturowani zakładnicy, bezczeszczone zwłoki ofiar i duma oprawców z Hamasu, że „własnymi rękami” mordują Żydów. Oryginalne nagrania z 7 października mogą śnić się po nocach.

Tak mówił o tym Yoram Reshef, żydowski biznesmen mieszkający w Polsce, podczas spotkania w siedzibie ambasadora Izraela: – Wyobraźcie sobie nasze dzieci zamordowane podczas festiwalu Open’er. Albo wyobraźcie sobie zbrodnię wołyńską, tylko współcześnie.

Szersza publiczność najpewniej nigdy nie zobaczy tego filmu. Powód? Jest zbyt drastyczny i nawet kilkuminutowy skrót pokazywany czasem przez izraelskie służby prasowe pozostawia traumę. Powód kolejny: szacunek dla ofiar oraz ich rodzin.

Niektórzy jednak (w tym niżej podpisany) uważają, że sceny z ataku Hamasu na izraelskich cywilów powinny być pokazywane. To jedyna przeciwwaga dla szerzonej przez terrorystów oraz ich zwolenników propagandy, w której brutalny mord nazywany jest słusznym odwetem czy nawet „powstaniem”. Takie porównanie – konkretnie do powstania war-

szawskiego – wygłosił w telewizji Al-Dżazira Haidar Eid, profesor Uniwersytetu Al-Aksa w Gazie.

Cały film ma 43 minuty i pokazuje, jak głoszą napisy, jak zginęło 139 spośród 1380 ofiar. Śmierć niektórych zarejestrowana jest na żywo. Dosłownie.

Nad ranem 7 października terrorysty z kilku kierunków zaatakowali 30 kibuców wzdłuż granicy Strefy Gazy oraz uczestników trwającego w tych stronach festiwalu Nova Music, imprezy podobnej do polskiego Open’era, gromadzącej młodzież z całego świata.

Film składa się ze scen ułożonych w porządku chronologicznym – od rana do wieczora, gdy rozpoczęto identyfikację ofiar. Zdjęcia nie są montowane, na angielski przetłumaczono tylko dialogi terrorystów (choć część z nich mówi też po angielsku). W filmie są także reakcje ofiar; nie można ich dosłownie cytować, żeby nie identyfikować poszkodowanych oraz ich rodzin.

Nagrania pochodzą z kilku źródeł. Główne to kamery nasobne (body cam), które część terrorystów miała na uniformach. Obrazy były albo transmitowane, albo zachowały się na kartach pamięci, które wraz kamerami zostały przy zabitych napastnikach. Część scen terrorysty filmowali telefonami, żeby wysłać je do rodzin lub na pamiętkę. Nagrania audio to wewnętrzna komunikacja pomiędzy oddziałami Hamasu. Kolejne źródło to monitoring uliczny i kamery rozstawione na terenie kibuców, w domach osadników oraz na terenie festiwalu. Następne – media społecznościowe Hamasu, który chwalił się akcją. Wreszcie nagrania dokonane przez izraelską armię i policję podczas identyfikacji ofiar.

Film udostępniła nam ambasada Izraela. Podczas pokazu nie można było nagrywać dźwięku ani kopiować zdjęć. Można było tylko robić notatki.

SCENA 1
PIĘCIU W PIKAPIE,
CZTERECH NA MOTOCYKLACH

ŹRÓDŁO: HAMAS BODY CAMERA

Pięciu młodych mężczyzn na skrzyni pikapa. W rękach karabiny AK-47, mają kamizelki kuloodporne, ładownice, na głowach zielone opaski z arabskim napisem. Za nimi jeszcze czterech, na motocyklach. Ci w pikapie śmieją się i krzyczą „Allah akbar!”. To najczęściej powtarzane słowa w filmie.

Piaszczysta droga, słoneczny poranek 7 października. Pikap i motocykle wjeżdżają przez otwór wycięty w siatce odgraniczającej Strefę Gazy od terytorium Izraela.

SCENA 2

FIRST PERSON PERSPECTIVE

ŹRÓDŁO: HAMAS BODY CAMERA

Na pierwszym planie lufa kalasznikowa. Każdy, kto grał w strzelanki FPP – first person perspective – zna ten widok. Grający wciela się w strzelca, który w rękach trzyma broń, likwidując cele. Tu strzelec jest prawdziwy. Cele również.

Asfaltowa droga, strzelec stoi z prawej strony, inni trochę dalej, po lewej. Z naprzeciwka jedzie srebrny hyundai i30. Terrorysty machają, coś krzyczą. Kierowca jest zdezorientowany, jeden z terrorystów ma izraelski mundur. Auto zwalnia, kierowca przysłania twarz dłonią. Strzały, samochód staje, sypie się szkło z szyb, strzelców jest dziewięciu, dojeżdża dwóch na motocyklu. Kamera strzelca pokazuje wnętrze osobówki. Kierowca i pasażerka zabici.

SCENA 3

„ZABIJ GO!”

ŹRÓDŁO: HAMAS BODY CAMERA

Inna droga. Granatowa terenówka ma otwarte drzwi. Kierow-

ca uciekł na pobocze, leży kilkanaście metrów dalej, ma zsunięte spodnie. Terrorysta oddaje do ciała kilka strzałów.

Znów scena FPP. Białe suzuki przechylone na poboczu. Drzwi otwarte. Kierowca zabity, pasażer obok żyje. Z boku dobiega głos: „Zabij go!”. Strzelec zabija pasażera.

SCENA 4

„KTO MOŻE PROWADZIĆ?”

ŹRÓDŁO: HAMAS BODY CAMERA

Na środku drogi dwa trupy. Kobieta w biustonoszu i mężczyzna. Podjeżdża motocykl z dwoma terrorystami. Machają bronią, wydają okrzyki radości. Zatrzymują się przy ciemnej toyocie z rozbitymi od strzałów szybami, to tym samochodem jechała para leżąca na drodze. Wyrzucają bagaże, niektóre przeszukują, zaglądają do lodówki turystycznej. – Który może prowadzić? – pyta głos zza kadru. Zgłasza się jeden z pasażerów motocykla, po chwili odjeżdża zdobycznym autem.

SCENA 5

SKRZYŻOWANIE

ŹRÓDŁO: KAMERY MONITORINGU ULICZNEGO (CCTV)

Skrzyżowanie ze światłami. Kilka bezładnie stojących samochodów, przy nich trupy. Terrorysty strzelają do środka pojazdów, w których są ludzie, z czarnego opla wywlekają kierowcę i dwóch pasażerów, zabijają ich przy samochodzie.

SCENA 6

„SPAL TO!”

ŹRÓDŁO: HAMAS BODY CAMERA

Kibuc Be’eri, 5.55 rano. Dwóch z Hamasu podchodzi do partero-

wego domku. Jeden mówi: „Przysięgam na Boga, zastrzeliłem żołnierza!”. Pod wiatą stoi biały ambulans, strzelają w oponę. Idą przez osiedle, wybiega czarny pies, chyba labrador, nie jest agresywny. Zabijają go trzema strzałami. Wchodzą między domy, w ogródku grill, obok dziecięcy rower. – Siedzą w środku – mówi jeden. Przez siatkę w oknie widać rodzinę przy stole. Seria strzałów rozrywa siatkę. Słychać przeciągły krzyk. Kolejny dom, na werandzie nazwisko rodziny, która tu mieszka. Z pułapu zwisają jakieś ozdoby – dzwonki, łapacze snów, drewniane rybki i koniki morskie. Dużo kwiatów. Obraz zatrzymuje się dłużej na mozaice przy oknie i na motocyklu stojącym pod ścianą. Słychać głośny oddech strzelca. Mówi do kolegi „spal to”, tamten zapalniczką podpala stojące w oknie suche rośliny, po czym uchyla roletę. Obaj seriami strzelają do środka.

Następny dom. Znów dziecięcy rower przed wejściem, bokiem przemyka kot, z wnętrza słychać muzykę. Terrorysta nożem do tapetu rozcina siatkę w oknie. Serie z AK-47.

SCENA 7

„MY CHYBA UMRZEMY”

ŹRÓDŁO: KAMERY MONITORINGU DOMOWEGO

Kibuc Kfar Aza, godz. 6.29. Brak dźwięku. Sypialnia nastolatka, niepościelone łóżko, chłopiec, który dopiero co wstał, patrzy na drzwi, za chwilę wbiega mężczyzna – ojciec – też świeżo obudzony, trzyma młodsze dziecko. Starszy chłopiec próbuje gdzieś telefonować, ale ojciec zabiera obu synów na zewnątrz, chronią się w murowanym budynku przypominającym letnią kuchnię. Zza kadru widać rękę, która wrzuca do środka granat, dalej nie ma dźwięku, ale obraz drga od wybuchu, chmura dymu, ciało mężczyzny wypada na

FOT. OHAD ZWIGENBERG/AP, AFP/EAST NEWS, JACK GUEZ/AFP/EAST NEWS, FRANCISCO SECO/AP



zewnątrz. Terrorysta wyprowadza chłopców, którzy przeżyli wybuch, zataczając się, wracają do domów.

W kolejnym ujęciu obaj siedzą w kuchni. Tu kamera nagrywała dźwięk, więc słychać płacz. Obaj są zakrwawieni, młodszy w miejscu oczu ma czarne plamy, płacze, że nic nie widzi. Pyta, gdzie jest ojciec, brat odpowiada, że nie żyje. Do kuchni wchodzi terrorysta (wciąż ten sam), z lodówki wyjmuje butelkę z tonikiem, pyta chłopców, czy się napiją, ci płaczą, że chcą do mamy. Terrorysta wrzuca tonik do lodówki, wyjmuje colę i pije, wychodzi, młodszy chłopiec płacze, że nic nie widzi. Starszy mówi: „My chyba umrzemy”. Nie wiadomo, co stało się z tymi dziećmi.

SCENA 8

PUSTE PRZEDSZKOLE

ŹRÓDŁO: KAMERY MONITORINGU DOMOWEGO

Kibuc Be’eri, godz. 9.51. Korytarz przedszkola, pustego – to sobota. Rysunki na ścianach, dziecięce mebelki. Dwaj terroryści sprawdzają pomieszczenia. Znajdują kobietę z głową w poduszce. Terrorysta sprawdza, czy żyje, bada puls na szyi, potem strzela w głowę. Wchodzi drugi, o czymś rozmawiają (brak dźwięku), po czym zabierają ciało z pokoju. Nie wiadomo po co.

SCENA 9

„POZWÓL IM SIĘ BAWIĆ”

ŹRÓDŁO: NASŁUCH RADIOWY KOMUNIKATÓW
HAMASU

Komendant Malek: – Jesteśmy tu, w kibucu Nirim! Chwalmy Pana, nasi bracia z batalionu Al-Qassem weszli do trzech domów, zastali ich, zastrzelili, ucieli im głowy nożami!

Komendant Hamza: – Malek, rób zdjęcia tych głów, pozwól chłopakom się nimi pobawić w piłkę na ziemi!

SCENA 10

„PIERWSZY CZŁOWIEK, KTÓREGO ZABIŁEM”

ŹRÓDŁO: FILM Z TELEFONU JEDNEGO Z TERRORYSTÓW

Bliski plan, przed domem leży nastolatek w pamiątkowej koszulce lokalnego biegu. Koszulka jest żółta, w połowie zakrwawiona, chłopiec na pewno jest nieprzytomny. Właściciel telefonu filmuje, komentując: – Niech historia będzie moim świadkiem, to pierwszy człowiek, którego zabiłem!

Chłopiec porusza się, terrorysta, wciąż filmując, kopie go i krzyczy: – Zabij Żyda! Daj mi nóż! Zamiast noża bierze szeroką motykę, nieudolnie uderza w szyję ofiary, próbując odciąć chłopcu głowę. Krzyczy: – Żydowski skurwysyn! Znów uderza motyką, coraz więcej krwi, ale głowa nie odpada. Na chwilę pokazuje do telefonu swoją twarz – brunet około trzydziestki, okulary, krótkie włosy, przycięty zarost.

SCENA 11

„CHWALMY PANA!”

ŹRÓDŁO: MONITORING DOMOWY, Z DŹWIĘKIEM

Głos zza kadru: – Kręć wideo, kręć to! W drzwiach leżą zwłoki mężczyzny. Terrorysta staje na nich i strzela trzy razy w głowę. Idzie dalej, krzycząc: „Chwalmy Pana!”. W kuchni półnaga, bosa kobieta. Nie żyje. W sypialni kolejna. Na łóżku szczotka do włosów, kosmetyki, rozrzucone ubrania...

SCENA 12

W GAZIE

ŹRÓDŁO: SOCIAL MEDIA HAMASU

Ulice Gazy, przez tłum przebija się powoli pikap, na pace kilku terrorystów wracających z akcji i nieprzytomny nagi mężczyzna. Tłum wiwatuje i filmuje jeńca, jeszcze

na samochodzie dosięgają go drągami, potem ściągają na ziemię i masakrują, kopiąc i depcząc.

SCENA 13

IDENTYFIKACJA CIAŁ 1

ŹRÓDŁO: KAMERY SŁUŻB IZRAELSKICH

Jeden z kibuców po odejściu terrorystów. Korytarz domu we krwi, ślady wleczenia ciał prowadzą do pomieszczenia, gdzie leży kilkanaścioro martwych mężczyzn, kobiet i dzieci. Zbliżenie na czarną spaloną bryłę. Dopiero gdy się przyjrzeć, widać, że to ludzka głowa, odcięta i przecięta od góry niemal dokładnie na pół. W kuchni zabita kobieta, zabity pies – owczarek. W pokoju dziecięcym zwłoki dziewczynki na kocu z Myszka Miki. Zginęła od strzału w głowę. Drugie dziecko częściowo spalone, piżama z wizerunkami postaci Disneya, trzecie dziecko – bez głowy. Zabita dziewczynka w sukience w granatowe i białe motyle. Kolejna dziewczynka, piżama z Królikiem Bugsem, twarz zmasakrowana strzałem. Dzieci mają po kilka lat. Jest też niemowlę zastrzelone w łóżeczku.

SCENA 14

„TATO, ZABIŁEM ICH WŁASNYMI RĘKAMI!”

ŹRÓDŁO: ROZMOWA JEDNEGO Z TERRORYSTÓW
Z RODZICAMI

Podniecony głos młodego człowieka: – Tato, mówię do ciebie z Mafalsim. Popatrz na mojego WhatsAppa! Zobacz, ilu ludzi zabiłem własnymi rękami. Zabiłem ich własnymi rękami! Twój syn zabił Żydów!

Ojciec: – Niech Bóg cię chroni, synu!

Syn: – Dzwonię z telefonu żydowskiej kobiety. Zabiłem ją i jej męża, i dziesięciu innych, moimi własnymi rękami! (krzyczy z radości) Zobacz na WhatsApp

pie, zobacz, ilu zabiłem, otwórz WhatsAppa, ich krew jest na mnie. Daj mi mamę... (w tle słychać kobiecy głos i płacz) Mamo, zabiłem więcej niż 10 Żydów! Mamo, twój syn jest bohaterem!

SCENA 15

„OSZCZĘDZAJ AMUNICJĘ”

ŹRÓDŁO: MONITORING Z KWATER WOJSKA PILNUJĄCEGO STREFY PRZYGRANICZNEJ

Półnagie dziewczyny w wojskowych spodniach prowadzone do samochodów, kopane, ciągnięte za włosy. W ciemnym pokoju kilka ukrytych pod meblami. Głos zza kadru: „Oszczędzaj amunicję!”. Pojedyncze strzały. Głos: „Allah akbar, wy psy!”. Dziewczyna leżąca pod stołem rusza się. Głos: – Nie zabiliśmy jeszcze tej. Kilka strzałów, dziewczyna nieruchomieje.

SCENA 16

„TOTALNIE ICH ZMASAKROWALIŚMY!”

ŹRÓDŁO: KORESPONDENCJA RADIOWA I MEDIA
SPOŁECZNOŚCIOWE HAMASU

Operator: – W czołgu był jeden żołnierz, zabiłem go.

Dowódca: – Przywieź go i zawieś na Al-Alam Square [plac w Gazie].

Operator: – Ale chłopcy nie chcą tego trupa w środku.

Dowódca: – Przywieź go i pozwól ludziom się cieszyć! Przywieź go, powieś, ukrzyżuj go!

Operator: – Z Bogiem! Totalnie ich zmasakrowaliśmy!

Z transportera opancerzonego terroryści wyciągają ciało czołgisty, zrzucają pod nogi tłumy. Masakrowanie zwłok, potem jeden z terrorystów odcina nożem głowę od ciała. Trwa to kilkanaście sekund, ludzie wiwatują. Podjeżdża cywilny samochód terrorystów, w środku też zwłoki żołnierza. Wyrzucają je na ziemię, tłum tratuje ciało.

SCENA 17

„CHCĘ SOBIE ZROBIĆ SELFIE”

ŹRÓDŁO: HAMAS BODY CAMERA, TELEFONY OFIAR,
MONITORING ULICZNY

Teren festiwalu Nova Music, rząd przenośnych toalet. Terroryści strzelają do ubikacji, gdzie ukryli się ludzie. Scena ze środka: ukrywają się dwie osoby. Dziewczyna płacze, mężczyzna filmuje swoje drżące nogi. Ta sama toaleta kilka godzin później, ściany i podłoga we krwi. Ukrywający się zginęli.

Puste pole przy terenie festiwalu, biegnie kilkadziesiąt osób. Terroryści nie próbują ich gonić, strzelają, stojąc, jak do ruchomego celu. Krzyczą z radości, jedni drugim radzą, by oszczędzali amunicję. Ktoś pyta: – Jak morale? – Wysokie! Przysięgam! – słyszy w odpowiedzi. Inny dialog: – Zachowaj amunicję na żołnierzy! I trochę na dzieci!

Parking festiwalu: terroryści znoszą zwłoki w jedno miejsce, żeby je podpalić. Inni dobijają tych, którzy kryją się pod samochodami. W czerwonym kontenerze na śmieci kryje się kilkanaście osób, jedna kręci drżącą ręką parę klatek filmu. Słychać głosy terrorystów: – Allah jest dzisiaj dla nas dobry! To są wszystko ciała psów! Odgłosy spluwania.

Niewielki biały budynek z logo festiwalu, w środku ludzie. Terroryści strzelają przez okna, rzucają granaty, słychać krzyki. Potem sprawdzają, czy ktoś żyje. Jedna z ofiar – mężczyzna – się rusza. Głos: – Wyciągnij go za pasek! Wywlekają go, pluja na niego. Zganiają jeszcze kilku żywych i pokrwawionych i pakują na pikapa. Niektórych kopią, ciągną za włosy, znów pluja. Głos: – Tych nie zabijaj. Potrzebujemy zakładników! Już na samochodzie jeden z terrorystów woła do kolegów: – Chcę sobie zrobić selfie! Siada na skulonych jeńcach, filmuje się, komentując: – Tu są bohaterowie!

SCENA 18

IDENTYFIKACJA CIAŁ 2

ŹRÓDŁO: KAMERY SŁUŻB IZRAELA PO WEJŚCIU
NA TEREN FESTIWALU, TELEFONY RODZIN OFIAR

Teren za główną sceną. Kilkanaście lodówek Coca-Coli, napadnięci ludzie próbowali się tam ukryć. Wszystkich zastrzelono. Zginęli również ci, którzy zdołali dostać się do samochodów na parkingu. W niektórych autach po kilka ciał, wszystkie spalone, w nienaturalnych pozach. Spalona jest też grupka ludzi, którzy schowali się w niewielkim zagajniku.

Służby znoszą ciała i pakują do białych worków. Rodziny, które są na miejscu, próbują identyfikować bliskich. Jedna z dziewczyn została przed śmiercią zgwałcona, teraz nad częściowo zwęglonym ciałem rodzina wymawia jej imię. Nie, to nie ona, nie ma tatuażu... To dobrane, chodźmy dalej... Oglądają kolejne zwłoki, większość nadpalonych, z rękami i nogami skrępowanymi taśmą, kogoś przed śmiercią zakneblowano. Ciało bez głowy.

Na koniec spalony i szczerbiony – już nie czerwony – kontener na śmieci, gdzie w chwili ataku schowała się grupa młodych ludzi. Ich ciała dalej tam są. ●

FOT. BARTOSZ HLEBOWICZ



dżają włoska straż przybrzeżna i włoska marynarka. Nie kłamał, a w każdym razie niewiele się pomylił (włoski instytut badań politycznych ISPI przypisuje NGO-som 8 proc. uratowanych), zapomniał tylko dodać, że o „winie” organizacji pozarządowych trąbi jego własna partia, Bracia Włoscy, na czele z obecną premier. Skoro NGO-sy, ratujące co dwudziestego uciekiniera z Libii (bądź Tunezji), są winne „kryzysu migracyjnego” czy „inwazji”, to „wina” włoskiej marynarki jest co najmniej 10 razy większa!

Różnica jest taka, że „Geo Barents” i inne statki pomocowe zapuszczają się dalej niż włoska straż przybrzeżna. Gdyby nie one, cmentarzysko, jakim stała się centralna część Morza Śródziemnego, byłoby jeszcze większe. Nie byłoby nawet komu liczyć „zaginionych”. MSF wylicza, że w tym roku na wodach między Tunezją i Libią a Półwyspem Apenińskim utonęło 2,2 tys. osób, a Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji (IOM), że od 2014 r. liczba ta sięga 22,5 tys. (a na całym Morzu Śródziemnym, uwzględniając także trasy wschodnią i zachodnią – ponad 28 tys.). To najbardziej śmiertelna trasa migracyjna na świecie. A mowa tylko o udokumentowanych przypadkach – teraz, gdy włoski rząd każe statkom pomocowym marnować czas na bezsensowną żeglugę, obszar tzw. libijskiej strefy SAR często pozostaje bez kontroli. SAR oznacza search and rescue, czyli ratowanie i poszukiwanie. Konwencja SAR z 1979 r. stanowi, że „każdej osobie znajdującej się w niebezpieczeństwie na morzu należy udzielić pomocy, niezależnie od narodowości lub statusu takiej osoby lub okoliczności, w jakich się znajduje”. Wszystkie morza świata zostały podzielone na strefy, tak aby żaden skrawek nie pozostał bez opieki któregoś nadmorskiego państwa.

Libia przystąpiła do konwencji SAR dopiero w 2018 r. (ale nigdy nie podpisała konwencji genewskiej), tyle że „ratunek”, jaki niesie rozbitkom, z reguły oznacza zawrócenie ich do Libii, poddawanie torturom i wymuszanie okupu za uwolnienie. Włoski rząd nie tylko przymyka na to oczy, ale też ładuje miliony euro na finansowanie działalności libijskiej straży. Ta zaś nieraz podpytywa na włoskich motorówkach do ratowników NGO i strzela dla postrachu, próbując skłonić ich do odstąpienia od akcji ratunkowej. Sam widziałem, jak 11 listopada między pierwszą a drugą udaną akcją ratunkową włoska motorówka oznakowana pomarańczowym pasem jako łódź ratunkowa odpływała w stronę Libii. Tyle że – podarowana kilka miesięcy temu przez rząd Melo-

ni – teraz należy do libijskiej straży granicznej, a na jej pokładzie z pewnością byli uciekinierzy z Libii, którzy widząc oznakowanie, w pierwszej chwili skierowali się w jej stronę.

OPOWIEŚCI O ZŁYM ŻYCIU

Weryfikowanie opowieści ocalańców nie jest moją rolą ani też ratowników Lekarzy bez Granic. To zadanie dla włoskich urzędów imigracyjnych.

Nie łudzę się, że usłyszałem od ocalańców pełne historie; każdy ma swoje tajemnice, powody, cele i strategie przetrwania, na które wpływają choćby formalne wymogi w tzw. krajach pierwszego kontaktu. Zdaję też sobie sprawę, że ich historie wcale się nie skończyły wraz z zejściem na brzeg we Włoszech ani nie zaczęły w momencie wejścia na drewnianą łódź czy ponton w libijskiej Zuwarze. Teraz będą musieli nauczyć się poruszać w labiryntach włoskich przepisów imigracyjnych i przede wszystkim oprzeć się zakusom świata przestępczego, włoskiego, a także mafii z importu – rodaków, którzy ściągają ich tutaj, by znowu ich zniewolić i wykorzystać.

Nie mam jednak powodu podawać w wątpliwość tych fragmentów ich opowieści, którymi się ze mną podzielili. Zbyt wiele raportów o gehennie przeprawy przez Saharę i libijskie miejsca zatrzymań – więzienia, oficjalne i nieoficjalne obozy dla imigrantów, prywatne posesje, gdzie imigrantów zamienia się w niewolników – ujrzano światło dzienne w ostatnich latach, żeby udawać, że się nie wie, co tam się dzieje.

Obie grupy wyratowaliśmy w sobotę. O pierwszej poinformowała organizacja wolontariacka Alarm Phone – dzwonią do niej znajdujący się w potrzebie ludzie na morzu, a ona przekazuje alarm do władz państw i statków w okolicy. Drugą wypatrzył śmigłowiec Colibri francuskiej organizacji wolontariackiej Pilotes Volontaires. Ci z pierwszej grupy, głównie Etiopczycy oraz kilku Erytrejczyków, Gambijczyków i po jednym Nigeryjczyku i Senegalczyku, mówią, że wypłynęli o 11 wieczorem w piątek. Podjęliśmy ich z morza w sobotę około 11 rano, a zatem spędzili ścisnięci na pontonie 12 godzin, w nocy. Bengalczycy (77 oraz dwóch obywateli Sudanu Południowego – Sudańczyk i Syryjczyk), których znaleźliśmy w drewnianej łodzi późnym popołudniem, rozpoczęli przeprawę dwie godziny wcześniej. A zatem ich podróż trwała około 19 godzin.

Gdy wszedłem na dolny, otwarty pokład (na „Geo Barentsie” nazywają go: shelter deck) w niedzielę rano, spalo tu w trzech rzędach 150 mężczyzn. Na górnym pokładzie (streamer deck), gdzie jest mniej miejsca, umieszczono kobiety i dzieci – w sumie 12 osób.

Nagrania, zapiski i pamięć pozwalają mi na odtworzenie 15 opowieści. Powtarza się wzór – cierpienia uciekinierów i okrucieństwa Libijczyków. Nie znaczy to, że historie pozostałych rozbitków byłyby podobne – nie każdy przeszedł identyczną drogę, z niewolniczą pracą, torturami, głodzeniem i wymuszaniem pieniędzy w Libii. Część z nich to zapewne „tylko” tzw. migranci ekonomiczni, chociaż rozróżnienie na „prawdziwych” uchodźców i „zwykłych” migrantów zaciera wiele odcieni pośrednich. Czy ktoś, kto opuszcza Nigerię, Irak, Pakistan czy Bangladesz, bo chce lepszego życia w Europie, powinien mieć mniejsze szanse niż Polak wyjeżdżający kiedyś na – legalne i nie – sakso do Niemiec, Szwecji i USA? Albo dzisiaj do Wielkiej Brytanii?

Ledwie usiadłem, podeszło do mnie kilku Bengalczyków, mówiąc, że jeden z nich

W dwóch
akcjach
ratunkowych
na Morzu
Śródziemnym
podjęliśmy
162 osoby.

Opowiedziały
mi, przed czym
uciekają

Jak nie przygotować uchodźcy do życia w Polsce

• To prawda, nie wiemy, jak zareagować na migrację w szerszym niż humanitarny kontekście.

• Tekst Małgorzaty Tomczak nie odbiera prawdziwości obrazom przywołanym przez Grynberga czy Holland.

• Do nas, aktywistów, należy mówienie o dzieciach w lesie. Do dziennikarzy umieszczanie tych opowieści w szerszym kontekście.

• Oddzielanie prawdy od fałszu wywołuje sprzeciw środowiska, nawet najbliższego.

• Tak, statystycznie w lesie na granicy polsko-białoruskiej jest więcej młodych mężczyzn. Ale to niczego nie zmienia.

• Gdy rusza procedura azylowa, uchodźca ląduje w ośrodku gorszym niż więzienie.

Na **Wyborcza.pl/magazyn** założycielka Podlaskiego Pogotowia Ochotniczego zabiera głos w dyskusji, czy rację ma Małgorzata Tomczak krytycznie przyglądająca się „Zielonej granicy” i liberalno-lewicowej narracji uchodźczej, czy jej krytycy broniący aktywistycznej narracji.

– siedział nieco dalej – chce ze mną rozmawiać. Zaprowadzili mnie do niego.

Nie mówił po angielsku – tłumaczenia podjął się 26-letni Shofiqul. Ale za chwilę mówili wszyscy, wymieniając między sobą mnóstwo uwag w swoim języku. „International media?”, dopytują. Tak, pracuję dla dużej polskiej gazety, jestem korespondentem z Włoch – tłumaczę i często pokazuję dziennikarską plaketkę, wskazując moje imię i nazwisko oraz nazwę: „Gazeta Wyborcza”.

Oto historia **35-letniego Mizanura**, tak jak łamanym angielskim i z pomocą innych, a także trochę na migi, mi ją opowiedział: „Policja libijska to wielka mafia. Trzymali mnie w jednym pomieszczeniu: bili w głowę, uderzali w obie skronie jednocześnie. Byłem tam dwa lata. Przez miesiąc nie dali mi jeść. Za uwolnienie chcieli 50 tys. dol. Pomogli mi inni Bengalczycy”. Dopytuję, czy na pewno 50 tys., bo wydaje mi się, że to zawrotna suma. Potwierdza kilka razy. Pytam, jak dotarł do Libii: „samolotem do Dubaju, potem do Syrii, a potem do Bengazi. Pracowałem w Libii w barze przez rok. Nie płacili mi”. Mizanur przerywa, daje znak ręką, że już nic nie jest w stanie powiedzieć.

Grono opowiadaczy i zarazem słuchaczy się powiększa.

Sha Alom, 21 lat: „W Libii pracowałem dwa lata. Nie płacili mi. Libijska policja biła mnie kijem po nogach i plecach. Przykładali karabiny. Zażądali 10 tys. dol. Dali mi 14 dni. Transfer pieniędzy z banku w Bangladeszu”.

(Podchodzi inny Bengalczyk, bez słowa pokazuje poranione ręce i nogi, odwraca się, podnosi bluzę: pręgi od bata lub kija przez całe plecy).

Kontynuuje Sha: „Jak dostali pieniądze, powiedzieli: »Idź«. Potem morze i wybawienie ze strony »Geo Barentsa«. We Włoszech nie znam nikogo”.

Mustaqmia, 24 lata (przyprawdza go Sha Alom): „Najpierw przyleciałem do Dubaju, stamtąd do Libii. W Libii jest kontakt, ściągają ludzi z Bangladeszu. Pracowałem w kafejce w Bengazi, zanim mnie zamknęli. W więzieniu w Bengazi trzymali mnie rok, przystawiali pistolet do głowy. Jesteśmy bardzo biednymi ludźmi. Rodzina sprzedała dom i ziemię, żeby zapłacić okup. Przewieźli mnie z Bengazi do Trypolisu. Chcę trafić do Rzymu” (tłumacz wtrąca, że wszyscy Bengalczycy chcą do Rzymu).

Ashrafi, 24 lata: „Poleciałem do Dubaju. Miałem wizę do pracy. Pracowałem w restauracji. Nie płacili, nie dawali jeść. Byłem w Dubaju dwa lata, 9 miesięcy bez zapłaty. Postanowiłem przedostać się do Libii, że-

by pracować. Bengazi, potem Trypolis”. Nie znalazł albo nie zdążył znaleźć pracy. „Mafia policja”. Pokazuje mi ślady tortur na rękach i nogach, mówi, że bili go i strzelali do niego. A także kneblowali mu usta. Tłumacz: „Gdy nie płacił, podłączali go do prądu”. I dalej: „Za pierwszym razem trzymali mnie miesiąc, wtedy musiałem zapłacić 5 tys. dol.”. Ale to im nie wystarczyło. „Potem znowu mnie torturowali i żądali kolejnego haraczu. Filmowali te tortury, a potem wysyłali mojej rodzinie w Bangladeszu. Dziadek, gdy zobaczył to nagranie, dostał zawału. Moja rodzina nie ma jedzenia i wody do picia. Mój ojciec jest rolnikiem. Nie mają pieniędzy na naukę mojego młodszego brata. Musieli sprzedać dom, żeby zdobyć pieniądze na wykupienie mnie. Musieli zapłacić Libijczykom w sumie 20 tys. dol. Jak znajdę pracę we Włoszech, sprowadzę rodzinę”.

Shofiqul, który tłumaczy, mówi tylko, że jego historia jest inna, on nie miał takich doświadczeń.

Gdy grupka Bengalczyków się rozchodzi, dostrzegam na uboczu Afrykanina. Przysiadam się, uderza mnie smutek w jego oczach. **Abdul z Etiopii** mówi krótko, syntetycznie, pojedynczymi słowami: „Libia – więzienie – bicie – wymuszanie okupu od rodziny”. Najbardziej zwięzła narracja uchodźcza w świecie. Siedzimy obok siebie jeszcze kilka minut, jego oczu nie zapomnę nigdy.

To ostatnia rozmowa w niedzielę, dzień po uratowaniu obu grup.

Historia **Lucky’ego z Sudanu** Południowego, opowiedziana na raty: w poniedziałek rano, kiedy „Geo Barents” wracał do Włoch i byliśmy na wysokości Cagliari, oraz po południu, bliżej środkowych Włoch. „Jestem Nuerem. Moja matka i dwaj młodsi bracia zostali zabici podczas plemiennych wojen domowej. W Sudanie został ojciec i ostatni z młodszych braci. Do Libii dostałem się z Sudanu w legalny sposób. Trzymali mnie w więzieniu kilka razy. Nie dawali prawie nic do jedzenia. Próbowalem uciec cztery razy. Ostatnim razem byłem przetrzymywany rok”. Nie mówi więcej, bo „byłaby to bardzo długa historia”.

Paul z Nigerii, 40 lat: „Jestem słuszarzem. W Nigerii mam żonę i piątkę dzieci. Najmłodszej, która teraz ma kilka miesięcy, jeszcze nie widziałem. Zaczęło się ponad rok temu. Pracowałem w swoim warsztacie, kiedy pojawił się jakiś mężczyzna. Powiedział, że podoba im się moja praca. Zapytał, czy może wziąć numer do mnie. Powiedziałem: »Jasne«. Zadzwonił kilka tygodni później i powiedział, że ma dla mnie robotę. Przyjechał po mnie samochodem. Miałem do zrobienia jedną czy dwie roboty, naprawić szafę, wymienić klucze. Zrobiłem to, zapłacił mi. Powiedział, że może jeszcze w przyszłości będzie miał dla mnie jakąś pracę. Odpowiedziałem: »No problem«. Kilka miesięcy później zadzwonił znowu i zapytał, czy mogę podróżować. Jestem podróżnikiem, nieraz pracowałem poza krajem, w wielu miejscach. Powiedziałem: »OK«. Znalazłem się u niego, gdzieś w okolicach Sokoto [północna Nigeria]. Zacząłem pracować. Nie wiedziałem, że miał jeszcze inny motyw. Około północy przyszedł ze swoimi ludźmi. Zostałem porwany. Było nas trzydziestu. Wsadził nas do ciężarówki. Prowadził. Pytałem, dokąd nas wiezie. Wcześniej rozmawiał ze mną po angielsku, teraz tylko po arabsku. Znaleźliśmy się na pustyni. Przywiózł nas do Libii, do innego domu. Powiedział wprost, że jesteśmy porwani i że teraz musimy dla niego pracować, wykonywać wszystko, czego zażąda. Sprzątaaliśmy mu farmę, zabierał nas też do pracy na farmach swoich przyjaciół. Nie mogłem komunikować się z rodziną. Bałem się. Każdy, kto mu się sprzeciwił, zniknął. Gdy ktoś uciekał, strzelali. Ja nie próbowałem – to najgorsze, co można zrobić. Miał wielu ludzi na swe rozkazy. Musiałem pracować rok, do jedzenia dostawałem tylko chleb. Potem natknąłem się na jakiegoś człowieka, chyba Tunezyjczyka. Powiedział, że dobrze zna człowieka, który mnie porwał, i że on zawsze tak

robi: wyszukuje ludzi, zwabia, porywa i każe dla siebie pracować. Pomógł mi uciec. Jednej nocy przyszedł do mnie. Powiedział, że mam przeskoczyć przez płot, tam będzie czekał na mnie samochód. Tak zrobiłem. Kierowca mówił tylko po arabsku, nie chciał powiedzieć, dokąd mnie wiezie. Nie jechaliśmy długo. Zawiózł mnie nad morze i wyjaśnił, że mężczyzna, który mi pomógł, kazał mnie wsadzić na łódź do Europy. Powiedziałem, że to nie moja podróż, że mam rodzinę w Nigerii. Powiedział, że nie mogę wracać, bo ten porywacz mnie zabije. Dał mi telefon. I tak się znalazłem tutaj. O porwaniach słyszy się w mediach, ale nigdy nie myślałem, że sam będę ofiarą. Wielu moich kolegów, rzemieślników jak ja, zginęło w ten sposób. Ale teraz nie chcę wrócić do Nigerii, będzie mi znowu groziło to samo. Stosują wiele sposobów na uprowadzenie pracujących ludzi. Chciałbym, żeby Ni-

Próbowałem przekroczyć Morze Śródziemne sześć razy, ale łapali mnie na brzegu i wsadzali do więzienia.

Musiałem płacić, żeby mnie wypuścili

geria zmieniła postawę wobec swoich obywateli. Mam nadzieję, że Włochy pomogą mi stanąć na nogi, pokazać mój talent, pomogą w ściągnięciu rodziny. Mój telefon zamókł podczas akcji ratunkowej. Moja żona nie wie, czy wciąż jestem w Libii i czy żyję. Jestem jedynym żywicielem rodziny”.

Hisham, Syryjczyk, 36 lat: „Najpierw studiowałem marketing w Damaszku, potem miałem salon gier. Wybuchła wojna i straciłem wszystko. Żeby utrzymać rodzinę, postanowiłem emigrować. Pracowałem w Libii jako programista. Próbowalem przeprawić się przez morze dwa razy. Za pierwszym razem łódź zaczęła tonąć, złapali nas Libijczycy i sprowadzili z powrotem, wsadzili do więzienia. Uratowali nam życie, ale w więzieniu traktowali bardzo źle. Zwłaszcza ludzi o ciemniejszym kolorze skóry. Zdarzyła się wizyta kontrolna ONZ, ale to na nic, nie zobaczyli tego, co się tam dzieje. Spędziłem w więzieniu dwa tygodnie, musiałem dać łapówkę, żeby wyjść. Spróbowałem wypłynąć ponownie, tym razem się udało. Wszyscy ludzie, którzy zostali wyłowieni, uważają załogę »Geo Barentsa« za anioły”.

Nuti z Etiopii: „Do Libii dostałem się samochodem przez Saharę. Trafiłem do więzienia. Raz mnie pobili. Uciekłem, strzelali do mnie. Żeby mieć pieniądze na łódź, zadzwoniłem do ojca. Chcę pracować we Włoszech, mogę robić wszystko”.

T. z Erytrei, 22 lata: „Podróż przez Saharę i pobyt w Libii – pięć miesięcy. Dwa razy próbowałem wypłynąć. Za pierwszym razem złapali mnie jeszcze na lądzie. W więzieniu w Libii trzymano mnie przez miesiąc, bez jedzenia. Potem byłem przez tydzień w Trypolisie. Potem dwa miesiące w okolicach Zuwary [w oczekiwaniu na łódź]. Pieniądże przysłała mi mama”. Pytam go o służbę wojskową w Erytrei – osiem-dziesięć lat temu Amnesty International i światowe media pisały o przymusowej i bezterminowej służbie wojskowej dla chłopców i dziewcząt – niektórzy trafiali do wojska i już nigdy z niego nie wychodzili. Jednopartyjna dyktatura w Erytrei uważa, że to konieczne dla bezpieczeństwa kraju. Młodzi ludzie wolą jednak wolność od przymusowej „służby ojczyźnie”, nieraz do śmierci. Tesfay opowiada: „Służba jest obowiązkowa przez sześć miesięcy, potem sześć miesięcy nauki. Jeśli na egzaminie zdobywasz odpowiednią liczbę punktów, możesz kontynuować naukę (mnie się udało, chodziłem do college’u), jeśli nie – dalej służysz w wojsku”. Pytam, co zamierza, jak widzi swoją przyszłość w Europie. „Jesteś z Polski? Kocham Polskę, chciałbym zwiedzać. Chcę zobaczyć Polskę, Finlandię, Szwajcarię. Chciałbym być dziennikarzem

jak ty. W Erytrei to niemożliwe. We Włoszech będę się uczył języka”.

N. z Gambii najpierw opowiada mi swoją historię, a potem spisuje ją na użytek włoskich służb imigracyjnych. „Mam 17 lat. Opuściłem mój kraj, bo trudno w nim żyć. Rząd traktuje nas źle, nie ma pracy dla młodych. Jesteśmy biedni, wyjechałem, żeby utrzymać rodzinę. Z powodu biedy mamy za mało jedzenia, jemy dwa razy dziennie. Musimy żebrać. We Włoszech będziemy służyć rządowi, przestrzegać reguł panujących w tym kraju i pomagać naszym rodzinom, bo bardzo tego potrzebują. Wyruszyłem w podróż w 2019 r., kiedy miałem 13 lat. Rok spędziłem w Algierii z powodu braku pieniędzy. Pracowałem na budowie. Gdy zarobiłem pieniądze na dalszą podróż, ruszyłem do Libii. W Libii pracowałem przez trzy lata jako kierowca taksówki bagażowej. Oszczędzałem na opłatę za podróż łodzią.

Próbowałem przekroczyć Morze Śródziemne sześć razy, ale nie udawało mi się z powodu policji i rebeliantów na brzegu. Łapali mnie na brzegu i wsadzali do więzienia. Musiałem płacić, żeby mnie wypuścili. Byłem w więzieniu trzy razy, musiałem ciężko pracować, byłem torturowany i wykorzystywany seksualnie”.

Rafiq z Bangladeszu, 24 lata: „Od początku chciałem się dostać do Włoch. W Bangladeszu mam ojca, matkę, młodszego brata i młodszą siostrę. Gdy dotarłem do Libii, pracowałem w Zuwarze. Dwa miesiące. Pakowałem ciastka w sklepie. Zaaresztowali mnie i bili”. (Zdarza się, że libijscy pracodawcy, nie chcąc płacić wynagrodzenia, sami dzwonią po policję i denuncjują pracowników).

Milon Ray z Bangladeszu, 19 lat: „Do Libii dostałem się przez Dubaj. W Libii byłem trzy miesiące, pracowałem w Trypolisie jako elektryk, nie płacili mi. Dorwała mnie mafia. Bili mnie i nagrywali to, a potem zadzwonili do moich rodziców po pieniądze. Na początku zażądali 3 tys. dol. W sumie musiałem zapłacić 15 tys.”.

Alem z Etiopii, 28 lat: „W Etiopii, w Addis Abebie, studiowałam marketing, kiedy zaczęły się problemy polityczne. Któregoś razu ojciec, który był Romem, zabrał mnie na święto swoich ludzi. Wtedy dopadli go żołnierze i pobili na śmierć, musiałam na to patrzeć. Później zaczęłam szukać informacji, dlaczego go ścigali i zabili. A oni zaczęli się rozpytywać o mnie. Chcieli mnie aresztować. Uciekłam do Sudanu. Miałam wtedy 22 lata. W Etiopii, na wsi, została moja mama, brat i siostra z rodziną. Nie mają dobre go życia, żyją w ciągłym strachu, nie są wolni. W Sudanie spędziłam pięć miesięcy, to nie było dobre miejsce. Przedostałam się do Egiptu, gdzie w sumie żyłam przez prawie sześć lat, przez jakiś czas w obozie UNHCR dla uchodźców. Tam urodziła się moja córka. Nie było tam dla nas niczego. Egipt był bardzo niebezpiecznym miejscem, policja aresztowała wielu ludzi, wielu ginęło. Ceny był bardzo wysokie, drogi czynsz za mieszkanie, brak szkoły dla dzieci. Nie ma wolności. Przygarnęłam też trójkę dzieci mojej przyjaciółki, która zmarła w Egipcie. Postanowiłam wyruszyć do Europy. Z nimi wszystkimi przeszłam przez Saharę do Libii. Było też kilkoro moich przyjaciół. Dwa miesiące spędziłam w Trypolisie. Tam też nie było łatwo. Moje dzieci się bały. Któregoś dnia wyszłam z synem do sklepu, pojawiła się policja, chcieli nas aresztować. Zaczęliśmy mówić po arabsku. Powiedzieliśmy, że jesteśmy z Sudanu. Puszczili nas, ludzi z Sudanu traktują lepiej, bo to też mułumanie. Od tego czasu przez miesiąc nie wychodziliśmy w ogóle z domu, w którym

czekaliśmy na wypłynięcie. Nie wypuszczali nas. Cały czas trwały walki między ludźmi z Trypolisu a tymi z Bengazi. Zabrałam się z przyjaciółmi na ponton, nie miałam pieniędzy, ale pomogli mi ze względu na czwórkę dzieci. Teraz jesteśmy bezpieczni. Chcę, żeby moje dzieci dorastały w wolnym kraju, dobrze się uczyły i były szczęśliwe. Jeżeli znajdę dobre miejsce dla moich dzieci, mogę mieszkać gdziekolwiek”.

IDA, CHOĆ WIEDZA, ŻE BĘDĄ GWAŁCONE

Rozmawiałem też z Marie-Anne Henry, Francuzką, położną na „Geo Barentsie”, dla której to była już trzecia misja. Kiedy jest na lądzie, pracuje w podparyskim szpitalu. W projektach MSF – w Jemenie, Wybrzeżu Kości Słoniowej, Demokratycznej Republice Konga, Ugandzie i Palestynie – uczestniczy od 2015 r.

Mówi, że ok. 20 proc. czasu pracy na „Geo Barentsie” to pomaganie w czysto kobiecych sprawach, reszta to zajmowanie się ofiarami przemocy fizycznej i seksualnej, zarówno kobietami, jak i mężczyznami. Marie-Anne opowiada, że kobiety przed przeprawą przez Saharę i pobytem w Libii zaczynają przyjmować środki antykoncepcyjne. Albo o kobiecie, która postanowiła przedostać się do Europy z ośmioletnią córką, która nie potrafiła mówić. Liczyła, że w Europie znajdzie specjalistów, którzy sprawią, iż któregoś dnia będzie mogła z nią rozmawiać. Po drodze libijscy oprawcy zgwałcili obie.

– Kobiety, które decydują się na podróż, wiedzą, że najprawdopodobniej będą gwałcone, także w obecności swoich rodzin. Ale się nie wahają, tę podróż postrzegają jako projekt ratujący życie. Nic nie może zmienić ich zamiaru – mówi Marie-Anne.

– Dla uchodźców już samo przebywanie w Libii oznacza niebezpieczeństwo – dodaje Kanadyjka Niassa Navidzadeh, psycholożka na pokładzie „Geo Barentsa”. – Ale nie opuszczaliby swych krajów, gdyby nie musieli. Dla nich podróż przez Libię to jedyny sposób przetrwania, uważają, że podejmują najlepszą możliwą decyzję, najlepszą ze złych. Inni są sprzedawani do Libii jak niewolnicy.

KONKRET

„Moralisci” Katarzyny Tubylewicz to gorzki zapis porażek integracji w Szwecji. O niefunkcjonalności systemu francuskiego media donoszą niemal codziennie. Nie napawają otuchą setki czarnych chłopaków krążących po ulicach włoskich miast w nadziei na zarobienie jednego euro za paczkę spinaczy czy zapalniczkę albo przesiadujących na schodach przed dworcami i w parkach. We florenckim parku Cascine grupki czarnych młodzieńców okupują wybrane miejsca, a właściciele rabowanych sklepów twierdzą, że ich towary trafiają właśnie tam.

Jednak moje relacje z wyprawy z „Geo Barentsem” są o czym innym: są prostą opowieścią o ratowaniu ludzkiego życia – bo każdy ma prawo do bycia uratowanym.

W ciągu dwóch i pół roku „Geo Barents” uratował przed śmiercią w morzu lub torturami w libijskich karcerach 9981 osób. W „rotacji”, w której ja uczestniczyłem – 162. To jest konkret, który się liczy. ●

Nasz reporter na statku Lekarzy bez Granic

- Dlaczego „Geo Barents” marnuje ropę, żeby uratować 29 migrantów, choć ma miejsce dla 630.
- Drugiego dnia na pokładzie zabawiłem się w prawicowego trolla z polskiego internetu.
- Wciążam na pokład reklamówki z mokrymi koszulami, oglądam bliźny po torturach. Cykl korespondencji z Morza Śródziemnego – tylko na [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

ZBIGNIEW BONIEK, BYŁY PIŁKARZ,
BYŁY SZEF PZPN, WICEPREZES UEFA,
W ROZMOWIE Z **RAFAŁEM STECEM**

Wszyscy cali na białą, od stóp do głów. Na 20 kortach ekskluzywnego Parioli Tennis Club obowiązują stroje nieskazitelne jak na Wimbledonie. Są też boiska do padła, piłki nożnej ośmio- oraz pięcioosobowej, basen, siłownia, sporo zieleni, a także elegancki Club House z restauracją, barem, salami do bilar-da, do kart. Urokliwy, istniejący od 117 lat park sportu w sercu Rzymu.

By dołączyć, potrzeba rekomendacji dwóch członków i opłacania składki przez półroczny okres próbny. Boniek zagląda do klubu Parioli prawie codziennie. Mieszka kilkaset metrów stąd, w pobliżu jest też Caffè Mimoza, do której były wybitny piłkarz – w Italii znany powszechnie jako Zibi – codziennie zachodzi na śniadanie. Od 41 lat żyje w dwóch krajach, a jeszcze dłużej pozostaje jedną z najszerzej rozpoznawalnych postaci publicznych w Polsce. Jest gwiazdą mediów społecznościowych, obserwuje go ponad 1,2 mln osób.

Lubi pan prowokować polityków na X, dawnym Twitterze, więc przedstawiciele ustępującej władzy wypomnieli panu niedawno scenę z mundialu w 1982 r. Jest tuż po meczu, siedzi pan w koszulce reprezentacji ZSRR. W domyśle – ko-much, zdrajca.

– Totalny absurd. Po innych meczach tych samych mistrzostw zakładałem stroje Kamerunu, Peru, Francji. Wymiana koszulek z rywalami to tradycja, pozbawiona jakiegokolwiek tła politycznego. Choć akurat tamten dzień miał podteksty – awansowaliśmy do półfinału dzięki wyeliminowaniu ZSRR, w kraju trwał stan wojenny, na trybunach wisiały flagi z logo „Solidarności”. Po ostatnim gwizdku podszedłem do polskich kibiców, wyciągnąłem rękę z palcami ułożonymi w literę V. Nazajutrz prezes PZPN Włodzimierz Reczek ostrzegł mnie, że to niemile widziane gesty, miał wściekłe sygnały z góry. Taki ze mnie komunista. Równie dobrze ze Zmarzlika można robić piłkarza, a z Lewandowskiego żużlowca.

Inna sprawa, że my, zawodnicy reprezentacji, wcale nie mieliśmy świadomości wszystkiego, co się dzieje w kraju. Zgrupowanie nie trwało dwa tygodnie, tylko kilka miesięcy, zaszywaliśmy się w górach, istniała jedna telewizja, prasa była organem partii. Wiedzieliśmy, że żyjemy w Polsce Ludowej, wiedzieliśmy, kim jest pierwszy sekretarz, ale nie mogliśmy przełączyć z TVP na TVN, a całymi sobą angażowaliśmy się tylko w sport, to był nasz świat.

Wiem, jaka logika stoi za awanturą o koszulkę z CCCP. Boniek musiał się bratać z władzą, żeby wyjechać do Włoch – tyle że podczas mundialu miałem już podpisany kontrakt z Juventusem, wszystko było załatwione wiosną.

Prawdę mówiąc, gdyby pan unikał narażania się władzy w latach 80., żeby wyjechać, nie miałbym nic przeciwko. Wygrał pan z turyńskim klubem Puchar Europy [ówczesna Liga Mistrzów], a my oklaskiwaliśmy bezprecedensowe sukcesy polskiego piłkarza w historii. A przypomnijmy, jakie w PRL obowiązywały zasady: najpierw zawodnicy mieli prawo wyjechać dopiero przy trzydziestce, więc Deyna nigdy nie zagrał w Realu Madryt, potem przepisy złagodzono – granicą były 28. urodziny – a pan jako jedyny zdołał się wyrwać w wieku 26 lat...

– Już za młodu konsekwentnie powtarzałem, kiedy chcę wyjechać, i przepowiadałem, że przyjedzie po mnie słynny klub. Tak się stało, a 2 mln dol., które za mnie zapła-



• **Hiszpania 1982, Zbigniew Boniek wraca z mundialu, na którym Polska zajęła trzecie miejsce, do kraju**
FOT. MAREK WIELGUS/REPORTER

ZIBI,
VIDI,
VICI

**Nie dam sobie
wyprać głowy
przez propagandę.
Jak ktoś jest bandytą,
to jest bandytą
– narodowość
nieważna.**

cono, to nie były pieniądze duże ani bardzo duże, lecz gigantyczne, właściwie chore. Za domek jednorodzinny na Falistej w Łodzi dałem chyba 1700 dol.

Dlatego komuniści mnie puścili. Oczywiście się zaświeciły – trzeba pamiętać, że Włodzów otrzymał tylko małą działkę, i to po oficjalnym kursie, kluby nie mogły nawet zakładać kont walutowych, zresztą PZPN też. Wszystko wzięli działacze z Centralnego Ośrodka Sportu, to z nimi handlował Juventus. I pamiętam, że kiedy potem wróciłem do Polski, z Turynu zabrałem 50 tys. dol. gotówką, żeby po cichu przekazać Włodzowi – tak się kluby umówiły, ale Włodzi nie wiedzieli, jak się wywiązać, więc poprosili mnie.

Być może ktoś z naszych piłkarzy wyjechałby na Zachód w kwiecie wieku już w latach 70., gdyby nie towarzysze z COS, którzy nie mówili w żadnym obcym języku, nie mieli pojęcia o transferach i pertraktowaniu z zagranicą, nie było z kim rozmawiać, przed kim położyć na stole tych milionów. Zanim pojawił się Juventus, chcieli mnie szefowie AS Romy – przylecieli, dorwali jakiegoś księdza, który tłumaczył z polskiego na włoski. Interesu nie ubili, bo

oferowali dwa miliony w ratach. A nasi towarzysze woleli wszystko od razu.

Pan w Turynie też awansował do innej finansowej ligi.

– Tak, choć wtedy nawet światowe gwiazdy nie zarabiały tyle, by po zakończeniu kariery mieć zapewnioną luksusową resztę życia. Dzisiaj piłkarze w dwa sezony dostają więcej. Czasami nawet rezerwowi w czołowych klubach.

W Widzewie na moje wynagrodzenie składało się pięć etatów w pięciu różnych zakładach łódzkich, głównie włókienniczych. Żeby zebrać całość, raz w miesiącu musiałem wszędzie pójść do księgowości, do każdej fabryki. Pytali mnie czasami, czy to uczciwe, czy to nie za dużo, więc odpowiadałem, że przecież gramy i dla siebie, i dla kibiców, a jeśli mamy traktować sport poważnie i wygrywać, to nie stać nas na chodzenie rano do pracy. Zresztą tamten domek kupiłem dopiero w ostatnim sezonie gry w Widzewie, wcześniej mieszkalem w 11-piętrowym bloku.

Kluby nie miały wtedy problemów finansowych, choć właściwie nie zarabiały. Jedynymi przychodami była sprzedaż biletów na mecze, której nikt nie kontrolował – w reklamówkach panie z kas zanosily wpływy do szefostwa i nie wiadomo, co działo się dalej. Kiedy już po moim wyjeździe Lechia Gdańsk przyleciała do Turynu na mecz w europejskich pucharach, działacze przywieźli 150 piłek na handel, chcieli je sprzedać Juventusowi. Polskie, po namoknięciu ciężkie jak cegły, tłumaczę im, że my w klubie mamy kontrakt z porządną firmą. Ale w końcu poszedłem do prezesa Bonipertiego, przekonałem go, że goście z Lechii potrzebują waluty na prezenty dla rodzin. Piłki nie nadawały się do niczego, dostali je juniorzy Juve – i czasami słyszałem, jak przeklinali w trakcie treningowej gierki, bo wystarczyło trochę deszczu, by przybierały kilka kilo.

Gdzie pan był, gdy zamiast „Teleranka” wystąpił gen. Jaruzelski i ogłosił stan wojenny?

– Na wakacjach w Rzymie, z żoną. Mieszkaliśmy w hotelu Eden na Via Veneto, rano zobaczyłem za oknem podejrzenie gesty tłum, schodzę, okazuje się, że czekają na mnie telewizje. Włosi wiedzieli, gdzie jestem, bo AS Roma ładnie mnie podjęła, zaprosiła na zwiedzanie ośrodka treningowego w Trigorii, na zajęcia – już kusili. Kilka klubów – także angielskich i hiszpańskich – namawiało mnie wówczas, żebym nie wracał do kraju, obiecywali załatwić pozwolenie na grę w pięć dni. Polski reżim łamie prawa człowieka, FIFA nie stawiałaaby przeszkód.

W ogóle mnie to nie interesowało. Nie będę uciekał, mówiłem, musicie mnie normalnie kupić. Pojechaliśmy z żoną na lotnisko Fiumicino, koczowaliśmy tam trzy dni. Tyle trzeba było czekać, aż z Warszawy przyleciał pierwszy samolot, kilka razy podawali nam kolejne planowane pory lądowania. Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje, telefony nie działały – wiedziałem tyle, ile usłyszałem od włoskich dziennikarzy, którzy próbowali mnie wypytywać, a ja odpowiadałem, że nie wiem, co to jest stan wojenny. I nie chciałem zostawać w hotelu, tylko możliwie najszybciej wracać.

Na Okęciu czekała zielona dacia, jakoś ją rozruszałem i dotarłem do Łodzi, choć zatrzymywali nas z sześć razy. Na szczęście wiedzieli, kim jestem, choć piłkarze nie byli jeszcze tak rozpoznawali jak dzisiaj.

Podczas mundialu w 1982 r. rozmawialiście o sytuacji w Polsce?

– Niewiele, choć zdawaliśmy sobie sprawę, że trwa turniej szczególnie, gramy dla ludzi znajdujących się w trudnym położeniu. Ale jeszcze raz powtarzam: jeśli zimę spędziliśmy z trenerem Piechniczkiem, jeśli kilkakrotnie wracaliśmy do Wisły lub lataliśmy na zagraniczne tournée grać sparingi, to naprawdę byliśmy daleko od najważniejszych wydarzeń. Przebywaliśmy w swoim gronie i nie istniały żadne kanały komunikacji, któ-

re pozwalały być na bieżąco. Kto chciał porozmawiać z rodziną w trakcie MŚ, musiał dobrze żyć z Darkiem Szpakowskim i dostać kilka minut z żoną na radiowych łączach.

Zdobyliście tam medal, a potem wyjechał pan do ligi włoskiej. Dlaczego akurat tam?

– Lubilem ich piłkę, klimat, od razu kliknęło. Wtedy się nie myślało z agentem o wysokości kontraktu, tylko wybierało dobre życie, sportowe i pozasportowe. Zakładałem, że po gram w Italii pięć-sześć lat i wrócę, tak ustaliliśmy z żoną, zresztą romanistką. Ale córka Karolina po dwóch sezonach zaczęła chodzić do szkoły, zmieniliśmy Turyn na Rzym, co-raz bardziej wrastaliśmy, rodziły się kolejne

Czasami nurtuje mnie, czy współcześni piłkarze w ogóle lubią grać, czy może zajmują się głównie budowaniem kariery, otoczeni specjalistami od marketingu

dzieci. Patriotą można być i tutaj, nieopodal domu mam nawet ulicę Piłsudskiego, a do Warszawy leci się dwie godziny.

W pewnym momencie przestaliśmy brać pod uwagę opcję powrotu, choć do dzisiaj jestem zameldowany również w Bydgoszczy, mam też oba paszporty.

Paradoks kariery – w Turynie, gdzie pan zwyciężał, wspominają pana z rezerwą, a w Rzymie, gdzie nie wygrał pan właściwie nic, umieszczają w galeriach sław, do dziś uważają za znaczącą osobistość, traktują jak swojego. Szefowa działu kultury „La Repubblica” mówiła mi kiedyś: „Słynny »styl Juve« potrzebował piłkarzy uporządkowanych, ulizanych, wszystkich spod jednej sztancy. A Zibi ze swoją rozczochną, długą czupryną i koszulką wypuszczoną ze spodenek wyglądał na typowego południowca. Niepokładany, czupurny, z temperamentem. W turyńskim modelu się nie mieścił, a w Rzymie natychmiast nawiązał namiętny, ognisty kontakt z miastem, klubem i kibicami. I trwa ten romans do dziś”...

– Muszę zaprotestować. Owszem, dzisiaj kojarzę się z Rzymem, tutaj skończyłem karierę, mieszkam od dekad i mam przyjaciół daleko spoza piłki, ale w Turynie „z rezerwą” patrz na mnie tylko ekstremistyczne grupy kibicowskie. Pewnie nawiązuje pan do historii z gwiazdką przyznawaną 50 największym postaciom w dziejach Juventusu – niektóre grupy żądały odebrania mi jej, gdy w trakcie afery korupcyjnej Calciopoli uczciwie wypowiedziałem się o roli odpowiedzialnego za nią Luciano Moggiiego [afera sprzed kilkunastu lat, turyński klub za karę został zdegradowany do drugiej ligi]. Ultrasi urządzali zadymy na stadionie, więc były prezes Andrea Agnelli zadzwonił i powiedział, że chce im pójść na rękę dla świętego spokoju. Jednak relacje z nim mam nadal doskonałe, w biurze trzymam okolicznościowy list i koszulkę...

Gwiazdkę otrzymał Edgar Davids, który z Juve nie wygrał niczego, za to został zdyskwalifikowany za doping...

– Dziwna sytuacja, ale wśród poważnych ludzi nikt mnie nie uważa za wroga Turynu, wiedzą, że o tamtej aferze mówiłem prawdę. Jestem byłym człowiekiem Juve, jestem też byłym człowiekiem Romy. A że nie podobam się niektórym turyńskim ultrasom?

Jeszcze przejrzą na oczy. Wystąpiłem z Juventusem w pięciu wielkich finałach, cztery wygraliśmy, strzeliłem trzy gole. Nie da się tego wymazać.

Ale tak, zakochałem się w Rzymie. Fantastyczna okolica na główną życiową bazę, mój temperament pasuje do niej bardziej niż do północy Włoch. Lubię tutejszą pogodę, parki, ludzi stąd, lubię to, że się szalenie identyfikują z Romą albo Lazio [stołeczne kluby piłkarskie, rozgrywają najgorętsze derby w Italii], nie sposób stać pomiędzy. Mogą mieć sto tysięcy problemów w pracy, ale jak z niej wychodzą, są uśmiechnięci, pogodni, wzajemnie się z siebie natrząsają, życie miło płynie, są pozytywne wi-bracje. Moja żona uwielbia wyprawy po

świecie, jeździ z koleżankami po Indiach, Indonezjach i Japoniach – a mi dobrze tutaj, w Rzymie nigdy nie kończą się rzeczy do zwiedzania. Z podróży najbardziej lubię moment, w którym wracam.

A potem nastaje sobota, wstaję o siódmej, jadę wzdłuż Tybru. Jaka to jest przyjemność! W słońcu, a w słońcu nie ma depresji. Przyjechał pan w połowie listopada, a siedzimy lekko ubrani na tarasie, wczoraj siedzieliśmy w kawiarnianym ogródku... Chce się żyć. Jeśli turyńscy czy mediolańscy są zimniejsi w kontaktach i stale myślą o pracy, to też wynika z tego, co się dzieje za oknem. Gdyby północną aurę przerzucić na Sycylię, to industrialny krajobraz wyrósłby tam, nie w Lombardii. Mam ogólną teorię, że mentalność w dużym stopniu wynika z klimatu, że klimat najbardziej determinuje postawę ludzi. Jak masz o poranku ładną pogodę pod domem, to masz też pogodę ducha i chce ci się kwadrans przyjaźnie pogawędzić z sąsiadem. W Polsce od listopada do marca wszyscy chodzą przygarbieni, nikt na nikogo nie patrzy – i ja się temu w ogóle nie dziwię.

A Rzym jest po prostu piękny. Nie umiem tego wytłumaczyć, tak jak nie wytłumaczyć, dlaczego kobieta jest piękna. Bo ma piękne ręce? Kostki? Twarz?

Z Polski przeniósłbym tutaj tylko czyste ulice.

W jakim stopniu czuje się pan Włochem, a w jakim Polakiem?

– W stu procentach Polakiem. I rzymianinem, to się nie wyklucza. Ale wszyscy tutaj wołają na mnie Il Polacco. Myślę w obu językach. Gdy ląduję na Okęciu, natychmiast się włącza polski. Gdy wyląduję w Rzymie, następuje automatyczna zmiana – śnię, analizuję, myślę po włosku.

Kim był tutaj imigrant z Polski w latach 80.?

– Moja pozycja społeczna była szczególna, a wtedy piłkarze nie byli celebrytami po-chowanymi za wysokimi bramami, którzy nie wiadomo gdzie mieszkają. Nas było wi-dać, żyliśmy pomiędzy ludźmi, chodziliśmy do kina i na kawę do normalnych knajpek. Traktowano nas jak książęta, ale jak do domu dzwonił dziennikarz „La Stampy” czy „Corriere”, to odbierałem. Dzisiaj rzeczy nie

do pomyślenia, dzisiaj gwiazdor rozmawia tylko, gdy mu pozwoli klub albo wywiad zorganizują mu współpracownicy od PR. I jeszcze zaakceptują pytania, muszą mieć pełną kontrolę.

Wkomponowałem się w rzymską rzeczywistość natychmiast, nie czulem się dodatkim. Ale też pamiętam Polaków o innym statusie, bo to my wtedy jeździliśmy w Europę, żeby zarobić. Stawałem na światłach, człowiek podchodził umyć szybę w aucie, od razu rozpoznawałem po twarzy rodaka. Spotykałem ich na skrzyżowaniach, a ile razy zdarzało mi się usłyszeć „Panie Zbyszku, przyleciałem z Wrocławia, jestem doktorem chemii!” I po pewnym czasie kiedy jechałem na trening, wiedziałem, gdzie kogo zobaczę. Polacy pracowali w restauracjach, na zmywaku, wykonywali najprostsze prace.

Co pan sobie myślał w ostatnich latach, gdy u nas ruszało szczucie na imigrantów i uchodźców, którzy ponoć przedzierają się do Polski tylko po to, żeby gwałcić i mordować?

– Nie mogę tego słuchać. Psychoza. Popelni przestępstwo przybysz z Afryki, to wybucha panika, popelni je Polak, to nic się nie stało. Od koloru skóry nie zależy to, czy ktoś jest kryminalistą, czy porządnym człowiekiem. Do Włoch też przyjeżdżali z Polski różni ludzie, czytało się czasami w gazecie, że ktoś pijany zgwałcił, ukradł. I co z tego? W tłumie są i tacy, i siacy. Też kiedyś byliśmy ogromną grupą migracyjną, tworzyliśmy problemy. Tylko mamy krótką pamięć.

Nie jestem ekspertem od skomplikowanych zjawisk, ale widzę, że gdybyśmy nie wpuszczali do Polski obcokrajowców, żaden hotel nie mógłby funkcjonować. I wiele innych branż, zresztą jak w innych zachodnich krajach. Znamy ze szwajcarskiej federacji opowiadał: „Mamy dobrą reprezentację, bo 20 lat temu musieliśmy przyjąć milion cudzoziemców, głównie z Bałkanów. Ale oni uratowali nie tylko piłkę. Bez nich nic by nie działało, bo Szwajcarzy wielu prac nie chcieli dotknąć”.

We Włoszech oczywiście też czuć, że mieszkają tu inne nacje. 200 metrów obok mojego domu stoi potężny meczet, co piętek gromadzi się tam mnóstwo muzułmanów. I nie czuję się niebezpiecznie. Nie dam sobie wypruć głowy przez propagandę. Jak ktoś jest bandytą, to jest bandytą. Narodowość nieważna.

A obrazki z Lampedusy? Powtarzam – nie pytam o rozwiązywanie wielkich dy-lematów, tylko o podstawowe odruchy.

– Wiadomo, że niekontrolowany przyrływ, na którym zarabiają organizacje przestępcze, trzeba powstrzymać. To rola polityków, muszą pogłównkować. Ale jeśli 50 m od brzegu do morza wyskakują matki z dziećmi, to myślę przede wszystkim o tym, że chcą mieć lepsze życie. Żeby nikt ich nie gwałcił, nie zabijał. Patrzę i serce mi pęka. My mieliśmy szczęście, urodziliśmy się w Europie, ale dzieci nie wybierają, gdzie przyjdą na świat, czasami los skazuje na Afganistan, Syrię, biedę w Afryce.

Ich krzywdy nie mogę znieść. Oglądałem niedawno film „Io capitano” [w reżyserii Matteo Garrone, twórcy kinowej wersji „Gomorri”] o dwóch Senegalczykach przedostających się przez pustynię, przez Libię do Włoch. Tam jest klasyczna historia: rodzice oszczędzają całe życie, żeby wysłać synów na drugi koniec świata, i nawet nie wiedzą, czy ich jeszcze kiedykolwiek zobaczą albo chociaż usłyszą.

Śledził pan kryzys na granicy polsko-białoruskiej?

– Wstydę się przyznać, ale czasami wolę wiedzieć mniej. Zwłaszcza że nie mam na pewne rzeczy wpływu. Dostaję białej gorączki, gdy widzę, że dzieciaki stają się narzędziem gry politycznej. Skala podłości, której nie umiem skomentować.

Pamiętam tweeta: „Panie Bielan, jako Polak – katolik niezaangażowany politycznie, mąż, ojciec, dziadek mam proś-

bę. Proszę mnie nie straszyć LGBT. To tyle. Milego dnia”.

– Jak świat światem, byli ludzie i heteroseksualni, i homoseksualni. Nie interesuje mnie, co robią partnerka z partnerem albo partner z partnerem. Uważam tylko, że jeśli są ze sobą całe życie, to nie mogą nie mieć żadnych praw posiadanych przez inne związki. Trzeba naprawić luki w przepisach.

Przy okazji – po zmianie władzy w Polsce najbardziej życzyłbym sobie tego, żebyśmy znów zaczęli się lubić, niezależnie od preferencji politycznych. Włosi potrafią się poawanturować i wciąż czuć wzajemną sympatię, a nam trudno znieść to, że ludzie się różnią.

Czym się różnią włoscy politycy od polskich?

– Odnoszę wrażenie – ale podkreślam: mogę się mylić – że wiodą bogatsze życie, polityka nie odgrywa aż takiej roli w ich codzienności. Naszych posłów polityka pochłania, są nadęci, zawsze poważni. Ktoś ich wpisał na listę wyborczą i już są z zawodu politykami. Co to za profesja? Najpierw zostać specjalistą w jakiejś dziedzinie, zrób coś pożytecznego, a potem zacznij rządzić krajem.

Tutaj przychodzą do polityki z doświadczeniem, ale też możesz ich przylapać na różnych aktywnościach, o każdym coś widać. Parlament nie zasłania im wszystkiego, wydają się bardziej ludzcy. Może dlatego Włosi mogą się pochwalić Ferrari, kuchnią, modą, a my chyba tylko oscypkiem. W PRL-u produkowaliśmy Poloneza – dlatego po odzyskaniu wolności nie wyrósł z niego nowoczesny samochód, jak ze Škody czy Dacii?

Słyszał pan, jak Polak pyta Anglika, jakim cudem wyhodował taki piękny trawnik? „Żaden problem. Podlewam i koszę”. Polak odpowiada, że w takim razie też będzie podlewał i kosił. „Ale my to robimy od 180 lat”.

Pan jest nadaktywny, do dzisiaj sport uprawia pasjami.

– Nawyki wyuczone w dzieciństwie. Grałem nie tylko w piłkę nożną, ale też ręczną, w hokeja na lodzie – na bramce, bo słabo jeździłem na łyżwach.

I nie pamiętam, by ktokolwiek prowadził mnie na trening. Albo czekał po zajęciach, żeby odwieźć do domu. Po szkole biegaliśmy, skakaliśmy, ganialiśmy całymi dniami, tysiące godzin z piłką. To była najlepsza forma spędzania czasu. Od mamy słyszałem tylko: „Uważaj, te trampki muszą ci wystarczyć na pół roku”. I nagle się orientowałeś, że jesteś w czymś dobry. Nie istniała motywacja: „Zajmę się tym, bo to mnie ustawi na całe życie, będę bogaty i sławny”. Byliśmy wyselekcjonowani przez podwórkę, słabi nie szli się zapisywać do sekcji.

Dzisiaj dziecko jest totalnie uzależnione od opiekunów. W wieku sześciu lat decyzję podejmują rodzice, płacą za wszystko, nie wiadomo, czy mały w ogóle ma ochotę na sport, do rywalizowania nie przystępuje naturalnie, przez podwórkę. Ćwiczy tyle, ile trwa trening, od A do Z zarządzają nim rodzice. Może dlatego współczesnym piłkarzom brakuje spontaniczności mojego pokolenia? Czasami nurtuje mnie, czy oni w ogóle lubią grać, czy zajmują się głównie budowaniem kariery, otoczeni specjalistami od marketingu. Bo wyglądają, jakby byli w pracy, nie czerpią z gry szalonej przyjemności, brakuje entuzjazmu. Upływ czasu szczególnie widać przy Złotej Piłce [nagrodzie przyznawanej piłkarzowi roku na świecie], którą teraz wręcza się na gali jak Oscary, gwiazdy zakładają smokingi i wchodzą po czerwonym dywanie. W 1982 r., gdy zająłem trzecie miejsce, plebiscyt wygrał Paolo Rossi, kolega z Juventusu. Dowiedział się od trenera Trapattoniego, organizatorzy wręczyli mu statuetkę przed zwykłym ligowym meczem. Najważniejsza była sama gra.

Ale nie chcę przesadnie narzekać. Obowiązuje nowy model i tyle.

Co pana kręci najbardziej – wysilek fizyczny czy rywalizacja?

– Lubię się zmęczyć i iść pod prysznic, ale lepsze jest wygrywanie. Rywalizacja. Gram w padła, w tenisa, w karty czy bilarda. Zawsze po to, żeby wygrać, z najwyższym zaangażowaniem. Nawet jeśli z synem przegram w szachy, to mnie to męczy. Sam rywalizuję i oglądam rywalizację innych, z wiedzy o historii żużla w Polsce mógłbym startować w olimpiadzie.

Rozrzut sportowych zainteresowań olbrzymi. Jak pan wpadł na to, żeby powozić klusakami?

– W dzieciństwie wakacje spędzałem nad Notecią, u dziadków. Tam jeździłem na koniu, byłem też odpowiedzialny za karmienie Baški. Zostało to we mnie na całe życie, chciałem wrócić. I pierwszego konia kupilem już po przeprowadzce do Rzymu, od tamtej pory mam ich zawsze od pięciu do siedmiu – przed zakupem analizuję drzewo genealogiczne, trzymam je w stadninie pod miastem, gdzie mają trenera, wysyłam na zawody w całych Włoszech. A ponieważ organizuje się też goniczność dla amatorów, to po kilkunastu latach przyglądania się z boku jako właściciel postanowiłem sam spróbować sił. Od tamtej pory też siaduję w bryczce i powożę, brałem udział w ponad 250 wyścigach, a wygrałem ponad 30. [Boniek odpala wideo i pokazuje jedno ze swoich zwycięstw].

Dostaję białej gorączki, gdy widzę, że dzieciaki stają się narzędziem gry politycznej.

Skala podłości, której nie umiem skomentować

Rola wiceprezesa UEFA chyba nie jest zbyt absorbująca?

– Nie siedzę godzinami za biurkiem, jestem raczej ambasadorem. Gdy potrzeba naszego przedstawiciela na meczu najlepszych młodzieżowych drużyn Europy i Ameryki Południowej w Buenos Aires, to lecę do Buenos Aires. Spełniam obowiązek, ale bywa po prostu przyjemnie – gdy zechcę obejrzeć z trybuny El Clásico [mecz Barcelony z Realem Madryt, najpopularniejszy hit rozgrywek klubowych], wystarczy jeden telefon, by pięć minut później czekało na mnie zaproszenie, bilet na samolot, samochód i kierowca. Siłą UEFA jest struktura organizacyjna, potęga doskonała latami.

Niedawno wywołaliście poruszenie, gdy próbowaliście przywrócić rosyjskie drużyny juniorskie do rozgrywek.

– Trzech członków komitetu wykonawczego głosowało przeciw – ja i dwóch Anglików. Ale idea upadła, protesty były zbyt silne. Zwolennicy złagodzenia sankcji w ogóle nie pomyśleli, że to logistycznie niemożliwe. Jaki kraj wpuściłby rosyjski zespół? Kto zgodziłby się z nim grać? Chyba tylko Węgry. Gwarantuję panu, że pomysł nie wróci. Rosjanie nie mają na co liczyć, dopóki nie ustanie wymiana ognia. Wtedy zaczniemy rozmawiać, a i wtedy będzie trudno, bo trzeba ustalić, na jakich zasadach przywrócić wykluczoną federację. Z ostatnich miejsc rankingowych? Z zajmowanych przed agresją na Ukrainę? Skomplikowane sprawy, ale na razie nie ma o czym dyskutować, najpierw wojna musi się skończyć. ●

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Pojedynek

Janusz Rudnicki

Panie Rudnicki, ja też z Kędzierzyna jestem, ale ja nie wyparowałem jak pan, ja tu zostałem na dobre i na złe, będzie o jednym i drugim.

Napisał pan kiedyś, że lepiej wpaść w panikę niż do Kędzierzyna-Koźla. I że tutaj nawet papugi milczą, bo ludzie takie głupoty gadają, że aż wstyd powtarzać. Ale i są tacy, bez których życie smakuje jak zjełczały smalec. O kobietach mówię. A ściśle o jednej. O niej.

To przez nią wyszedłem na ulicę i byłem jedynym człowiekiem w mieście, który to zrobił. Musiał pan słyszeć, że niedawno paliła się u nas hala magazynowa odpadów z chemikaliami. Zastępy straży nie mogły opłamać pożaru, substancje były nieznane, wojewoda wystosował apel do mieszkańców, żeby nie wychodzić z domu, nie otwierać okien. Miasto zamarło, ale ja nie. Szedłem pustymi ulicami jak szeryf, wiatr hulał, wszyscy się pochowali ze strachu przed pojedynkiem. Szedłem do niej, miłości mojej, która jest jak kornik, bo żżera mnie od środka.

Zablokowała mnie wszędzie, telefon, mail, Messenger. Bo odszedłem do innej. Bo mnie zamroczyło. Trąba jakaś powietrzna porwała. Nie, nie chcę o tym pisać, już po tygodniu wiedziałem, że to tąpnięcie. Ocknąłem się, dzwoniłem, pisałem, nic. Chłostę milczeniem mi zadała. Robiąc jakies tam przelew, wpadłem na pomysł, przeleję jej pięć złotych i będę pisać coś w przelewie. Szkoła pisania, wszystko w 140 znakach bez spacji. Jak Hemingway, bo on sobie styl dzięki telegramom z frontu wyrobił.

Napisałem, że... A nie, naprzód był ten przelew, była mi winna sto pięćdziesiąt złotych, przelałem jej sto i napisałem: Jeśli mi przelejesz tę stówę, to będziesz tylko winna pięćdziesiąt. I ona to zrobiła, w ten sam dzień, no bo ile da się zarobić w schronisku dla bezdomnych zwierząt. Za kinem „Chemik” jest wybieg dla psów, tam się poznaliśmy. Ciagle ją tam widziałem, w końcu wszedłem, na „dzień dobry” pogryzł mnie jej pies, musiałem wziąć szczepionkę przeciwko wściekliznie, to nas zbliżyło.

Ucieszyłem się, pierwszy raz cieszyłem się z tego, że straciłem sto złotych. Na drugi dzień złotych pięć, symbolicznie, jako pretekst, i napisałem: chcę mężem twoim być, choćby i zaufania, obojętnie. I odpisała! Te moje pięć złotych przelewając. Że sam jestem odpadem niebezpiecznym i powinienem palić się ze wstydu, i że ona życiorys ma przeze mnie w gipsie. I tak pisaliśmy, ciągle to samo pięć złotych przelewając. Jak ping-pong ono, a my jak dwie paletki. Ona na przykład, że ta, z którą się złądaczylem, to wiedzą wszyscy, że pizdą na prawo i lewo szasta, ciągle mokra łązi, do ryżu się powinna zakopać. Ja, że w galerii byłem, sam, a wokół same pary, jedno drugiemu mówi, czy mu dobrze w tym, co mierzy, a ja sam i nie wiem, a w lustro spojrzeć nie mogę, tak mi wstyd, że uczynkiem zgrzeszyłem. Tu mi poszło złotych dziesięć, bo się w jednym tytule przelew „Dodaj komentarz” nie zmieściłem. Ona, żebyśmy spokoj jej dał, bo ja dłużej wytrzymuję pod wodą niż z kobietami, ja, że nie, nie, że my pasujemy do siebie jak dwie choroby współistniejące. Ona, że tak, tak, już, już, za parę lat sprzedasz mnie na części, i tak latało to pięć złotych w tę i we w tę, aż przyszedł ten dzień, w którym zapłonęła chemia.

Szedłem więc tymi ulicami pustymi pod jej okno. Ludzie mi zza szyby machali, żebym się chował, ale byłem hardy. Stałem u celu i krzyknąłem jej imię, i zobaczyłem w oknie jej wystraszoną twarz. Krzyknąłem, żeby je otworzyła, zapomniałem, że nie można, więc drzeć się musiałem jak opętany. Że będę stał tak długo, aż mnie wpuści, lub padnę tu otruty. Że między nami jest chemia i tak samo się ona uroczyście pali. Ja jestem twój lucky strike, krzyczałem, piratem twoim jestem, oddałbym każdy łup, żeby całować cię od rufy aż po dziób, ale tego już nie słyszała, i dobrze, bo to jak wyjęte z koszar. Nie słyszała, bo już charczałem, chciałem wykrzyzczeć, że jak Kmicic byłem, a będę jak Babinicz i zupełnie straciłem głos.

I teraz, pan sobie wyobrazi, robi się szybko coraz ciemniej, wiatr niesie czarny dym, nie widzę nic, nie mogę mówić, zacząłem z nią jako ofiara pogryzienia przez psa, a skończę jako ofiara mafii śmieciowej? Pójdę z dymem? Tak samo opuszczony i nienadzorowany jak ten skład? Cała Polska zaminowana takimi. Fajerwerki mieć będziemy, pirotechnika po polsku.

Dym przechodzi, zaczynam widzieć okno, nie ma jej w nim, są jakieś litery na szybie, czerwone, szminka chyba napisała. Tak: Właz! Ale nie odzywaj się do mnie! Halo? Tak do obecnego niemowy? Nie przyzna pan, że niezłe z niej ziółko? ●

wyborcza	magazyn wyborczej	WOLNA SOBOTA
REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl Lista do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;	ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielinski WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wierczok, Marcin Kącki, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski FOTODYSCJA: Rafał Szczepankowski WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44 Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44	DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak DRUK: Agora SA Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Z PROF. **TOMASZEM NAŁĘCZEM***,
SZEFEM PIERWSZEJ KOMISJI ŚLEDCZEJ
III RP, ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Kto to powiedział, do kogo i kiedy: „Jest grupa, która zawołała mnie. Ta grupa po prostu znaczy z jednej strony: gwarantuje ci ustawę i gwarantuje ci akceptację zakupu Polsatu, ponieważ ta grupa trzyma w ręku władzę”.

– Lew Rywin do Adama Michnika 22 lipca 2002 r. To kluczowy fragment tamtej rozmowy, istota korupcyjnej propozycji, którą słynny producent filmowy w imieniu ludzi, których nazwał „grupą trzymającą władzę”, złożył Agorze. Chciał za te gwarancje 17,5 mln dol. Gdyby wtedy naczelny „Wyborczej” go nie nagrał, afery by nie było.

Po 20 latach od powstania pierwszej komisji śledczej, którą pan prowadził, zajął pan do archiwów. Powstał kryminał polityczny. Pańska książka „Afera Rywina. Odsłanianie prawdy” trzyma w napięciu, choć już wiemy, „kto zabił”, czyli że ta grupa trzymająca władzę to Aleksandra Jakubowska, wówczas wiceminister kultury w gabinecie Leszka Millera, Robert Kwiatkowski, szef TVP, oraz Włodzimierz Czarzasty, dziś szef Lewicy, wtedy członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

– Zasiadłem na długie miesiące w bibliotece sejmowej nad materiałami komisji, to grube teczki. Sam byłem zdumiony, jak wiele nowego wyczytałem.

Najcenniejszym aspektem działań każdej komisji jest śledzenie jej prac przez opinię publiczną. Prace komisji trochę przypominają posiedzenia sądu z systemu, w którym jest ława przysięgłych – tyle że tu ławą przysięgłych są nie tylko przesłuchujący posłowie, ale też widzowie, radiosłuchacze, obywatele, czyli opinia publiczna. Komisja śledcza jest narzędziem kontrolnym Sejmu, ale jednocześnie okazją dla zwykłych ludzi do spojrzenia władzy na ręce. Na tym polegała siła komisji Rywina.

za kulisami, za pieniądze dawane nieuczciwym politykom.

8 lutego 2002 r. – pierwsze przesłuchanie, pierwszy świadek Adam Michnik i półtora miliona widzów.

– Okazało się, że relację z wydarzenia politycznego przebijają tylko skoki Adama Małysza. Tę oglądalność zapewniły szokujące wydarzenia i możliwość zajrzenia za kulisy władzy.

Na czym polegała istota tej intrygi?

– Nakreślę kontekst polityczny, bo to wiele wyjaśni. Jesienią 2001 r. w wyborach wielkie zwycięstwo odniósł Sojusz Lewicy Demokratycznej sprzymierzony z Unią Pracy: 5,3 mln głosów, ponad 41 proc. Więcej niż wynik PiS w 2015 r. SLD było przekonane, że zdobywa władzę na długie lata, i przewróciło im się w głowach. Postanowili umocnić się jeszcze bardziej, zwiększając wpływ na media. Zaczęli zmieniać ustawę o radiofonii i telewizji.

Mieli już swoją TVP, mieli prezesa Kwiatkowskiego na Woronicza.

– Tamto w porównaniu z tym, co PiS zrobił w mediach publicznych, ma się jak moreny mazowieckie do szczytów tatrzańskich. Ale tak, to wówczas ten proces zaczynał raczkować. SLD chciało więcej i więcej. Ich niepokój budził szybki rozwój Agory, która z wydawcy „Wyborczej”, wpływo-wej, ale wciąż tylko gazety, zmieniała się w wielki koncern medialny. Postanowiono tak sformułować prawo, żeby Agora nie mogła kupić Polsatu.

To wzbudziło duży protest nie tylko samych mediów – rzecz jasna inne firmy poczuły się zagrożone – ale też społeczny, bo Polacy rozumieli, że to prywatne gazety i telewizje, gdyż portale dopiero raczkowały, patrzą władzy na ręce i dobieranie się władzy do nich jest nawet groźniejsze niż dobieranie się do mediów

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



SPRAWIEDLIWOŚĆ LUDOWA

Nie prokuratura i nie sądy. Jeśli coś zakończy polityczne życie Kaczyńskiego, to lekceważone sejmowe komisje śledcze

W książce jestem bardzo ostrożny, jeśli chodzi o werdykt. Bo co wiadomo na pewno? Że Rywin przyszedł do Michnika i złożył mu korupcyjną propozycję. Lew Rywin do końca się wypierał, twierdził, że nagranie jest zmanipulowane. Ale ekspertyzy dowiodły, że nie ingerowano w nie. Więc nie ulega wątpliwości, że propozycja padła – i to jest pewnik, a dalej zaczyna się wnioskowanie poszlakowe.

Ale przypomnijmy, czemu ujawnienie afery w słynnej publikacji Pawła Smoleńskiego „Przychodzi Rywin do Michnika, czyli ustawa za łapówkę”, było takim szokiem dla ludzi. Oto ceniony na świecie producent filmowy, człowiek z najwyższej półki polskiej kultury, przychodzi do legendarnej postaci solidarnościowej opozycji, naczelnego najbardziej wpływowego dziennika, i składa propozycję łapówki – 17,5 mln dol., suma, która się normalnemu człowiekowi w głowie nie mieści – w imieniu ludzi, którzy mogą zmienić treść ustawy.

To było coś więcej niż afera korupcyjna, bo postawiło polską demokrację pod znakiem zapytania. Bo jeśli możliwe jest sprzedawanie ustaw, to znaczy, że demokracja jest wielką fasadą. Polityka, debaty, spory ideowe, wszystko, co się rozgrywa przed oczami Polaków i z ich udziałem, jest tylko teatrem, a najistotniejsze rzeczy dzieją się

publicznych. A że Polska wtedy aspirowała do Unii Europejskiej, to był okres rozstrzygających negocjacji, i stawiała pierwsze kroki w NATO, była bacznie obserwowana przez te dwie wspólnoty świata demokracji. I również politycy z Zachodu wyrażali zaniepokojenie w rozmowach z prezydentem Kwaśniewskim i premierem Millerem.

Więc w połowie czerwca 2002 r. premier Miller zrezygnował z zapisów wymierzonych w media prywatne i polecił wiceminister Jakubowskiej, która prowadziła prace nad tą ustawą, żeby doszła do porozumienia z mediami prywatnymi, m.in. z Agorą.

I w tym „grupa trzymająca władzę” dostrzegła interes dla siebie?

– Tak. Wiele na to wskazuje, że doszli do wniosku, że po co zmieniać ustawę za bezdurno, skoro można na tym zarobić grube miliony, i to na własny rachunek. Tylko udało się to ustalić ze sporym opóźnieniem, bo jeden z posłów komisji zablokował na pół roku kluczowe materiały.

Zbigniew Ziobro. Od marca do września nie odpakował koperty z kluczowymi dowodami.

– Ziobro wtedy nawalił na całej linii. Materiały z negocjacji Jakubowskiej z prezes Agory Wandą Rapaczyńską i wicenaczelną „Wybor-

czej” Heleną Łuczywo na temat zapisu dekoncentracyjnego były kluczowe. Helena Łuczywo w marcu 2002 r. powiedziała, że ma dokumentację negocjacji i chętnie komisji prześle. Przesłuchiwał ją Ziobro, więc wysłała dokumenty jemu. Ziobro dostał grubą przesyłkę i odłożył ją na półkę. Otworzył dopiero we wrześniu, po sześciu miesiącach.

SLD, które z oczywistych przyczyn nie pałało sympatią do niego, postanowiło skorzystać z okazji i szykowało karne wykluczenie Ziobry z komisji za świadome zablokowanie śledztwa.

Uratował pan wtedy Ziobrę przed tym odwołaniem.

– Tak, bo moim zdaniem to nie było świadome zablokowanie śledztwa. Powiedziałem kołegom z SLD, że nie poprzę wniosku, owszem, Ziobrze należy się kara, ale będzie nią samo ujawnienie tej sprawy.

Gdy patrzę na jego aktywność za tzw. pierwszego PiS, po 2005 r., i teraz, po 2015... Gdyby istniały podróże w czasie, cofnąłbym się do roku 2003 i już bym tak pryncypialny nie był.

Kto wie, jak by się potoczyła jego kariera, gdyby wtedy wyleciał z tej komisji.

– Nie dość, że wykluczony karnie, to jeszcze blokujący śledztwo przeciw Millerowi, symbo-

lowi „postkomuny” w retoryce prawicy? Wielkiej kariery już by w PiS nie zrobił.

Mając papiery od Heleny Łuczywo, zwróciłem się raz jeszcze do różnych instytucji o dokumentację. Od Ministerstwa Kultury zażądaliśmy twardego dysku komputera Aleksandry Jakubowskiej.

Tego, który kazala zniszczyć.

– Ministerstwo nas poinformowało, że został wyczyszczony. Jakubowska twierdziła, że jest osobą porządną i sprząta po sobie. Ale to źle o niej świadczyło, bo dokumentacja urzędowa wytwarzana przez urzędnika nie jest jego własnością. No i kazala wyczyścić ten dysk, kiedy w Sejmie już było przesądzone powołanie komisji.

Zwróciliśmy się do prokuratury z wnioskiem o odtworzenie dysku. Prokuratura odpowiedziała, że to niemożliwe. Ale że wszystko obserwowała opinia publiczna, to się okazało, że jest w Polsce firma, która takiego zadania może się podjąć.

I okazało się, że te poprawki do ustawy medialnej Jakubowska pisała pod dyktando Czarzastego.

– Czarzasty i Jakubowska wypierali się tego bardzo konsekwentnie. I tu się zrodziło wielkie pytanie: dlaczego rzecz, która nie jest naganna – bo KRRiT miała prawo uczestniczyć w pra-

cach nad ustawą medialną – była tak ukrywana, za cenę składania fałszywych zeznań.

Napisał pan w książce: „Każdy historyk świetnie wie, że sprawne konspirowanie nie oznacza, iż spisku w ogóle nie ma”.
– Zdradzili się tym, że chcieli coś ukryć. Tak samo było z kontaktami między Kwiatkowskim a Czarzastym. Rozmawiali po kilka razy dziennie, a raptem od połowy do końca lipca 2002 r. ich telefony zamilkły. Akurat gdy Rywin poszedł do Agory z propozycją korupcyjną.

Rywin, czyli jedyny skazany w tej sprawie. I na dobre wykluczony z życia publicznego, z biznesu.

– Kiedy rzecz się wydała, on był człowiekiem całkowicie zdruzgotanym. Wszystko wskazuje na to, że był przekonany, że ludzie, którzy wysłali do go do Agory, działali z upoważnienia premiera. I nagle zorientował się, że został wystawiony do wiatru, że premier nic nie wie.

Nowa ekipa już zapowiedziała powstanie trzech komisji śledczych: do spraw afery wizowej, wyborów kopertowych i inwigilacji opozycji Pegasusem. Jaką lekcję koalicjanci mogą wyciągnąć z afery Rywina? Komisje śledcze to najlepszy sposób rozliczenia PiS?

– Tak, z kilku powodów. Najważniejszy jest ten, że ciągle nie mamy niezależnej prokuratury. Ona jest w rękach Ziobry. Podziwiam tych prokuratorów, którzy zachowywali się uczciwie, choć dotyczyły ich szykany, wierzę, że uda się odbudować niezależną prokuraturę, ale to potrwa. A rozliczenie PiS nie może czekać.

A i tak komisje śledcze są o wiele skuteczniejsze w obnażaniu deprawacji władzy. W przypadku śledztwa prokuratorskiego opinia publiczna może zapoznać się tylko z efektem prac prokuratury – a prokuratury w Polsce bardzo niechętnie – doznają przez osiem lat rządów PiS, to niezwykle ważne, nie tylko żeby zło zostało ukarane, ale też żeby obraz tego zła dotarł do ludzi.

Po Rywinie różne inne komisje już nie cieszyły się takim zainteresowaniem. Ludzie traktowali je jak jeden z wielu biurokratycznych procesów.

– Ale teraz jesteśmy w takim momencie dzielnym, że Polacy wszystkich opcji będą z ogromną uwagą śledzili te wyjaśnienia. Również te miliony ludzi, którzy ciągle ufają PiS.

Teraz PiS dostał 7,6 mln głosów. Ale pan sam pisze o „iście plemiennej impregnacji na argumenty drugiej strony”. Więc co zrobić, by uwierzyli śledczym nowej władzy, że to nie zemsta, ale sprawiedliwość, że ta ekipa popełniła wiele błędów, wiele przestępstw, że się okrutnie nachapała?

– Przede wszystkim trzeba ludziom dać szansę. Postępowanie prokuratorskie tej szansy im nie da. W prokuraturze ludzie nie zająrzą za kulisy, zobaczą tylko efekt postępowania – akt oskarżenia, a później ewentualne wyroki – a te PiS będzie sprawnie na różne sposoby dezawuował. Jedynym sposobem, żeby do tego nie dopuścić, jest odsłonić kulisy władzy.

To musi być oczywiście uczciwie relacjonowane. A same komisje muszą pracować według przyzwoitych reguł, starannie, nie iść na żadne skróty. Na przykład po partnersku potraktować pisowskich członków, żeby oni mieli prawa w śledztwie takie same jak pozostali. W komisji Rywina żaden istotny wniosek dowodowy nie został zablokowany.

I należy unikać retorycznego rozgorączkowania. Głównym adresatem prac komisji powinien być nie zwolennik obozu demokratycznego, tylko zwolennik PiS. Bo największe dobro, jakie komisja może osiągnąć, to nawet nie rozliczenie afer, ale pokazanie milionom ludzi ufającym PiS, jak ta rzeczywistość naprawdę wyglądała.

Jeśli widzę jakiś mankament, to w liczbie komisji.

Nie da się śledzić trzech naraz.

– Rozumiem kłopot demokratycznej większości parlamentu. Afer zasługujących na komisię jest naprawdę bardzo wiele.

Afera KNF, gdy przedstawiciel Komisji Nadzoru Finansowego składał Leszkowi Czarneckiemu, w sprawie banku którego toczyło się śledztwo, propozycję „40 mln” i zatrudnienia protegowanych za „spokój”. Dwie wieże, czyli Kaczyński próbujący wystawić dwa wieżowce na wartej majątek działce w centrum Warszawy, na której jego środowisko się uwłaszczyło w latach 90.

– Te trzy komisje, które mają wystartować jako pierwsze, to są komisje do spraw najgrubszych. Nie ma większego występkę w systemie demokratycznym niż zamach na wolność wyborów. A próba zorganizowania wyborów prezydenckich w maju 2020 r. poza Państwową Komisją Wyborczą, przez Pocztcę Polską, czyli państwową firmę podlegającą jednemu z ministrów, była brutalnym zamachem na wolność wyborów pod tandetną wymówką, że jest epidemia i nie da się tego inaczej zrobić.

To jest prosta sprawa, bo mamy orzeczenie Naczelnego Sądu Administracyjnego, że premier Morawiecki złamał prawo, zlecając te wybory Poczcie.

– Ale fundamentalna. Podobnie jak inwigilacja opozycji. Też dobrze udokumentowana, a przypomnijmy, że sprawa znacznie drobniejszego kalibru pozbawiła władzy najpotężniejszego człowieka na świecie, czyli prezydenta USA. Mówię o Watergate, a przecież to była kaszka z mleczkiem w porównaniu z Pegasusem.

Rząd w trakcie kampanii wyborczej inwigilował Krzysztofa Breję, szefa sztabu PO, czyli największej partii opozycyjnej.

– W Watergate było tak, że to nie prezydent polecał zakładać podsłuchy, on tylko ukrywał, że wiedział o sprawie, i to już wystarczyło, by podał się do dymisji. A u nas zlecali je członkowie rządu.

Ale na tę rozprasającą uwagę liczbę komisji jest sposób. Odradzam śpieszenie się z przesłuchaniami świadków. Komisje powinny przez jakiś czas starannie gromadzić dokumentację, wnikliwie ją przebadać, jeśli jakichś dokumentów nie ma, to wyjaśnić dlaczego. Bo w Polsce przechowywanie dokumentacji jest bardzo precyzyjnie uregulowane prawem archiwalnym – jakiego rodzaju dokumenty jak są przechowywane, jak długo. Eksperci z naczelnej dyrekcji Archiwów Państwowych mogą być bezcenną pomocą.

Więc najpierw, bez epatowania opinii publicznej, bez głośnych przesłuchań, komisje powinny starannie przeanalizować zgromadzoną dokumentację. Naszym błędem w komisji Rywina było właśnie zbyt wczesne przesłuchiwanie świadków.

Jeszcze jakieś lekcje z komisji Rywina?

– W pracach komisji jest sporo z warsztatu historyka, bo historyk wie, że jak bada jakieś zjawisko z przeszłości, to powinien się skoncentrować na dokumentacji. Relacje ludzi na temat tego zjawiska mają tylko dopełniające znaczenie. Tymczasem myśmy skoncentrowali się na tym, co historyk by nazwał historią mówioną, a prawnik dowodem z przesłuchania. I nas, i opinię publiczną zaabsorbowały przesłuchania. Było ich kilkadziesiąt, trwały cały rok 2003. Lecz gdy wróciłem do tych materiałów teraz, rozumiałem, że myśmy nie przeanalizowali starannie dokumentów. Potraktowaliśmy je jako element dopełniający.

Więc najpierw dokumenty, potem efektowne medialnie przesłuchania. A one też w pewnych sekwencjach, żeby opinia publiczna mogła się koncentrować na tych sprawach jedna po drugiej.

Komisje śledcze zakończą polityczne życie Kaczyńskiego?

– Komisje śledcze, jeśli się je odpowiednio przeprowadzi, mają moc rażenia bomby atomowej. Bo taką moc ma wyrok ławy przysięgłych, jaką są Polacy śledzący działania dowodowe posłów.

To pokazał efekt prac komisji Rywina. Myśmy naprawdę, kierowani dobrą wolą, pracowali wspólnie i bardzo sumiennie, ale przy pisaniu sprawozdania nasze drogi się rozeszły. Zaczął grać interes polityki, zbliżały się wybory, ugrupowania zaczęły naciskać na swoich posłów, każda partia starała się tak skonstruować sprawozdanie, żeby dało jak najwięcej korzyści w kampanii. Sprawozdanie, które przejęła komisja – większością jednego głosu – niewiele miało wspólnego z prawdą: żadnej afery nie było, Rywin działał sam.

I ludzie przyjęli to z wielkim oburzeniem, co pokazał wynik wyborów. W 2005 r. – po kilku kolejnych dodatkowych aferach, choć już nie tego kalibru – ukarali SLD przy urnach wyborczych. Sojusz Lewicy Demokratycznej stracił trzy czwarte wyborców.

Dostał ledwie 1 335 257 głosów, czyli 11,31 proc.

– Dlatego, przypominam, sprawozdania będą najbardziej narażone na przeciągi polityczne. Doświadczenie afery Rywina pokazuje, że najważniejsze jest to, co obyuatele zobaczą, i werdykt, jaki wydadzą. Więc ujawnienie mechanizmów afer, obiektywne pokazanie kulisy, na chłodno, w sposób, który nie wzbudzi podejrzeń o partyjne interesiki, będzie najbardziej szokujące dla zwolenników PiS. Bo przeciwnicy i tak już wiele wiedzą.

A ja wierzę, że wyborcy PiS to w przytłaczającej większości tacy sami ludzie jak zwolennicy innych partii, tylko uwiedzeni. Trzeba im dać szansę przejrzienia na oczy. Dlatego gdybym dzisiaj pracował w komisji, to bym za główny cel obrał dotarcie do wyborców PiS. Jeśli to się uda, Kaczyński będzie musiał się pakować.

Kto może przyjść po nim? Duda?

– Odwołam się do wiedzy historycznej. W partii rządzonej autorytarnie, a PiS jest taką, tego nawet zwolennicy PiS nie ukrywają, szef nigdy nie przygotowuje następcy, bo zawsze się obawia, że jak rozwiąże problem sukcesji, to sukcesor nie będzie chciał czekać, tylko ją przyspieszyć.

Więc kwestia przywództwa potrafi być ogromnym zaskoczeniem. Któż by się w Polsce w 1935 r. spodziewał, że sukcesorem Piłsudskiego zostanie Rydz-Śmigły, o którym Marszałek sądził, że się absolutnie do polityki nie nadaje, jest znakomitym dowódcą, powinien zajmować bardzo znaczące stanowisko w armii, ale nie w polityce, bo tam, czego się dotknął, to zepsuł.

Andrzej Duda na pewno nie, bo jest charakterologicznie niezdolny do samodzielnego funkcjonowania. Zawsze musi mieć jakąś tyczkę, wokół której się owija. Przez ostatnie osiem lat taką tyczką był Jarosław Kaczyński, zresztą to bardzo dziwny związek, bo przecież on nie ukrywał braku elementarnego szacunku dla Dudy. Ale że Duda kierował się w każdej sprawie wskazaniem Kaczyńskiego, nie widzę osoby, na której mógłby się opierać w kolejnym etapie.

Kto zatem? Tu znowu sięgam do roku 1935 i losów sanacji po śmierci Piłsudskiego: najbardziej prawdopodobne jest, że PiS się rozpadnie na kilka grup zaciekle rywalizujących o władzę.

Nowa ekipa nie jest jednorodna, czterech koalicjantów i wiele ugrupowań. Jakie im pan daje szansę?

– Duże. Bo widzę w tej niejednorodności szansę. Wiele mankamentów rządu PiS brało się z tego, co się kiedyś wydawało w Polsce chwytem Pana Boga za nogi, czyli uzyskania bezwzględnej większości. Okazało się, że tę bezwzględną większość partia rządząca potraktowała jako prawo do dyktatu swojej woli pozostałej części sceny, z naruszeniem konstytucji. Więc ta różnorodność jest gwarancją, że pomysły rządzenia „po uważaniu” zdusi w zarodku. Zwiększa że nowy obóz rządzący przy wszystkich różnicach bardzo spajają najmocniejsze wartości – obrona demokracji przed populizmem, przed nacjonalizmem, troska o relacje międzynarodowe.

A że to podglebie dla prawicowo-ludowego populizmu nie znikło, PiS będzie po niego

sięgał, choćby grając kartą antyeuropejską – i to też będzie spajało obóz demokratyczny.

Zresztą historia Polski do roku 2015 to historia rządów koalicyjnych, nie monopartyjnych – i nieprzypadkowo o wiele jaśniejsze są karty tej historii niż pisanej po 2015.

PiS będzie opozycją totalnie totalną, która chce wygrać kolejne wybory, samorządowe i europejskie.

– Największym problemem nowej ekipy nie jest nawet PiS, tylko prezydent. Andrzej Duda już w inauguracyjnym wystąpieniu w Sejmie zapowiedział totalną opozycję i słowa dotrzymuje. Jest konsekwentny, powierzenie misji tworzenia rządu Morawieckiemu było farszą, próbą przedłużenia władzy PiS o dwa miesiące, zagarnięciem kolejnych stanowisk, pensji.

Duda dysponuje wetem do każdej ustawy, do tego nie musi niczego objaśniać, choć zawsze jakieś wyjaśnienie się znajdzie, adresowane do zwolenników PiS. A żeby odrzucić weto, trzeba mieć trzy piąte posłów, 276 głosów. Demokratyczna większość tego nie ma.

Z drugiej strony – nie ma na razie. Bo obóz Kaczyńskiego czeka dekompozycja. Niedługo wybory samorządowe, jeśli PiS je przegra, a jest wielce prawdopodobne, że przegra jeszcze dotkliwiej niż parlamentarne, to zaczną się przeciążenia w partii i to będzie rzutowało na parlament. Zacznie się exodus posłów, będą niezrzeszonymi, ale może pomogą stworzyć większość do obalania prezydenckiego weta.

Ale to jest muzyka dalszej przyszłości. Na razie w sprawach ważnych dla PiS, np. obrony pisowskich mediów, prezydent żądanych zmian nie dopuści. Wierzę tym prawnikom, których zdaniem można uzdrowić media bez zmian ustawowych, aktami niższego rzędu.

Zostaną PiS te prywatne, utrzymywane przez kroplówki w postaci reklam ze spółek skarbu państwa.

– A jak długo przeżyją bez kroplówek? Niedługo. I PiS znowu straci głos. ●



FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCIA WYBORCZA.PL

*Prof. Tomasz Nałęcz

● historyk, profesor UW, specjalizuje się w dziejach II RP. Od 1990 r. polityk lewicy (SdRP i Unii Pracy), wicemarszałek Sejmu w latach 2001–05, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego 2010–15. Stały publicysta tygodnika „Ale Historia”.

Wydawnictwo Sonia Draga zaprasza na spotkanie z prof. Nałęczem i Adamem Michnikiem, które poprowadzą Agnieszka Kublik i naczelny „Newsweeka” Tomasz Sekielski. Kiedy? W poniedziałek 4 grudnia o 18. Gdzie? W Muzeum Powstania Warszawskiego.

„Afera Rywina. Odślanianie prawdy”.

Książka prof. Nałęcza już w przedsprzedaży w księgarni internetowej Post Factum



METRÓW PRZYBYWA, KARALUCHÓW UBYWA

Brakowało miliona mieszkań, zbudowano milion mieszkań i nadal brakuje miliona mieszkań.

Kamil Fejfer

Lapewne słyszeli państwo, że w Polsce mamy do czynienia z kryzysem mieszkaniowym. Ma on zwłaszcza dotyczyć osoby młode. Ten obraz jest jednak o wiele bardziej zniuansowany. Trudno bowiem kryzysem nazwać stan, który jest o wiele lepszy niż – dajmy na to – dekadę temu. To nie znaczy, że polska mieszkaniówka nie boryka się z problemami. Jest ich całkiem sporo. Jak więc naprawdę jest z kondycją rynku mieszkaniowego w Polsce?

Jedną z najczęstiej pojawiających się kwestii jest dostępność mieszkań. Eurostat, czyli europejski GUS, jako jedną z miar dostępności przyjmuje „przeciążenie kosztami mieszkaniowymi”. Przeciążone kosztami są te gospodarstwa domowe, które przeznaczają 40 proc. lub więcej dochodu właśnie na wydatki związane z lokum.

W całej Europie problem dotyczy nieco ponad 11 proc. gospodarstw domowych w miastach. Na wsiach odsetek wynosi nieco poniżej 7 proc. Wynika to oczywiście z faktu, że poza miastami znacznie mniej osób wynajmuje mieszkania i znacznie więcej mieszka we własnych domach – te są znacznie tańsze, jeśli chodzi o miesięczne wydatki.

A jak wygląda sytuacja w Polsce? Całkiem nieźle. W naszym kraju przeciążonych kosztami mieszkaniowymi jest około 6 proc. gospodarstw domowych w miastach. Wyrzeczmy w zasadzie wszystkie zamożne kraje starej Europy z wyjątkiem Portugalii – w niemieckich miastach przeciążonych jest 13 proc. gospodarstw, w Danii – 22 proc., w Holandii – aż 25 proc. Wynika to m.in. ze struktury samych rynków. W Polsce około 87 proc. gospodarstw domowych to własne M. Jeśli chodzi o rozpowszechnienie własności, jesteśmy w europejskiej topce. Dla porównania, w Niemczech jedynie 50 proc. gospodarstw domowych mieszka we własnych lokalach.

Inną istotną kategorią jest przeludnienie mieszkań. Według Eurostatu przeludnione lokale to takie, w których nie ma oddzielnego pokoju dla pary, oddzielnego pokoju dla każdej osoby w wieku powyżej 18 lat, oddziel-

nego pokoju dla dwójki nastolatków tej samej płci w wieku od 12 do 17 lat lub oddzielnego pokoju dla dwójki rodzeństwa poniżej 12. roku życia.

Tu nie mamy już się czym pochwalić. W 2022 r. 36 proc. lokali było przeludnionych. Plasowało nas to w ogonie Wspólnoty – średnia dla całej UE wynosiła nieco ponad 15 proc. (dane za 2019 r.).

Dane odnoszące się do przeludnienia mają tę przewagę nad informacjami o przeciążeniu kosztami mieszkaniowymi, że możemy się przyjrzeć trendom. A to właśnie wieloletnie zmiany wskaźników pozwalają dostrzec, czy zachodzi jakaś zmiana w interesującym nas obszarze. Jeśli więc cofniemy się do roku 2013, to się okaże, że odsetek ten wyniósł 45 proc. Oznacza to, że w ciągu 10 lat liczba gospodarstw domowych mieszkających w przeludnionych domach spadła niemal o jedną czwartą. To całkiem niezły wynik.

Odpowiada za to kilka procesów. Przede wszystkim według GUS w 2010 r. przeciętna liczba osób w gospodarstwie domowym w naszym kraju wynosiła 2,89 osoby. W 2021 – 2,55 osoby. To z kolei brało się z trendów: malejącej dzietności oraz rosnącego odsetka osób mieszkających samodzielnie. W 2010 r. te ostatnie stanowiły niecałe 18 proc. wszystkich gospodarstw. W 2021 – niemal 24 proc. Pewnie nie bez znaczenia jest tu rosnąca liczba rozwodów. Co ciekawe, najwięcej jednoosobowych gospodarstw domowych jest w największych miastach. A więc w tych miejscach, gdzie jest najdrożej. O czym to świadczy? Że mimo wysokich cen istnieje całkiem spora (i rosnąca) liczba tych, których mimo wszystko stać albo na kupno lokum w pojedynkę, albo na samotne wynajmowanie. Pokazuje to, że część społeczeństwa zauważalnie się bogaci.

Przyjrzyjmy się trendowi oddawania nowych mieszkań. W 2022 r. w Polsce oddano do użytku prawie 240 tys. lokali. Był to niemal najlepszy wynik w historii; więcej lokali powstawało tylko za Gierka. W 1978 r. oddano ich rekordowe 283 tys. Tymczasem, počawszy od 2019 r., w Polsce co roku gotowych do zamieszkania jest ponad 200 tys. nowych lokali. Dla szerszego obrazu – w 2013 r. było to niecałe 150 tys.

Skąd takie przyspieszenie? Najprościej rzecz ujmując – znów z bogacenia się społeczeństwa. Tak, to prawda, że w ostatnich miesiącach po podwyższeniu stóp procentowych znacznie spadła zdolność kredytowa Polaków, ale faktem jest, że tak wysokie stopy jak obecnie były ostatnio w 2008 r. Zresztą wprowadzenie rządowego planu dopłaty do kre-

dytów spowodowało ożywienie na rynku mieszkaniowym i gwałtowny boom popytowy. A wraz z nim również wzrost cen w segmencie rynku mieszkań, który objął program.

Według raportu Ministerstwa Rozwoju i Technologii z 2020 r. na temat mieszkalnictwa w 2019 r. liczba umów kredytowych była o 6 proc. wyższa niż rok wcześniej oraz o ponad 60 proc. większa niż dekadę wcześniej i 150 proc. większa niż w roku 2006. To wskazuje na fakt, że coraz więcej ludzi po prostu na taki kredyt stać.

Itu dochodzimy do kolejnej kategorii w debacie o mieszkaniowie. Najprościej rzecz ujmując, to różnica między liczbą zamieszkałych lokali a liczbą gospodarstw domowych. Jak już wiemy, obecnie średnia liczebność gospodarstwa domowego w Polsce wynosi 2,55 osoby. Liczba mieszkańców naszego kraju według oszacowań GUS to mniej więcej 38 mln ludzi. To oznacza, że liczbę gospodarstw domowych można szacować na 14,9 mln.

A ile jest mieszkań? W 2022 r. było ich 15,6 mln. Dla porównania, w 2017 – 14,4 mln. W zaledwie 5 lat przybyło więc ponad milion lokali. Tymczasem od lat się mówi, że luka wynosi ponad milion mieszkań. I liczba ta wydaje się nie zmieniać. O co więc chodzi? Przecież owej luki już nie powinno być!

Wpierw powiedzmy o czymś istotnym, co może nam umknąć, jeśli tylko przyglądamy się liczbom. Chodzi o jakość mieszkań. Każdy, kto miał do czynienia z rynkiem wynajmu sprzed dekad, półtorej, a może dwóch, wie, jak wyraźny sposób na plus zmienił się standard nieruchomości. Niedługo wynajem pokoju lub mieszkania w dużym mieście (czyżby również były bardzo wysokie, choć z perspektywy czasu zazwyczaj zapominamy o inflacji i korekcie o wysokość średnich pensji, a pamiętamy tylko bezwzględne kwoty) często wiązał się ze szwadronami karaluchów za kuchennymi szafkami. W połowie pierwszej dekady XXI wieku w pierwszych trzech-czterech wynajmowanych przez mnie w Warszawie mieszkaniach były prusaki. Nierzadko osoby wtedy wynajmujące lub kupujące lokale miały do czynienia również ze starymi oknami, z których w zimowe wieczory ciągnęło chłodem. Niczym zaskakującym również nie był brak pralki. O zmywarkach nawet nie myślano. Wspomnijmy jeszcze o powszechnie występujących „meblach po babci”. Choć takie mieszkania nadal się zdarzają, to stawią ewenement i powód do internetowych żartów.

No dobrze, ale dlaczego luka mieszkaniowa ciągle istnieje? Ponieważ nie uwzględniliśmy dwóch czynników: pustoszanów oraz migracji. Według spisu powszechnego z 2021 r. tych pierwszych jest około 1,8 mln. Spora część z nich (ale nie wiemy jaka) nie nadaje się do zamieszkania – to albo stare rozpadające się domy na wsiach lub mieszkania w kamienicach do generalnego remontu. Są też apartamenty wakacyjne zamożniejszych Polaków oraz mieszkania kupione inwestycyjnie jako lokata kapitału – stoją puste, ponieważ właściciele wiedzą, że nawet jeśli ich nie wynajmą, to ich wartość będzie rosła i koniec końców zyskają.

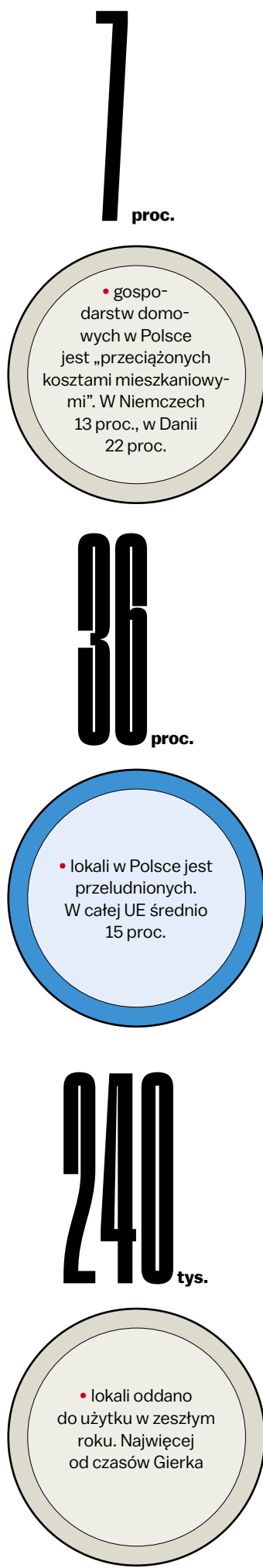
Jest jeszcze jedna rzecz, o której warto pamiętać. Spis powszechny był prowadzony od kwietnia do września 2021 r. A do końca kwietnia trwały covidowe lockdowny. To mogło mieć przełożenie na zawyżenie liczby pustoszanów – wiele mieszkań wynajmowanych przez studentów i młodych pracowników usług stało pustych.

Druga sprawa to migracje, które GUS bierze pod uwagę tylko w niewielkim stopniu. Tymczasem w Polsce obecnie przebywa około 1,2 mln Ukraińców i Ukraińek. To około 80 proc. wszystkich migrantów w naszym kraju. Oznaczałoby to, że w Polsce żyje około 1,5 mln osób z innym niż polski paszportem. Tymczasem GUS szacuje ich liczbę na jedynie około 110 tys.

Realnie więc w Polsce mieszka około 39,4 mln osób. Jeżeli ostrożnie przyjmiemy, że liczebność emigranckich gospodarstw domowych nie zaburza wspomnianej wartości 2,55 (takiej wielkości jest średnie gospodarstwo domowe w naszym kraju), to gospodarstw byłoby około 15,5 mln, a nie 14,9, jak szacowaliśmy. Odejmijmy od podawanej przez GUS liczby 15,6 mln mieszkań – dajmy na to – 1,5 miliona pustoszanów i otrzymamy lukę mieszkaniową plus minus 800 tys. A więc milionowe oszacowanie nie będzie dużym przeszerleniem.

Ministerstwo Rozwoju szacowało, że w 2019 r. deficyt wynosił około 640 tys. lokali. Oznaczało to, że 4,5 proc. gospodarstw domowych „mieszkało niesamodzielnie”. Ministerstwo przy tym podkreślało, że był to wynik najniższy w historii. To jednak było przed napaścią Rosji na Ukrainę i falą ukraińskich migrantów.

Jest jednak coś, co może nas pocieszać. Jeśli udałoby się utrzymać średnioroczny poziom 200 tys. oddawanych mieszkań, to lukę zasypalibyśmy w mniej więcej 5 lat. Można dorzucić do tego 2-3 lata na malejące tempo nowych inwestycji lub na wzrost liczby migrantów.



Czy to oznacza, że za 5-7 lat w Polsce zniknie problem mieszkaniowy, bo po prostu rozwiąże go rynek? Niemal na pewno sytuacja mieszkaniowa Polaków się poprawi. Jednak z zostawieniem wszystkiego rynkowi jest pewien problem. Otóż nie ma żadnej siły, która obniżałaby ceny za metr kwadratowy lub ceny wynajmu. Taką siłą mogłyby być masowo budowane mieszkania przez sektor publiczny, które oddziaływałyby na ceny na całym rynku.

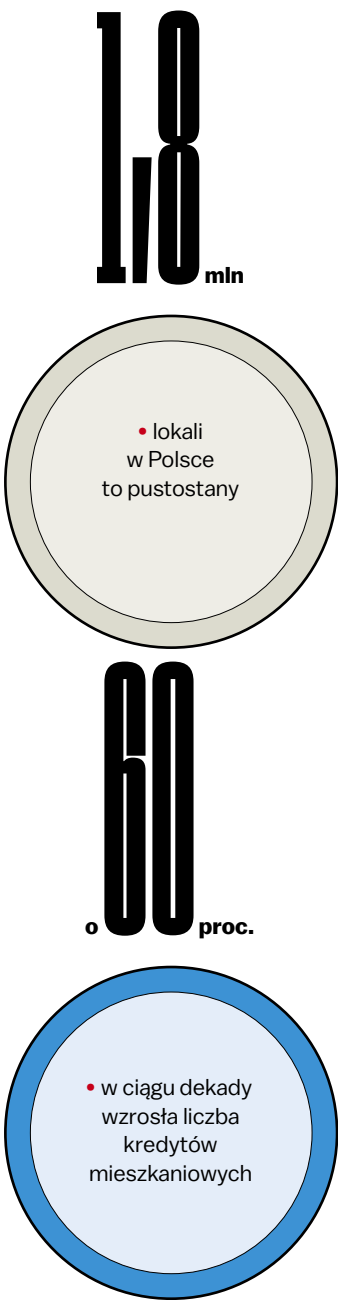
A jak do tego mają się młodzi? Żeby to zrozumieć, trzeba powiedzieć kilka oczywistości. Młodzi są szczególnie wrażliwą grupą na rynku z dwóch powodów: albo dopiero zaczynają karierę, albo jedynie się uczą. W dwóch przypadkach zarabiają znacznie poniżej średniej.

Według GUS osoby pracujące do 24. roku życia zarabiają za ledwie 70 proc. średniej krajowej. A mówimy o ludziach, którzy pracują na umowach o pracę i w przedsiębiorstwach zatrudniających powyżej dziewięciu osób. To o tyle ważne, że w najmniejszych przedsiębiorstwach płaci się najmniej. Do tego młodzi często pracują albo na zlecenie, albo na dzieło i częściej dorabiają, niż pracują na cały etat. Wniosek jest prosty: młodzi są po prostu znacznie biedniejsi niż osoby nieco starsze, z większym doświadczeniem zawodowym i zatrudnione w pełnym wymiarze godzin. Mają też nieporównywalnie niższą zdolność kredytową.

W dużej części są więc skazani na wynajem. A jednocześnie wielu z nich ciągnie do wielkich miast, gdzie w perspektywie kilku-kilkunastu lat można zarabiać, ale najpierw doświadcza się znacząco wyższych kosztów życia.

Problem zwięźle podsumowuje ministerialny raport: „wzrost liczby oddawanych do użytku mieszkań nie poprawia w znaczący sposób dostępności mieszkań dla osób o dochodach zbyt niskich, by nabyć lub wynająć mieszkanie na zasadach rynkowych, a jednocześnie zbyt wysokich, aby móc ubiegać się o najem mieszkania komunalnego. Problem ten dotyka przede wszystkim ludzi młodych, którzy wchodzi na rynek pracy, rodzin wielodzietnych oraz osób samotnie wychowujących dzieci”. Innymi słowy, potrzebujemy polityki kierowanej do osób niezamożnych.

Każda z sił politycznych ma jakieś pomysły na rozprawienie się z kłopotliwą mieszkaniówką. Najbardziej błado wypada PiS. W programie znajdziemy informację, że „priorytetowym celem jest zachowanie wysokiego tempa przyrostu nowych mieszkań (w tym domów jednorodzinnych)”. PiS, który przejechał się na zakończonym kompletnym fiaskiem programie „Mieszkanie plus”, poza kontynuacją programu dopłat do kredytów nie ma pomysłu na mieszkaniówkę innego niż po prostu poczekanie, aż rynek załatwi sprawę za nich. Mankamenty



takiego rozwiązania wskazało ledwie trzy lata temu samo Ministerstwo Rozwoju: przyrost liczby mieszkań nie załatwi mieszkaniowych problemów osób mniej zarabiających.

Koalicja Obywatelska próbowała podkraść partii rządzącej pomysły z dopłatami do kredytów, proponując wręcz „Kredyt 0 proc.”. Wiemy już, jak zakończyło się wdrażanie „Kredytu 2 proc.” przez partię rządzącą – wzrostem cen mieszkań! Co tym razem mogłoby pójść nie tak?

Innym pomysłem opozycji jest dopłata do czynszu dla młodych w wysokości 600 zł. Trudno jednak oczekiwać, że strumienie gotówki wpompowane na rynek nie podniosą cen wynajmu. Największymi beneficjentami będą więc nie studenci i młodzi pracownicy, ale właściciele mieszkań.

Konfederacja proponuje uwolnienie gruntów pod budowę nowych mieszkań (i zmniejszenie regulacji), co miałoby zwiększyć podaż, a przez to obniżyć ceny. Z tym pomysłem są co najmniej trzy problemy – zwiększenie podaży wcale nie musi spowodować spadku cen. Po pierwsze, w ostatnich latach mieszkań przybywa nam bardzo szybko, a ich ceny wciąż pozostają wysokie. Po drugie, bez mądrego planowania przestrzennego możemy mieć problem z rozlewaniem się miast, większymi korkami i niedostatecznym dostępem do usług publicznych takich jak szkoły czy przychodnie w rozsądnej odległości. No i to wcale nie załatwi

problemu młodych – mieszkania pod wynajem nadal będą drogie, a kredyt niedostępny.

Polska 2050 proponuje podatek od pustostanów. Takie rozwiązanie rzeczywiście mogłoby wpuścić na rynek trochę mieszkań, zwłaszcza tych, które są lokatą kapitału i stoją puste. Wiemy jednak, że to tylko niewielka część spośród 1,8 mln pustostanów. Zatem regulacja, choć niegłupia, to jest kosmetyczna i nie zmieni w sposób znaczący sytuacji najmłodszych milenialsów oraz zetek. Partia Szymona Hołowni postuluje też uwolnienie gruntów.

Najbardziej promieszkaniowa zdaje się Lewica, która ma ambitny plan budowy 300 tys. mieszkań przez podmioty publiczne w latach 2025-29. Program miałby kosztować 20 mld zł. Mieszkania pozostałyby na zawsze w domenie publicznej. Właśnie po to, żeby oddziaływać na czynsze na całym rynku. Dodatkowo partie lewicowe chcą remontować rocznie 20 tys. pustostanów.

Jak więc będzie wyglądać polityka mieszkaniowa? Cóż, to wrócenie z fusów – po pierwsze, zwycięskie partie zaczną weryfikować obietnice w miarę zapoznawania się z rzeczywistym stanem finansów państwa, po drugie, nie wiemy, czy nowa koalicja będzie rządzić dłużej niż kilka miesięcy. Z perspektywy młodych najgorzej byłoby, gdyby przyszli rządzący uwierzyli w popularny neoliberalny slogan: najlepsza polityka gospodarcza to brak takiej polityki. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34282696

W ŚRODĘ, 6 GRUDNIA, W „WYBORCZEJ”

Kalendarz astronomiczny na 2024 rok

- Zorze polarne, obłoki srebrzyste, Droga Mleczna
- Kalendarium obserwacji nieba
- Niezwykłe zjawiska i kosmiczne zdjęcia



Z PISARZEM **JAKUBEM ŻULCZYKIEM** ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Akcja „Dawno temu w Warszawie” – kontynuacji „Ślepnąc od świateł” – rozpoczyna się, gdy świat paraliżuje koronawirus. To było nieco ponad trzy lata temu, a jakby minęły wieki.

– Ten czas wciąż wydaje mi się nie do końca przeżyty i opowiedziany. Pandemia to niezagojona rana; nie przestaliśmy się obawiać, że to wszystko zaraz w jakiejś nowej, zupełnie nierozpoznanej formie wróci. Być może to jedna z niewielu rzeczy, która nas wszystkich łączy – ograniczone zaufanie do rzeczywistości i do siebie nawzajem?

Zaraza przerwóźnie obeszła się z Polakami. Wśród tych, którzy ją przeżyli, sporo jest osób z rozchwybotanym zdrowiem psychicznym, co ma i będzie mieć niemały wpływ na relacje społeczne. Niektórzy zaczęli wypierać to, czego doświadczyliśmy, pojawiły się teorie spiskowe, które idą pod rękę ze strachem przed państwem, brakiem zaufania do systemu, lękiem przed opresją. Na różne sposoby ludzie próbują sobie wyjaśniać to, co zaszło. Rozpaczliwie szukają porządku – nic bardziej ludzkiego.

Mówisz o ograniczonym zaufaniu „do rzeczywistości i do siebie nawzajem”. Z czego to wynika?

– Kiedy młody człowiek zaczyna się uczyć historii, niemal od razu dowiaduje się, że u nas nad Wisłą w każdej chwili wszystko może się zdarzyć. Rzeczywistość jest umowna i krucha. Przecież na przestrzeni wieków przemaszerowali przez nasze ziemie niemal wszyscy, od lewa do prawa, włącznie ze Szwedami. Zawsze zjawia się jakiś zewnętrzny i wewnętrzny wróg. Najprostsze wytłumaczenie jest geopolityczne – nie chcę strugać Bartosiaka, ale wystarczy spojrzeć na mapę, Polska i Ukraina to otwarta lądowa brama do Rosji.

Czyli historia klęsk?

– No ale mówiąc w ten sposób, utwierdzasz ten rodzaj myślenia, że my tu wszyscy żyjemy jak bohaterowie starej kreskówki, w cieniu wielkiego kowadła zawieszonego na cienkim sznurku.

To, że wciąż w nas żyje ta polska martyrologia, patriotyczno-cierpiętnicza, a przede wszystkim romantyczna, jest efektem tego strachu. My go chyba w ten sposób sublimujemy. Wciąż żyjemy sobie na mentalnej mapie, którą zrobili nam Matejko z Mickiewiczem. Tylko co to robi z ludźmi? Uświadamia, że nie można ufać państwu i drugiemu człowiekowi. Polak ma dwa wyjścia – albo spieszyć stąd jak najdalej, albo, gdy już faktycznie zdarzy się kolejna katastrofa, dzielnie oddać krew za ojczyznę. Wbijano nam to do głów za rządów Kaczyńskiego, za PRL-u, w dwudziestolecie... Obawiam się, że to jest jakiś rdzeń naszej tożsamości, zbiorowej podświadomości, kult śmierci, kult krwi, strach. I przenosimy go teraz w XXI wiek.

Teraz wspomniany przez ciebie polityk próbuje wmówić obywatelom, że wraz z jego odejściem od władzy Polska zostanie kolejnym niemieckim landem...

– Michał, na Boga, ile można o tym Kaczyńskim? Taka buddyjska odpowiedź dla drogich czytelników: pewne rzeczy, ludzie, symbole tracą nad tobą władzę, gdy przestajesz



Tym razem – to chyba nowość jak na Żulczyka – nie wszystko jest spalone, zniszczone i posprzątane

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

o nich myśleć. Kaczyński straci władzę w Polsce, gdy zrozumiemy, że to starszy, cierpiący człowiek, a nie jakiś demon, który opętał rzeczywistość.

Odkąd pamiętam – a jakąś świadomość tego, co się dzieje w szerszej skali niż wewnątrz mojego domu, zyskałem mniej więcej właśnie w 1989 roku – ktoś się odgraża, że Polska zniknie. Przez ostatnie osiem lat straszono nas, że Polska to zaraz będą drugie Węgry, a może i Turcja. Nie mówię teraz, na ile to było realne ryzyko, bo pewnie gdzieś tak do 2020 roku było, tylko że każdy próbuje rzucać to straszne zaklęcie. Że Polska prędzej czy później przestanie istnieć, bo już ileś razy przestała. Chyba że uratuje ją Matka Boska.

Może warto więc czasem wejść w dialog ze swoimi emocjami. To są słowa, które kierują pod adresem nas wszystkich.

Jak rozumiem, również pod swoim?

– Widzisz, wiele osób postrzega mnie jako kogoś, kto od czasu do czasu wypowie się w mediach społecznościowych na tematy polityczne, napisze kilka zdań na X czy Facebooku, a potem ma z tego powodu przeróżne przygody, na przykład idzie do sądu. I owszem, nie powinienem iść do tego sądu za to, co napisałem, ale podkreślmy też fakt, że siedzę tu z tobą w milej kawiarni, jem bagla i gadamy, a nie kopię w łagrze zmarzniętej ziemi łyżeczką do herbaty. Sedno sprawy jest jednak takie, że bycie jakimś trybunem politycznym to nie jest moja główna misja. Gdy piszę książkę, scenariusz, to nie wypowiadam się w nich jako wyborca. Mnie interesuje to, co jest pod spodem politycznych i społecznych procesów. Mnie interesuje człowiek i to, co człowiek ma w głowie.

Nie umiem tego zrobić jakimś intelektualnym, poznawczym torem. Muszę sobie i innym wszystko metaforyzować. W tym sensie te książki zawsze są trochę mądrzejsze ode mnie. Dopiero gdy się ukazują, zderzają się z czytelnikiem, ja wtedy rozumiem, co w nich naprawdę jest.

Historie, które opowiadasz, stają się coraz bardziej wielopoziomowe i wielopłaszczyznowe.

– Ale też były i nadal pozostają w jakimś sensie niedoskonałe. Staram się robić rzeczy, których do końca jeszcze nie umiem, lubię stan, w którym pisanie jest wyzwaniem, a nie powtarzaniem tego, co już źle opanowałem. Jest taka opinia o różnych artystach, że mają totalną kontrolę nad swoim talentem, że taka jest właśnie definicja wybitności. Taki David Lynch, Cormac McCarthy, Prince. No w tym sensie ja wybitny nie jestem. Daję sobie prawo do poszukiwań, pomyłek i chaotycznych działań. Wiem przecież, że we „Wzgórzu psów”, „Ślepnąc od świateł” czy w opowieści przedstawionej przeze mnie w serialu „Warszawianka” nie wszystko lśni, tam są rysy i szwy. Akcja często się zatrzymuje, postaci brną w dygresje, przydarzają im się sytuacje, które nie popychają fabuły do przodu, a to przecież złamanie najświętszego prawa hollywoodzkiego scenopisarstwa. Myślę jednak, że ludziom podoba się pewien rodzaj nieprzewidywalności, odchodzenia od wzorów typowych powieści gatunkowych. Zawsze ciekawią mnie nowe wyzwania, było takim na przykład stworzenie sequelu z prawdziwego zdarzenia.

Którym jest „Dawno temu w Warszawie”. Skąd pomysł, by napisać kontynuację akurata „Ślepnąc od światel”?

– Gdy wybuchła pandemia, a świat nagle się zatrzymał, pewnego dnia zupełnie znieacka dopadło mnie pytanie: ciekawe, co by teraz robił bohaterowie tej powieści. Było to niespodziewane, ale pobudziło mój mózg do intensywnej pracy.

Przy pierwszym i drugim loc-kdownie byłem wyjątkowo spokojny. Miałem w sobie sporo lęku antycypacyjnego, ale też cieszyło mnie, że w zasadzie nic nie muszę – żadnych spotkań, prawie nikt nie dzwonił. Chyba najbardziej irytowały mnie obostrzenia co do możliwości przebywania na siłowni. Jeździłem więc sporo na rowerze, w kółko po dzielnicy, bo wtedy był ten absurd z zamykaniem lasów. Miałem wtedy mnóstwo czasu na wymyślanie historii i bohaterowie „Ślepnąc od światel” – Jacek, Pazina, Dario – sami do mnie przyszli.

Jednak zacząłem też zwracać większą uwagę na realne problemy. Olena miała właśnie iść do pierwszej klasy liceum, wiązała z tym wielkie nadzieje. Wiadomo, nowi ludzie, więcej wolności, odkrywanie innych zainteresowań, pierwsze grube imprezy. Tymczasem zaczęło się gnienie przed laptopem, zdalne zajęcia, kompletne odcięcie od świata. Na przykładzie mojej pasierbicy, ale też słuchając opowieści o jej znajomych, zrozumiałem, co pandemia zrobiła młodym ludziom. Stało się jasne, że to zamknięcie, przymusowa izolacja posiekają ich psychikę, a nasze państwo raczej nie będzie sobie w stanie z tym poradzić.

W dużej mierze właśnie z tych obserwacji i autentycznie lęku o to, co czeka pokolenie Oleny, wziął się w „Dawno temu w Warszawie” wątek działającego na Pradze azylu dla młodych osób LGB-TQA+.

To miejsce prowadzi w twojej powieści Pazina, która – w zakończeniu „Ślepnąc od światel” – miała udać się z Jackiem do Argentyny.

– Inspiracją do stworzenia tej części powieści z pewnością były moje kontakty z organizacją Serce Miasta pracującą z osobami w kryzysie bezdomności. Magda, czyli Luśka, która zarządza całym tym przedsięwzięciem, była dużą inspiracją dla Paziny z tej książki – jej wyzybta narcyzmu ofiarność, bezkompromisowość, a przy tym asertywność. Zrozumiałem tam, że prawdziwa pomoc to nie jest bycie miłym. Prawdziwa pomoc musi wyzbyć się idealizmu, zejść z różowej chmurki i działać w rzeczywistości.

Miałem też okazję rozmawiać z różnymi dziećciakami wyrzucenymi z domów rodzinnych, bo nie spełniały czyichś oczekiwań, bo na przykład dorośli nie byli w stanie zaakceptować ich tożsamości. Albo po prostu – bo to nie zawsze było genderowe, tożsamościowe – cierpieli, nie radzili sobie ze sobą, nienawidzili siebie. To potwornie trudne być dzisiaj małolatem.

Pokolenie Oleny, ci, którzy właśnie wkracają w dorosłość, jest pierwszą znaną mi generacją, która żyje w poczuciu, że będzie miała gorzej od rodziców, że stoi nad przepaścią. Tymczasem co robi większość z nas? Zamiast natychmiast się zatrzymać, zastanowić nad tym, co do nas mówią nasze własne dzieci, nadal jesteśmy za-

fiksowani wyłącznie na sobie i naszych wewnętrznych jazdach. Po-chłaniają nas przede wszystkim nasze własne lęki, w tym obawa, że dzieciom stanie się krzywda. Próbuujemy dbać o dobrostan materialny, a kompletnie zawodzimy jako opiekunowie, którzy powinni dać poczucie bezpieczeństwa i psychiczny komfort.

Tylko żeby to zrobić, trzeba być osobą spionizowaną, pogodzoną ze sobą, światem, śmiercią. Mało kto z nas może to o sobie powiedzieć. Dlatego też wydaje mi się, że pomaganie sobie, dbanie o siebie samego powinno rozwijać się w poczuciu odpowiedzialności za tych, którymi mamy się opiekować. Żyjemy – my, klasa średnia – w strasznie rozpędzonej kulturze terapeutycznej, wellnessu. Fajnie, że w końcu przyznajemy, że coś z nami nie gra, że szukamy pomocy, ale mam wrażenie, że jest w tym wszystkim trochę za dużo narcyzmu, bo kondycję, z którymi się zmagamy – depresja, uzależnienia, ADHD – same w sobie częściowo polegają na skrzywieniu narcystycznym, a ich leczenie polega na odbudowywaniu kontaktu z innymi. Coś o tym wiem, bo przerabiałem je wszystkie.

Przyznam, że na mnie wrażenie zrobiła też – ukazana przez ciebie w „Dawno temu w Warszawie” – skala uzależnienia młodych ludzi od narkotyków, różnorakich substancji, które trafiają na rynek.

– I tu dochodzimy do ciekawej kwestii. Czyli tego, jak czytelnicy odbierają to, co znalazło się w sequelu „Ślepnąc od światel”.

Pierwsza część tej opowieści – i to zapewne zaważyło o jej sukcesie – miała w sobie pewien nastrój, vibe, który pozwalał odbiorcom mieć poczucie, że to wszystko dzieje się niemal równoległe do ich życia. Że gdyby znaleźli się w nieodpowiednim miejscu i o nieodpowiedniej porze, to mogliby stanąć twarzą w twarz z Jackiem czy z Dariem. Mówiono, że Żulczyk „demaskuje tą powieścią współczesną Warszawę”.

„Dawno temu w Warszawie” jest inne. Opowiadał o rzeczach, które już się wydarzyły i gdyby były jakkolwiek prawdziwe w prawdziwym 2020 roku, kiedy to dzieje się akcja powieści, z pewnością byśmy o nich usłyszeli. Pierwsza książka udawała realizm, druga udaje baśń. To „udaje” jest bardzo ważne. Owszem, ja często nie pozwalam, by prawda stała na drodze do stworzenia dobrej opowieści. Na przykład świetliki, czyli połączenie benzodiazepin i opiatów w jednej tabletkie, to sprawa chemicznie dość trudna do zrobienia.

W ogóle pisać wątek epidemii opiatowej, byłem przekonany, że znacząco wybiegam w przyszłość, ocieram się o fantastykę...

Tymczasem?

– Tymczasem kilkanaście dni temu napisał do mnie człowiek, który zaczął przekonywać, że jest gorzej niż w „Dawno temu w Warszawie”. Że nawet nie mam pojęcia, jak ogromna jest dziś skala uzależnienia młodych ludzi od opiatów. Że mamy ukrytą, ogromną epidemię, bo wielu ludzi uzależnionych jeszcze funkcjonuje. Nie widzimy tego, bo wciąż żyjemy w starych definicjach narkomana i alkoholika – ludzi, którzy są w ostatnim stadium choroby i już opuścili społeczeństwo.

Opiaty to nie wszystko, w glosrii i chwale powrócił mefedron, straszny spid, którego z tego, co wiem, przez kilka lat nie było na rynku. A to jest straszne gównopalające kompletnie ośrodki dopaminowe w mózgu.

W „Dawno temu w Warszawie” jest jeszcze jeden wątek, który teraz jest masowo dyskutowany. Wypłynął niedługo po tym, jak ukończyłem powieść. Chodzi o środowisko youtuberów, instagramerów, którzy stali się patostreamerami i którym puściły wszelkie hamulce. Gdy stało się głośno o Pandora Gate, nie miałem jednak żadnej satysfakcji, pomyślałem raczej: „To było aż tak proste do wychwycenia?”. Poznając kiedyś jedną z osób z tego środowiska, doszedłem do wniosku, że nie są to ludzie do końca w porządku. A może po prostu wyobraziłem sobie, co może się wydarzyć, gdy młodzi ludzie, nad którymi nikt nie ma kontroli, w szybki i łatwy sposób robią karierę w sieci. Stworzony przeze mnie bohater, Łukasz Czego Szukasz, jest emanacją tego środowiska, dowodem na to, jak szybko można wyzbyć się jakiegokolwiek moralności. To patocelebryta przekonany, że może sobie pozwolić na wszystko, ma kontrolę nad innymi, wygrał los na loterii. Aż w końcu przekracza granicę, którą jest realna ludzka krzywda, i nie ma już odwrotu.

Kaczynski straci władzę, gdy zrozumiemy, że to starszy, cierpiący człowiek, a nie jakiś demon, który opętał rzeczywistość

W „Dawno temu w Warszawie” powraca, odradzając się niczym Feniks z popiołów, Dario. Gangster, dla wielu wcielenie czystego zła. Jakbyś chciał powiedzieć, że przed mrokiem nie ma ucieczki...

– Myślisz, że to jest aż tak nihilistyczna opowieść? Nie chciałbym tu zdradzać zakończenia książki, ale chyba zostawiłem tam jakiś mały promyk światła. Tym razem – to chyba nowość jak na Żulczyka – nie wszystko jest spalone, zniszczone i posprzątane. Dario też przechodzi przemianę. Z polskiej wersji Hannibala Lectera staje się kimś śmiesznym, żalosnym.

Wiem, że niektórzy czytelnicy są nawet rozczarowani tym, że Dario przestaje być aż tak demoniczną, enigmatyczną postacią. Jako odbiorcy kultury masowej uwielbiamy zło sataniczne, metaforyczne, pociągają nas historie o seryjnych mordercach. Może chodzi o to, że w ten sposób chcemy utrzymać wiarę w nadludzką, ciemną siłę, bezosobową materię, która tym wszystkim steruje?

Tak czy siak, Szatan nie istnieje. Ludzie są tylko ludźmi.

Ewa, przyjaciółka Paziny, mówi pod koniec „Dawno temu w Warszawie”, że zło i przemoc to przede wszystkim sztafeta. I w mikro-, i w makroskali. Jeśli to kiedyś dośtales, przekażesz dalej.

Myślisz podobnie?

– Tak. Ale myślę jednocześnie, że zło często bierze się z głupoty, chciwości, braku wyobraźni i kontroli nad emocjami. My nie żyjemy w świecie rodem z komiksu, gdzie po jednej stronie są Avengersi, a po drugiej Thanos. Dużo lepiej nasz świat pod tym kątem opowiada film i serial „Fargo”.

Przemoc i zło to raz – głupota, a dwa – sztafeta. Dręczeni ludzie dręczą innych, wykorzystywani seksualnie wykorzystują seksualnie. Narody, które doznały potwornych krzywd, same krzywdzą, podają tę krzywdę dalej – można przez ten pryzmat popatrzeć na to, co dzieje się w Strefie Gazy, oczywiście okropnie to upraszczając. I nie jest to też usprawiedliwianie kogokolwiek, jakiegokolwiek przemocy. Lepiej, gdy zrozumiemy, że świat nie składa się z krystalicznie dobrych i potwornie złych, a przemocy, wojna, mord nie są jakimś opętaniem przez złego ducha.

I jest jeszcze jedna ważna rzecz, Michał. To się może wydać niektórym ludziom wywrotowe, ale posłuchaj – jeśli weźmiesz jakąkolwiek grupę ludzi, o jakiejś tożsamości – rasowej, narodowej, politycznej, genderowej, seksualnej, klasowej etc. – to może być tak, że stosunek ludzi moralnych do niemoralnych będzie w niej taki sam. Dana grupa może być na przykład rządzona przez psychopatę i jakąś toksyczną, straszną ideę. Inna grupa może być z kolei ciemniejsza, prześladowana. Ale pojedynczy ludzie będą w tej grupie różni. Moralni i nie. Zapytasz pewnie, co to moralność – to moim zdaniem proste parametry, które wszyscy rozumiemy intuicyjnie. Żle jest wykorzystywać słabszych. Żle jest używać przemocy. Żle jest kraść. Żle jest myśleć tylko o sobie.

Z zachowaniem wszelkich proporcji i w żadnej, naprawdę żadnej mierze nie próbując zestawiać ludzkich losów – to właśnie chciałem pokazać w „Dawno temu w Warszawie”.

Przed chwilą była też premiera serialu na podstawie twojej „Informacji zwrotnej”, trwają prace nad serialem wg „Wzgórza psów”. Jak sobie radzisz z tym ogromnym zainteresowaniem twoją osobą, dodatkowo rozbuchanym sprawą polityczną, czyli, jak sam to nazwałeś, „wybrykiem z Dudą”?

– Ile można o tym Dudzie? To już zakończona sprawa. Czasami ktoś mnie oznaczy na Twitterze, gdy prezydent znowu powie coś niecodziennego, albo zrobi minę, i tyle.

Jeśli komuś dzięki temu, o czym piszę, jestem w stanie pomóc, to uważam za najlepszy prezent i formę zauważenia tego, co robię. Kilka dni temu na Instagramie napisał do mnie człowiek, który przyznał, że po obejrzeniu „Informacji zwrotnej” po trzech latach pogodził się ze swoją 17-letnią córką i znów zaczęli rozmawiać. Wiele razy zdarzyło mi się usłyszeć: „Świetnie ująłeś moje życie, skąd wiedziałeś, że taki jestem?”. Nie masuje to mojego ego, ale daje poczucie sprawczości. Czuję się przydatny, a to naprawdę ząbiste uczucie.

Ale też, mimo tych wszystkich niesamowitych sytuacji, pewnie zawsze będę trochę niepewny siebie i tego, co robię. Czasem udaje mi się ten stan umiejętnie wykorzystać w pisaniu, to paliwo do samodoskonalenia, do próbowania nowych

rzeczy. Wydaje mi się, że wciąż nie zrobiłem tego, co najlepsze, a autor „American Psycho” Bret Easton Ellis miał rację, gdy mówił, że najlepsze lata dla autora przypadają między czterdziestką a sześćdziesiątką, bo już nie jesteś głupi, a wciąż masz jeszcze siłę. Mnie właśnie stuknęła czterdziestka, mam wrażenie, że zyskałem grunt i teraz mogę się porywać na kolejne rzeczy. I wbrew temu, co mogą myśleć niektórzy, nie śpię na pieniądzach, wciąż jestem na dorobku.

Na koniec trudne pytanie. Nadal gryzie cię to, że zwykle jesteś pomijany przez jury najważniejszych nagród literackich w Polsce?

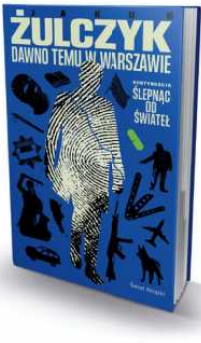
– Gryzło mnie to długo, bo dla mnie moja wymowna nieobecność na longlistach różnych nagród – ja do Nike nigdy nie byłem nawet w dwudziestce – była symptomem jakiejś głębszej sytuacji. To jak kiedyś w szkole – wszyscy dostali zaproszenie na urodziny Kasi, a ty jeden nie. Nie wiem, czy ja się ludziom nie mieszczę aż tak bardzo w głowach, czy wszystkich poobrażałem, czy nie umiem pisać, czy o co im w ogóle chodzi.

No ale w końcu mi odpuściło. Sprzedałem kilkaset tysięcy książek, wymyślałem i pisałem hitowe seriale, które zmieniły polską telewizję. Współprowadziłem podcast, za który ludzie dziękują mi do dzisiaj, pisząc, że uratowałem im życie. Zrozumiałem, że to nie jest o tych nagrodach, tylko o mnie, że ja cały czas z jakiegoś powodu chcę, żeby życie postawiło mi szóstkę z plusem.

Poza tym tego typu wyróżnień potrzebują dziś przede wszystkim debiutanci, ci, dla których rynek nie był jeszcze zbyt łaskawy.

W ubiegłym roku zaproszono mnie do Wrocławia na galę Wielkiego Kalibru za najlepszy kryminał napisany w Polsce. „Informacja zwrotna” znalazła się w finale. Organizatorzy upewniali się przez telefon, czy aby na pewno dotrę, więc – przyznaję – jechałem tam w poczuciu, że czeka mnie coś przyjemnego. Okazało się, że jury doceniło debiutanta z Chicago Grzegorza Dzedzica, autora „Żadnych bogów, żadnych panów”. No ale gdy zobaczyłem, jak bardzo laureat się cieszy, jak bardzo może mu to pomóc w karierze i odnalezieniu się na rynku, przeszła mi cała złość. Ten facet przyleciał tam z Chicago, zupełnie nikomu nieznanym. A ja, gdy jechałem na tę galę, miałem sprzedanych ponad 70 tys. egzemplarzy „Informacji zwrotnej” i podpisaną z Netflixem umowę na ekranizację. Więc po co mi ta nagroda? Wysłaliśmy stamtąd i poszliśmy z Przemkiem Corso do kina na „Top Gun”. Było super. Naprawdę, czasami warto chyba się wyluzować. Uczę się tego codziennie. ●

„Dawno temu w Warszawie”, nowa książka Jakuba Żulczyka ukazała się właśnie w wydawnictwie Świat Książki



NASZA EUROPA

Żadnych skazanych za zabójstwa

KOGO UWALNIA IZRAEL
W ZAMIAN ZA ZAKŁADNIKÓW

I dlaczego w izraelskich więzieniach przebywają nieletni, nawet 14-latkowie?

Clemens Wergin

WELT

Kiedy 24-letnia Marah Bakir wróciła do swojego domu we Wschodniej Jerozolimie, witała ją z wielkimi emocjami matka Sawsan, co pokazały wszystkie telewizje świata. Bakir była w pierwszej grupie palestyńskich więźniów, którzy zostali uwolnieni z izraelskiego aresztu. W zamian Hamas uwolnił część izraelskich zakładników, których ukrywał w Strefie Gazy.

Organizacja terrorystyczna nalegała, aby Izrael uwolnił głównie palestyńskich nieletnich i kobiety, niewątpliwie po to, by zwrócić uwagę światowej opinii publicznej na to, kogo spośród Palestyńczyków Izraelczycy wsadzają do więzień, oraz by uniknąć kontrastu z wido-

kiem dzieci i kobiet, które uprowadził, a teraz wypuszcza Hamas.

Ale w rzeczywistości kontrast nie mógł być większy. Uwolnieni Izraelczycy, w tym małe dzieci, to niewinne ofiary, które zostały zabrane ze swoich domów podczas masakry dokonanej przez Hamas 7 października. Z drugiej strony, palestyńscy więźniowie to jednak głównie skazani przestępcy i tylko niektórych Izrael zatrzymał przewencyjnie ze względów bezpieczeństwa.

Na przykład Marah Bakir przeprowadziła atak nożem na izraelskiego policjanta pilnującego granicy, gdy miała 16 lat – została za to skazana na osiem i pół roku więzienia. Została zwolniona teraz, na kilka miesięcy przed końcem wyroku.

Porozumienie między Izraelem a Hamasem przewidywało, że w ciągu pierwszych czterech dni zawieszenia broni uwolnionych zostanie łącznie 50 izraelskich zakładników w zamian za 150 palestyńskich więźniów. Ponieważ porozumienie zostało przedłużone o dwie doby – a negocjowane jest kolejne przedłużenie – Izrael opublikował listę łącznie 300 więźniów, którzy mogliby zostać wymienieni.

Nie są to jedynie młodzi mężczyźni i chłopcy, którzy rzucali kamieniami w uzbrojonych po zęby żołnierzy. Zarzuty, jakie na nich ciążyą, wahają się od podżegania do przemocy i wspierania organizacji terrorystycznych, po ataki z użyciem broni palnej, dżgnięcia nożem i użycie materiałów wybuchowych – w atakach przeprowadzonych lub dopiero planowanych.

Prawdą jest jednak, że tych 300 więźniów dotyczy „łagodniejsze” spektrum przestępstw, ponieważ ata-

• **Aseel Al-Titi, jedna z pierwszych Palestynek uwolnionych przez Izrael w zamian za zakładników. Została powitana przez swoich bliskich 24 listopada w Nablusie na Zachodnim Brzegu. Miała na głowie opaskę z emblematem Hamasu**

FOT. AP / MAJDI MOHAMMED

Hamas nalegał, aby Izrael uwolnił głównie palestyńskich nieletnich i kobiety – po to, by zwrócić uwagę światowej opinii publicznej na to, kogo Izraelczycy wsadzają do więzień

ki, w które byli zaangażowani, nie spowodowały niczyjej śmierci. Premier Izraela Benjamin Netanjahu nalegał, aby żaden Palestyńczyk oskarżony lub skazany za morderstwo nie został zwolniony.

A to dlatego, że w Izraelu trwa głęboka trauma związana z nazwiskiem: Jahja Sinwar. Jako dowódca Hamasu Sinwar jest odpowiedzialny za masakrę dokonaną na Izraelczykach 7 października. Ale przecież jest także byłym więźniem i skazanym wielokrotnym mordercą. Izrael nie tylko uratował go przed śmiercią w więzieniu – dzięki operacji mózgu – ale także uwolnił go, wraz z ponad tysiącem innych więźniów – w 2011 r. w zamian za uwolnienie izraelskiego żołnierza Gilada Szalita.

Sinwar został aresztowany w 1988 r., kiedy planował porwanie dwóch izraelskich żołnierzy. Został

NASZA EUROPA

skazany za 12 morderstw Palestyńczyków rzekomo podejrzanych o „kolaborację” z Izraelem, z których część Sinwar brutalnie zamordował własnymi rękami. Po uwolnieniu stawał się coraz istotniejszym dowódcą wojskowym w Strefie Gazy – i ostatecznie głównym pomysłodawcą masakry z 7 października.

Zbyt często palestyńscy radykalowie zwalniani z więzień w ramach poprzednich wymian wracali później do terroru, dlatego Izrael do wymian na zakładników Hamasu typuje więźniów, którzy są uważani za mniejsze zagrożenie. Nie oznacza to jednak, że są oni oskarżani tylko o pomniejsze przestępstwa.

Wśród osób, które zostały już zwolnione, jest 38-letnia Asra Jabas, która zdetonowała zbiornik z gazem w samobójczym ataku, poważnie raniąc izraelskiego policjanta, a sama odnosząc poważne obrażenia twarzy. Jabas została skazana na 11 lat więzienia.

300 więźniów, którzy zostali już zwolnieni lub dopiero na to czekają, jest w wieku od 14 do 59 lat. Spośród pięciu najmłodszych, 14-latków, trzech jest oskarżonych o rzucanie kamieniami i koktajlami Molotowa w żołnierzy, co spowodowało obrażenia ciała. A najstarszy, 59-letni polityk Hanan Barghuti, jest oskarżony o wspieranie działalności terrorystycznej.

Większość więźniów na liście pochodzi z Zachodniego Brzegu i Jerozolimy, a nie ze Strefy Gazy. Wynika to oczywiście z faktu, że Izrael sprawuje kontrolę nad okupowaną Jerozolimą Wschodnią i częścią Zachodniego Brzegu i może tam łatwiej aresztować przestępców i osoby podejrzane o terroryzm niż w Strefie Gazy.

Niektórzy na liście są członkami różnych frakcji palestyńskich partii i ugrupowań – Fatahu, Hamasu, Islamskiego Dżihadu lub Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Ale większość nie należy do żadnych organizacji.

Jaki jest status tych więźniów? „Niektórzy z listy są już skazani przez sądy, ale większość z tych, którzy mają zostać zwolnieni, to oczekujący na proces pod różnej wagi zarzutami, od podżegania do przemocy, poprzez ataki bez broni palnej, po usiłowanie zabójstwa” – mówi Jessica Montell. Montell jest dyrektorką izraelskiej organizacji praw człowieka HaMoked, która oferuje porady prawne Palestyńczykom na terytoriach okupowanych.

Jednak wśród wytypowanych więźniów znajdują się również kobiety i nieletni, którzy są przetrzymywani w areszcie administracyjnym ze względów bezpieczeństwa i którzy, zdaniem Montell, i tak powinni zostać już dawno zwolnieni.

Organizacje praw człowieka wielokrotnie krytykowały Izrael, ponieważ ich zdaniem zbyt wielu Palestyńczyków jest przetrzymywanych w areszcie prewencyjnym bez postawienia zarzutów. Według informacji izraelskich służb więziennych z początku listopada, 6704 Palestyńczyków przebywa w aresztach. Spośród nich 2313 jest skazanych, 2321 przebywa w areszcie tymczasowym, a 2070 w areszcie administracyjnym.

Ponadto 105 osób jest pod kluczem na podstawie międzynarodowego prawa wojennego. Są to terroryści Hamasu, którzy zostali schwytani podczas walk w Izraelu po masakrze z 7 października.

Ta liczba prawdopodobnie wzrosła jeszcze od początku listopada, ponieważ Izrael aresztuje coraz więcej członków Hamasu, którzy poddają się lub są zatrzymywani w ramach ofensywy lądowej w Gazie.

Większość z 300 więźniów znajdujących się na liście do wymiany ma 17 lub 18 lat, ale niektórzy są młodszy.

Zatrzymywanie nieletnich wywoływało już nie raz falę krytyki w samym Izraelu. Władze bronią się, argumentując, że palestyńskie dzieci są od najmłodszych lat silnie indoktrynowane i militarzowane przez radykalne frakcje i często wręcz wysyłane do walki jako dzieci-żołnierze z bronią w rękę.

Lista obejmuje m.in. 15-letniego Ibrahima Zame-
ra z Nablusu, który w kwietniu ubiegłego roku brał udział w ataku z użyciem broni palnej w Jerozolimie, w którym rannych zostało dwóch Izraelczyków. Jest na niej także Muhamed Abu Katish, który jako 16-latek dźgnął nożem w plecy ultraortodoksyjnego Żyda w Jerozolimie równo rok temu. ●

Kontrola migracji do Europy

Rządy unijne zaczynają działać na własną rękę

UE stara się wdrożyć reformę systemu azylowego, ale wiele unijnych stolic nie wierzy, że ograniczy to nielegalną migrację. Dania i Austria samodzielnie zaczynają pogłębiać współpracę z Tunezją.

Carolina Drüten

WELT

Nowy obóz szkoleniowy dla funkcjonariuszy Straży Granicznej znajduje się w Nefcie, to ok. 12 tys. m kw. terenu z budynkami. Kompleks powstał przy wsparciu finansowym Austrii i Danii. Cel to zapobieganie przedostawaniu się migrantów do Europy.

W zeszłym tygodniu austriacki minister spraw wewnętrznych Gerhard Karner i duński minister ds. migracji Kare Dybvad Bek wspólnie otworzyli nowe centrum w pobliżu granicy z Algierią. Koszt jego budowy wyniósł 3,5 mln euro, z czego większość pokryła Kopenhaga.

Wizyta robocza w Tunezji była pierwszą w historii wspólną inicjatywą Austrii i Danii na szczeblu ministerialnym. Od dość dawna jednak oba te kraje zgadzają się w wielu kwestiach dotyczących tego, jak powinna wyglądać europejska polityka migracyjna.

Jedno jest pewne: to tzw. kraje trzecie powinny w tej strategii odgrywać kluczową rolę. To jest przekonanie podzielane i w Brukseli, i w wielu stolicach UE. Jedyną kontrowersyjną kwestią jest to, jak daleko powinny sięgać takie modele angażujące kraje trzecie. Zważywszy także na – jak dotychczas – fiasko pomysłu rządu w Londynie, by wysłać migrantów do Rwandy, gdzie dopiero czekali by na rozpatrzenie ich wniosków azylowych.

Istnieje szeroki konsensus na szczeblu rządowym w krajach UE dotyczący „eksternalizacji granicy zewnętrznej”, czyli po prostu outsourcingu ochrony granic. Migranci mają być zatrzymywani, zanim w ogóle dotrą na europejską ziemię. Do tego także sprowadza się np. umowa UE z Turcją: pieniądze za zatrzymanie uchodźców w obozach na terenie kraju trzeciego.

W tym celu UE współpracuje najciślej z jednym krajem Afryki Północnej. W zamian za miliony euro Tunezja ma podjąć bardziej zdecydowane działania przeciwko siatkom przemytników i nielegalnym przeprowom łodziami przez Morze Śródziemne. Zostało to jednak skrytkowane, ponieważ Tunezja jest zasadnie oskarżana o łamanie praw człowieka.

Tymczasem Austria i Dania chcą bardziej fundamentalnych zmian w europejskiej polityce migracyjnej. Oba kraje opowiadają się za wspomnianym wyżej „modelem rwandyjskim”. Pomysł polega na wysyłaniu migrantów, którzy wjechali do krajów UE nielegalnie, do kraju trzeciego, by dopiero tam czekali na przeprowadzanie ich procedury azylowej.

Zdaniem zwolenników takiego modelu zlikwidowałoby to zachętę do podróży do Europy i tym samym wyraźnie zmniejszyło migrację zarobkową. Propozycja ta jest również obecnie omawiana w Niemczech: temat podniosła opozycyjna chadecja z CDU/CSU, a niemiecki rząd

zamierza oficjalnie zbadać, czy i w jaki sposób możliwe jest przeprowadzanie procedur azylowych poza Europą.

Bruksela przekonuje, że ma gotowy plan

Z kolei Komisja Europejska przekonuje, że znaleziono rozwiązanie problemu, który już kilka lat temu nieomal doprowadził do rozpadu UE: opracowano reformę azylową w celu ograniczenia nieuregulowanej imigracji.

Sercem projektu są ośrodki migracyjne na zewnętrznych granicach Europy – ale jeszcze na europejskiej ziemi. W przyszłości osoby przybywające nielegalnie z krajów uznanych za bezpieczne mają być poddawane przyspieszonej procedurze, a jeśli okaże się, że nie mają prawa do azylu, mają być szybko odsyłane z powrotem do kraju pochodzenia.

Plan UE przewiduje, że proces oceny każdego indywidualnego przypadku będzie trwał maksymalnie 12 tygodni, które osoby te spędzą w warunkach przypominających przetrzymywanie w ściśle kontrolowanych ośrodkach recepcyjnych.

W przypadku szczególnie dużego wzrostu migracji okres zatrzymania może zostać przedłużony na mocy specjalnego rozporządzenia kryzysowego. Ale za to limit osób kwalifikujących się do ścisłych procedur granicznych również mógłby zostać zwiększony.

Jednak według niektórych ekspertów reforma – jeśli nawet zgodzą się na nią wszystkie państwa członkowskie – nie przyniesie pożądanych rezultatów. Na przykład znany badacz migracji Gerald Knaus, współzałożyciel liberalnego think tanku European Stability Initiative, uważa, że ten plan to po prostu „blef”. „Reforma w takiej postaci niczego nie zmienia: nie zmniejszy presji migracyjnej, nie uratuje żadnego życia” – mówi.

Bez szerokiego porozumienia w sprawie repatriacji migrantów plan faktycznie wygląda na bezcelowy. Obecnie próby deportacji zwykle kończą się niepowodzeniem, ponieważ kraje pochodzenia lub tranzytu migrantów nie chcą sły-
szyć o przyjmowaniu ich z powrotem.

„Nikt nie chce być odpowiedzialny za fiasko reformy azylowej”

„Słyszymy z Brukseli, że wszelkie alternatywne rozwiązania kwestii migracji podejmowane przez poszczególne rządy jedynie odwracają uwagę od potrzeby zaaplikowania tej reformy” – mówi Knaus. Uważa to za nieodpowiedzialne podejście. „Nikt nie chce przyznać, że od lat pracujemy nad złym kompromi-
sem – mówi ekspert. – Nikt nie chce być odpowiedzialny, jeśli reforma się nie powiedzie”.

W niektórych krajach UE rośnie świadomość, że potrzebne są inne rozwiązania. Austria i Dania stoją na czele tego ruchu. W czerwcu 2021 r. duński parlament, z inicjatywy rządzącej socjaldemokracji, przyjął ustawę, która umożliwia tworzenie ośrodków azylowych dla zatrzymywanych w Danii nielegalnych imigrantów w innych krajach.

Pozwoliłoby to władzom na kierowanie osób ubiegających się o azyl do

krajów trzecich, gdzie musiałyby czekać na rozpatrzenie ich wniosku w Danii. Podobne plany miał torysowski rząd w Wielkiej Brytanii, który podpisał nawet stosowną umowę z władzami Rwandy. Jednak jak dotąd żaden z tych planów nie został jeszcze zrealizowany.

Taki krok i tak nie byłby obecnie możliwy dla innych krajów UE. Dania ma większą swobodę w tym obszarze, ponieważ prawo unijne jest dla Kopenhagi tylko częściowo wiążące ze względu na specjalne regulacje.

Wiedeń wzywa zatem do zmiany warunków ramowych obowiązujących w UE. „Należy zmienić ramy prawne, aby możliwe było partnerstwo z krajami trzecimi, takimi jak Rwanda, w zakresie procedur azylowych” – powiedział nam austriacki minister spraw wewnętrznych Gerhard Karner.

Coraz więcej rządów w UE zdaje sobie z tego sprawę. Stało się to jeszcze bardziej wyraźne po szokującym zwycięstwie populistycznej antyimigranckiej Partii Wolności Geerta Wildersa w Holandii. Europejski mainstream polityczny obawia się paliwa, jakim dla radykałów jest kryzys migracyjny. „Sojusz tych, którzy chcą coś zmienić, znacznie się powiększył” – stwierdził Karner, mówiąc o „prawdziwym postępie”.

Ma być może na myśli inicjatywę podejmowane w innych krajach. Na przykład Włochy chcą utworzyć dwa ośrodki recepcyjne w Albanii dla migrantów, którym udało się przepłynąć przez Morze Śródziemne. Ich wnioski o azyl mają być rozpatrywane dopiero w tych ośrodkach. Szwecja również opowiada się za zdecydowanym zaostrzeniem przepisów dotyczących procedur azylowych.

Sedno sprawy tkwi w szczególnym elemencie prawa UE zwanym kryterium powiązania. Stanowi ono, że migranci mogą być sprowadzani do krajów trzecich, które zostały uznane za bezpieczne, tylko jeśli mają wystarczające „punkty styczne” z tym krajem.

Mogą więc to być na przykład kraje tranzytowe na szlaku migracyjnym – czyli w olbrzymiej większości przypadków wyklucza to np. Rwandę. Wydaje się, że na razie niemiecki rząd również chce się trzymać tego wymogu.

Knaus i inni eksperci opowiadają się za tymczasowym uchyleniem kryterium powiązania. „Projekt pilotażowy z udziałem Rwandy lub innego kraju uznanego za bezpieczny byłby zmianą paradygmatu, której teraz potrzebujemy” – uważa Knaus.

Według niego rozwiązanie z zaangażowaniem krajów trzecich jest jedynym sposobem na zmniejszenie fali migracji przy jednoczesnym poszanowaniu praw człowieka i konwencji dotyczących statusu uchodźców.

Jeśli UE nie podejmie skutecznych działań z poszanowaniem konwencji, debata stanie się jeszcze bardziej radykalna, ostrzega Knaus. „Wtedy pojawią się niechybnie wezwania do zniesienia konwencji dotyczącej uchodźców lub po prostu do łamania prawa i ustaleń międzynarodowych. A to byłoby prawdziwym zagrożeniem dla UE jako wspólnoty opartej na rządach prawa i przestrzeganiu podstawowych praw człowieka”. ●



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

Andrzej Lubowski

Jeden z republikańskich kongresmenów powiedział, że kanałowe leczenie zęba to większa frajda niż praca z partyjnymi kolegami. Inny, nawiązując do zwyczaju papieskiego konklawe, przed kolejną turą głosowań na spikera Izby Reprezentantów przestrzegał: „Jeśli zobaczycie biały dym, to nie znak sukcesu. To znaczy, że ktoś właśnie podpalil to miejsce”.

Monstrualny chaos przypadł na bardzo niefortunny moment, bo na pilne załatwienie czeka w Kongresie pakiet pomocy dla Ukrainy, Tajwanu i Izraela. Sporo do ugrania na zadymie ma Trump. Im dłużej trwa bałagan, tym trudniej rządzić państwem, administrować publicznymi sprawami, a to obciąża konto Bidena. Może także spowolnić młyny sprawiedliwości, które miały wprawdzie nierychliwie, ale w sposób coraz bardziej dla Trumpa nieprzyjemny. Jego była prawniczka, głośna orędowniczka teorii, że maszyny do głosowania w wyborach prezydenckich 2020 roku przygotował Hugo Chavez, za zwolnienie od groźby więzienia zgodziła się zeznawać w kolejnym procesie przeciwko byłemu prezydentowi w charakterze świadka oskarżenia.

SPIKER Z LOTERII

Rywal Baracka Obamy w wyborach prezydenckich 2012 roku Mitt Romney, jedyny republikański senator, który dwukrotnie głosował za impeachmentem Trumpa, zrezygnował z ubiegania się o reelekcję i powiedział, że reprezentuje małe skrzydło Partii Republikańskiej, które nazwał „mądrym skrzydłem”. Dodał, że w ostatnich kilkunastu latach partia stała się partią demagogów. W 2012 roku Romney jako kandydat na prezydenta budził zgorzelenie, przewożąc swego psa w klatce na dachu samochodu, i długo się z tego tłumaczył. W 2016 roku Trump chętnie się wkładaniem kobietom ręki w miejsca intymne, co nie przeszkodziło mu wygrać prezydenturę. Jako lokator Gabinetu Owalego radykalnie obniżył standardy publicznego decorum, a jego teoria walki z COVID-19 drogą konsumpcji środków do dezynfekcji toalet nie podniosła poprzeczki intelektualnej w Waszyngtonie. Trudno się dziwić, że oskarżony o korupcję senator (demokrata) na pytanie, po co mu w bielizniarce 400 tysięcy dolarów w gotówce, bez mrugnięcia okiem odpowiada, że na drobne wydatki, gdyby akurat wysiadł okoliczny bankomat.

Ameryka już dawno zaczęła skręcać na prawo. Lecz taki skręt nie musi, zdawać by się mogło, oznaczać ani odrzucenia głoszonych przez lata wartości, ani ekstremizmu, ani niekontrolowanej destrukcji. A tak się stało za sprawą człowieka pozbawionego odrobiny szacunku dla instytucji demokracji: szczególnie dla niezależnych mediów i sądów. Na fali trumpizmu – to bardziej styl sprawowania władzy, maniery i retoryka niż spójny system ideologii, bo w przypadku Trumpa trudno mówić o ideach – do Kapitolu wjechało sporo jego akolitów. Łatwiej im zaakceptować wiarę w potrzebę karabinu w każdym domu niż w teorię ewolucji.

Gdy Republikanie wygrali zeszłoroczne wybory do Izby Reprezentantów, stanowisko trzeciej osoby w państwie – bo taka w hierarchii władzy jest pozycja spikera Izby Reprezentantów, odpowiednika naszego marszałka Sejmu – miał objąć Kevin McCarthy, lojalny żołnierz Trumpa, poprzednio lider opozycji. Przejął tę rolę dopiero w piętnastej rundzie głosowania, gdy obie-

cał radykałom w swej partii spełnienie ich postulatów. To był znak głębokich podziałów. Do historii McCarthy przejdzie jako pierwszy spiker Izby Reprezentantów USA, który został odwołany głosami swoich partyjnych kolegów. Lepszych pomysłów nie było, bo konstrukcyjnych, wychodzących poza taktykę „najpierw, kurde, zróbmy burdel, potem, kurde, się zobaczy”, żeby zacytować Wojciecha Młynarskiego, to towarzystwo nie ma. Niektórzy zbawienia szukali w modlitwie, inni proponowali loterię, w której przegrany dostaje to stanowisko.

Łatwiej zrozumieć, w którą stronę poszli Republikanie za Trumpa, spoglądając na kilka nowych gwiazd.

TERRORYSTA I GENITALIA

Jim Jordan, najwierniejszy z giermków, któremu kilka dni po ataku na Kapitol Trump wręczył najwyższe cywilne odznaczenie Ameryki, Medal Wolności, to najbardziej energiczny przesładowca Bidena. Za młodu zapaśnik, robi wrażenie gościa, który ostatkiem woli panuje nad pokusą, aby komuś zdrowo przyłożyć. Zresztą wielokrotnie, także przy okazji zmagania o posadę trzeciej osoby w państwie, się-

gał po metody zastraszania. Były spiker Izby Reprezentantów John Boehner nazwał go kiedyś „legislacyjnym terrorystą”. Kiedy mijali się w korytarzach, Boehner próbował rozładować napięcie Jordana, witając go pytaniem: „Co masz zamiar dzisiaj spieprzyć?”.

W swojej siedemnastoletniej karierze w Kongresie Jordan ani razu nie sponzorował projektu ustawy, który stał się obowiązującym prawem. Sam przyznał, że „nie zjawiał się w Waszyngtonie, aby stanowić prawo”. Zasłynął jako inicjator partyjnych inkwizycji. Kiedy w 2017 roku FBI wszczęła dochodzenie w sprawie powiązań kampanii Trumpa z Rosją, Jordan żądał, aby Kongres „przeprowadził śledztwo śledczych”. Szybko zrozumiał, że atakowanie Demokratów to najłatwiejszy sposób na wzmocnienie własnej pozycji wśród konserwatywnej bazy. Szukał ofiar liberalnych spisków – najsłynniejsza ofiara w jego rejestrze to Donald Trump, którego przegranej w wyborach w 2020 roku Jordan nie chciał poświadczyć. W nowym rozdaniu został przewodniczącym Komisji Sądownictwa Izby Reprezentantów. A jak się rychło okazało, ma apetyt na więcej. 2 stycznia 2021 roku narażał się z Trumpem, jak opóźnić zatwierdzenie wyniku wyborów. Jednym z pomy-

słów było zachęcenie zwolenników Donalda za pośrednictwem mediów społecznościowych do marszu na Kapitol 6 stycznia.

Zręcznie zamiótł pod dywan nieprzyjemny epizod ze swego życia. Gdy zapaśnicy z Ohio State University zjawiali się u lekarza z rozbitym nosem lub zwichniętym barkiem, ten za stosowne uważał badanie ich genitaliów. Gdy skarżyli się asystentowi trenera, ten zbywał to milczeniem i kazał brać się do roboty. Po latach niezależny raport sporządzony na zamówienie uczelni potwierdził, że tego typu praktyk doświadczyły setki studentów. Lekarz popełnił samobójstwo. Asystent trenera, właśnie Jim Jordan, ubiegał się o trzecie stanowisko w państwie.

DIABELSKIE ANIOŁKI

Wśród Republikanów w izbie niższej Kongresu obserwatorzy dostrzegają trzy frakcje: prawicę, skrajną prawicę i zwariowaną prawicę. Do tej zwariowanej należą dwa aniołki Donalda – młode posłanki, o których słyszała już cała Ameryka, bo są tak barwne i hałaśliwe.

Pierwsza to Marjorie Taylor Greene, pro-wokatkorka ze stanu Georgia, która w czasie

TRUMP

CZYLI GENIUSZ BANKRUCTWA

W batalii o duszę Partii Republikańskiej wygrał przez nokaut, bo podniósł odporność publiki na skandal



przemówienia prezydenta Bidena do połączonych izb Kongresu wykrzykiwała pod adresem prezydenta: „Kłamca!”. Propaguje teorie spiskowe. Publicznie wzywała do użycia przemocy w życiu politycznym, w tym do egzekucji. Sugerowała, że katastrofalne pożary, które nawiedziły Kalifornię w listopadzie 2018 r., były sprawką operującego z przestrzeni kosmicznej lasera powiązanego z rodziną Rothschildów. George’a Sorosa określiła mianem nazisty.

Drugi aniołek to Lauren Boebert, która w miejscowości Rifle (z ang. karabin) prowadzi Shooters Grill – restaurację zachęcającą pracowników do otwartego noszenia broni palnej. Pierwsze zamieszanie wywołała, gdy ogłosiła, że zamierza nosić broń na terenie Kapitolu. Nie wszyscy uznali to za dobry pomysł, ale wielu kolegom partyjnym zaimponowała. Oba aniołki zakwestionowały certyfikat Kolegium Elektorów uznający Joego Bidena za prezydenta.

Na tle tych postaci Kevin McCarthy jawi się jako człowiek gołębiego serca i wyrafinowanego intelektu. Ponieważ za cel podstawowy Republikańskie stawiają sobie rzucanie przy każdej okazji prezydentowi Bidenowi kłód pod nogi, McCarthy nadawał się do tej roli znakomicie. Źró-

cą ukończył w Luizjanie, plasuje się wśród uczelni prawniczych w USA na miejscu 99.), ale nie wierzy, iż spalanie paliw kopalnych ma jakikolwiek wpływ na klimat, i uważa, że globalne ocieplenie to bujda na resorach. Sprzeciwia się energii odnawialnej i dostał w zeszłym roku więcej dotacji na swą kampanię od firm naftowych i gazowych niż od jakiejkolwiek innej branży. Po ostatnich wyborach prezydenckich wspierał twierdzenia Trumpa, że to on wygrał i próbuje się go oszukać. Czynił to tak żarliwie, że wystąpił do Sądu Najwyższego o unieważnienie wyników w czterech stanach, w których Trump przegrał, a bardzo chciał wygrać. Równie żarliwie sprzeciwiał się pomocy Ukrainie, bo jak przypomniał, „na naszej granicy panuje chaos”, a „matki mają trudności ze znalezieniem mleka modyfikowanego dla dzieci”. Są to rzeczywiście poważne sprawy, ale nielato ustalić, co deficyt modyfikowanego mleka ma wspólnego z pomocą dla Kijowa.

Nową rolę zaczął wyrywnie, ale trudno wyrokować, w którą stronę zamierza pogalopować. Z pakietu proponowanego przez prezydenta wyciął pomoc dla Ukrainy i Tajwanu. Pozostawił jedynie wsparcie dla Izraela, ale pod dość niezwykłym warunkiem – Izrael dostanie tyle pieniędzy, ile rząd obetnie z funduszy Internal Revenue Service, czyli federalnego urzędu podatkowego przeznaczonych na ściganie osób o wysokich dochodach uchylających się od płacenia podatków. Innymi słowy, pan spiker nie odmawia wsparcia Izraela, jeśli rząd da spokój oszustom podatkowym z górnej półki dochodowej.

WOLNOŚĆ SŁOWA, CZYLI SZAMBO

Roger Stone, polityczny łobuz i prowokator, współorganizator ataku na Kapitol, mentor Trumpa, wpoił swemu wychowankowi kilka zasad, które ten konsekwentnie praktykuje: nie jednocz ludzi, lecz ich dziel; nigdy nie przyznawaj się do kłamstwa i atakuj, atakuj, atakuj. Trump podzielił Amerykę jak nikt przed nim. Dla jednych to ohydny rehot historii – narodowa hańba i zagrożenie dla demokracji. Dla większości republikanów to mesjasz.

To, że owiął sobie wokół palca Partię Republikańską, jest chyba największym sukcesem Trumpa. Partia, która miała na swych sztandarach wypisane hasła wolnego handlu, dyscypliny budżetowej i liberalnej polityki migracyjnej, odrzuciła je wszystkie, bo Trump wszystkie ma za nic. O cnocie ograniczania zadłużenia przypo-

Czy powrót Trumpa do Białego Domu zwiastuje „wojnę domową” i „morderstwa polityczne”?

minają sobie dopiero wtedy, kiedy trafiają do opozycji.

W batalii o duszę Partii Republikańskiej Trump wygrał przez nokaut. Zaimponował skutecznością. W zdumiewającym tempie z uszczerbkiem dla norm etycznych i standardów demokracji podniósł odporność opinii publicznej na skandal. Kongres Stanów Zjednoczonych, instytucja stanowienia prawa i znajdowania rozwiązań dla problemów narodu, stał się terenem wojny kulturowej. Ta wojna toczy się w Ameryce od dawna. Trump dodał jej impetu i brutalności, przyciągnął do niej ludzi poprzednio apatycznych. I w tej wojnie tkwi klucz do zrozumienia niesłabnącego poparcia, jakim się cieszy wśród milionów, choć kolejne sądy stwierdzają, że naruszył prawo. Dla jego popleczników nie jest ważne, za czym, ale przeciw komu i czemu Trump się wypowiada. Ci, którzy wierzą, że Ameryka walczy na śmierć i życie o swą tożsamość, o to, by nie zmienić swej cery na bardziej śniadą, stawiają na Trumpa. Jego retoryka trafiła do ludzi dręczonych wiarą, że są bezradnymi pionkami spętanymi przez sterowaną przez elity machinę. Wyroki sądowe przeciwko Trumpowi nie zmniejszają tego poparcia, wpisując się świetnie w przyjętą narrację: stanowią kolejny dowód, że walczy z elitami. Nie obudził demonów rasizmu, bo one nigdy nie zasnęły. On je po prostu zachęcił do wyjścia na ulice i rozdarcia gardel. Nie wymyślił amerykańskiej bigoterii, ale spuścił ją ze smyczy. I nie zrobi nic, aby ją okiełznać. Pogarda dla norm, nienawiść, żółć i chamstwo, jakie z niego emanują, to nic udawanego, to nie koniunkturalizm.

Życie Trumpa było mistrzowską lekcją unikania konsekwencji. Jeśli Reagan był z teflonu, to czym powleczonej jest Donald? Zawsze używał obelg jako narzędzia politycznego, lecz gdy nastały dni rozliczeń na sali sądowej, jego retoryka stała się bardziej groźna. Sugestia, że gen. Mark Milley, były przewodniczący Połączonych Szefów Sztabów, zasługuje na rozstrzelanie, że złodziei sklepowych należy rozstrzeliwać czy że „należy ścigać” prokuratora generalnego stanu, który go oskarża – wszystko to tworzy bezpośrednie zagrożenie dla celów jego gniewu. Podobnie jak użycie języka nawiązującego do nazistowskiej eugeniki i oskarżanie imigrantów o „zatrutowanie krwi naszego kraju”. Trump nigdy nie respektował przyjętych norm i nie ma powodu sądzić, że będzie respektował sądowe nakazy milczenia. Jego zwolennicy również porzucili tradycyjne zasady. Nadejść może dzień, kiedy szalenięc chwyci za broń lub zbuduje bombę, aby uczynić coś, co sugeruje Trump. A on zasłoni się wolnością słowa.

Jeśli notoryczny bankrut przywdziewa z powodzeniem maskę Midasa, przeszczerzeń publiczna, w jakiej się porusza, bierz smród za francuskie perfumy, gdy

kłamstwo i hipokryzja przebijają sufit, a rubaszne chamstwo wchodzi do publicznego obiegu, gdy puszczają wszelkie moralne hamulce, strumyk szamba zamienia się w rwący potok.

Chętnych do naśladowania nigdy nie zabraknie. Wzorce – skala malwersacji, kłamstwa i chamstwa – promieniują daleko. Dolar od Brazylii po Europę. Czy PiS nie znalazł w trumpizmie inspiracji dla monstrualnych przekrętów popelnianych w majestacie prawa, sosie wzniosłych słów i ignorowania krytyki oraz pisania historii na nowo?

W zdumiewającym tempie z uszczerbkiem dla norm etycznych i standardów demokracji Trump podniósł odporność opinii publicznej na skandal, zmienił kryteria tego, co bulwersuje, a co ją tylko zaskakuje. Koktajl gniewu, strachu i obietnic cudu, wzmocniony szczodłą dawką rasizmu, przypadł w 2016 roku do gustu milionom Amerykanów i do dziś im smakuje.

GENIUSZ ZNISZCZENIA

Z obietnic spełnionych większość była błędem, często gigantycznym. Takim jak wyprawienie Ameryki z paryskiego porozumienia klimatycznego czy przeniesienie ambasady USA z Tel Awiwu do Jerozolimy. Upchnięcie w Sądzie Najwyższym na dekady konserwatywnych sędziów cieszy wiernych, ale Partii Republikańskiej może zaszkodzić. Trump nie spełnił obietnic prostszych. Nie ujawnił swych zeznań podatkowych – Kongres mu je wyszarpał. Nie pozwał kobiet, które oskarżały go o molestowanie. Nie zbudował muru na granicy Meksyku za pieniądze Meksyku, jak obiecywał, ani za żadne inne. Nie wróciła dobrze płatna praca w hutach czy kopalniach. I wyznawcy nigdy mu tego nie wypomnieli, bo winą obciążyli „waszyngtońskie bagno”.

Szkody dla wizerunku Stanów Zjednoczonych, jakich dokonał, znacznie przerastają skuteczność wieloletnich wysiłków sowieckiej i rosyjskiej propagandy oraz dywersji.

Decyzję Trumpa o przeniesieniu ambasady USA z Tel Awiwu do Jerozolimy weteran izraelskiej dyplomacji Szelomo Awineri skomentował tak: Trump mógł powiedzieć Netanjahu: „Bibi, dam ci coś, czego nie dał ci żaden amerykański prezydent: formalne uznanie Jerozolimy za stolicę państwa żydowskiego. Warunek: ogłoś publicznie zakaz budowy nowych osiedli żydowskich na terenach Autonomii Palestyńskiej”. Bibi by na to poszedł bez mrugnienia powieki. Co robi Trump, „mistrz negocjacji”? Oddaje dużo za nic i dolewa oliwy do ognia konfliktu, który tak dramatycznie daje dziś o sobie znać. Jedyne deale, w jakich błyszczał dotąd, to stawianie pod murem wierzycieli. Oddam ci 60 procent tego, co pożyczylem od ciebie, albo ogłoszę bankructwo. I to mu zwykle wychodziło. Sąd orzekł, że oszukiwał banki co do wartości swego stanu posiadania. Trump odbija piłeczkę – to wina banków, że jego szacunków nie weryfikowały.

Wizja powrotu Trumpa do władzy – scenariusz bynajmniej nie wykluczony – musi przerażać. Zwłaszcza w dzisiejszym świecie. Taki scenariusz spędza sen z oczu Ukraińcom, jako że geniusz nad geniuszami zapewnia, że w jeden dzień skończy



dlem jego siły, jak powiedział jego były bliski współpracownik, jest to, że „Kevin w nic nie wierzy”. Ale zawiódł partyjnych kolegów. Wpierw wynegocjował z administracją Bidena podniesienie pulapu zadłużenia, zapobiegając w ten sposób sytuacji, w której rząd nie będzie w stanie spłacać swoich długów. Wywołało to wściekłość na prawym skrzydle. Aby je udo-bruchać, McCarthy wszczął dochodzenie w sprawie impeachmentu Bidena. W ostatniej chwili, w zamian za bolesne ustępstwa Białego Domu, w tym wstrzymanie pomocy dla Ukrainy i inne cięcia wydatków, przedłużył prowizorium budżetowe, odsuwając widmo bankructwa rządu federalnego. Pijana zdobytą władzą, zaślepiona nienawiścią wobec Bidena i lojalnością wobec Trumpa garstka republikanów uznała, że McCarthy nie jest wystarczająco bojowy, a za bardzo koncyliacyjny. Bywa, że radykalowie „cywilizują się”, trafiając do głównego nurtu polityki. W Ameryce ery Trumpa stało się na odwrót – ich radykalizm zmienił główny nurt.

Mike Johnson, nowy spiker Izby Reprezentantów, to gość, o którym republikańscy liderzy w Senacie wcześniej nie słyszeli. Pobierał wprawdzie nauki na poziomie ponadpodstawowym (szkoła prawa, któ-

Mentor Trumpa wpoił mu kilka zasad: dziel ludzi, nie przyznawaj się do kłamstwa i atakuj, atakuj

wojnę Rosji z Ukrainą. Choćby z tej racji, że Biden Ukrainę wspierał, Trumpa może korcić, aby ją porzucić. Z jego ust słyszeliśmy, że bardziej ufa Putinowi niż własnemu wywiadowi. W tej sytuacji niepokoi ignorancja wyznawców „Make America Great Again” i niektórych jej przedstawicieli w Kongresie. Gdyby Putin zajął Kijów, wielu z tych, którzy dziś krytykują prezydenta za nadmierną pomoc, powiedziałoby: Biden jest przeraźliwie słaby. I mieliby rację. Zwycięstwo Rosji jeszcze bardziej spopularyzowałoby narrację o „upadku Zachodu”, niszcząc sojusze USA w Europie i Azji. Wpływy Chin i Rosji wzrosłyby kosztem Ameryki.

Po pierwsze, pomoc dla Ukrainy to naprawdę kropla w morzu. Po drugie, spora część tej pomocy to zapasy z magazynów Pentagonu – broń, której Amerykanie mają w nadmiarze i która wyszła z użytku ich sił zbrojnych. Po trzecie, w tych przypadkach, gdy rząd musi złożyć nowe zamówienia, jest to zastrzyk dla amerykańskiego sektora zbrojeniowego. Czy część Republikanów a) tego nie rozumie, b) rozumie, ale chodzi o to, aby podważyć pozycję Bidena, c) działa świadomie na rzecz Putina? Żadnej z tych opcji nie można wykluczyć, ale możliwe są oczywiście opcje mieszane.

Idea trumpistów w USA: najpierw, kurde, zrobmy burdel, potem, kurde, się zobaczy

W sprawach znacznie prostszych ge-niusz nie zaprocentował, ale uczynił wiele zła. Wiemy, że rozważał wyjście Stanów z NATO. Jego przyjaźń z Netanjahu nie wróży nic dobrego na Bliskim Wschodzie.

WIDMO WOJNY DOMOWEJ

Jak mogłaby wyglądać druga kadencja Trumpa? Znacznie gorzej niż pierwsza – taki jest wniosek wielu członków jego administracji. Fragmenty ich analiz przedstawił Miles Taylor, w latach 2017-19 szef sztabu Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego USA.

Przez całą prezydenturę Trumpa jego doradcy obawiali się, że sięgając po Insurrection Act (ustawę o powstaniu), prezydent może wyprowadzić wojsko na ulice Ameryki. Ujawniono, że w lutym 2019 roku był o krok od podjęcia takiej decyzji, aby siłą wydalić imigrantów ze Stanów Zjednoczonych. Jego doradcom udało się to Trumpowi wyperswadować. „Wierzyliśmy, że można zapanować nad niemo-ralnymi impulsami tego człowieka. Mylił się się” – mówi Taylor. Co się stanie, jeśli Trump wróci do Białego Domu lub ktoś o podobnych instynktach obejmie prezydenturę?

„Szkody wyrządzone przez Trumpa podczas pierwszej kadencji są możliwe do naprawienia” – powiedział były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego John Bolton, ale Trump 2.0 „wyrządziłby szkody, których nie da się naprawić, zwłaszcza w Białym Domu otoczonym przez urzędników piątego kalibru”.

Najbardziej niepokojące są trzy prognozy.

Po pierwsze, szczególne zaniepokojenie budzi realna perspektywa wykorzystania przez Białą Dom agencji wywiadu i wojska.

„Ruch MAGA utorował drogę upolitycznionej społeczności wywiadowczej” – twierdzi Fiona Hill, była doradczyni Rady Bezpieczeństwa Narodowego Trumpa (NSC). Obawia się, że kierowanie takimi agencjami przez ideologów „doprowa-

dzi USA do wojen”, na które Ameryka może nie być przygotowana. Były sekretarz obrony Trumpa Mark Esper dodaje, że jego „największym zmartwieniem będzie wycofanie wojsk z kluczowych miejsc za granicą” i „porzucenie sojuszy”. Prognozuje, że następny Trump może narazić Amerykę na atak.

MAGA zamierzała wymusić na Departamencie Edukacji wyrzucenie dzieci nieposiadających dokumentów ze szkół publicznych i wykorzystanie budżetu Departamentu ds. Weteranów, wynoszącego 250 miliardów dolarów, na inne priorytety polityczne („Weterani umieraliby tysiącami, może setkami tysięcy” – wyjaśnił Jim Byrne, człowiek numer 2 numer w tej agencji).

Po drugie, władza ustawodawcza zostanie zneutralizowana, a sprzeciwiającym się Partii Republikańskiej zostanie nałożony kaganiec. Zdaniem obecnych i byłych przedstawicieli Partii Republikańskiej kolejny Trump lub ktoś tego pokroju będzie aktywnie utrudniał pracę Kongresowi, począwszy od omijania Senatu, poprzez zatrudnianie niewykwalifikowanych „pełniących obowiązki” urzędników do kierowania agencjami rządowymi, aż po zwykłe ignorowanie wezwań. Białą Dom w ramach wojny kulturowej będzie wywierał

presję na Kongres, aby ten złagodził przepisy dotyczące posiadania broni, uchylił ochronę małżeństw osób tej samej płci i starał się zakazać aborcji.

Były przewodniczący Republican National Committee Michael Steele oczekuje w takim scenariuszu nasilenia polityki zastraszania.

Po trzecie, do ukarania wrogów ruchu MAGA zostanie wykorzystany aparat wymiaru sprawiedliwości. Były szef FBI Andy McCabe i inni wysocy urzędnicy Biura obawiają się, że FBI zostanie wykorzystane do zemsty. Tom Warrick, zastępca sekretarza ds. polityki antyterrorystycznej w Departamencie Bezpieczeństwa z czasów Trumpa, przestrzega: „Zakładam, że będziemy świadkami nękania przeciwników politycznych pod pretekstem walki z terroryzmem”.

Sądy mogą nie być w stanie chronić Amerykanów, zwłaszcza jeśli Białą Dom zignoruje sędziów, tak jak chciał to uczynić Trump. Jon Burks, były szef sztabu sędziego Izby Reprezentantów Paula Ryana, powiedział, że odmowa Trumpa 2.0 w kwestii zastosowania się do nakazów sądu może wywołać „wojnę w wymiarze sprawiedliwości”. Inni używali takich terminów jak „wojna domowa” czy „morderstwa polityczne”. Jeszcze niespełna dziesięć lat temu taka terminologia wydawałaby się absurdalna.

Antydemokratyczne i populistyczne skrzydło GOP nadal mocno kontroluje partię, a jeśli wybrany zostanie ponownie Trump lub przywódca jego przypominający, Kongres i sądy będą miały trudności z dotrzymaniem kroku.

Koszt krytyki w USA pozostaje alarmująco wysoki, a potencjalni sygnaliści obawiają się fali nienawiści i gróźb śmierci.

Jedynym scenariuszem bardziej przerażającym niż prezydent rozmieszczający wojska na ulicach amerykańskich miast – mówi Taylor – jest scenariusz, w którym nikt nie ma wystarczającej odwagi, aby cokolwiek powiedzieć. ●

Nigdy nie lubilem teleturniejów

Całkiem zwyczajna osoba przetwarza dziennie 74 GB danych – to tak, jakby każdego dnia oglądała 16 pełnometrażowych filmów. 500 lat temu tyle przetwarzało się przez całe życie.

Marcin Matczak

I leż można pisać o praworządności? Może by tak dla intelektualnego płodozmiannu o czymś innym? Na przykład o panu Arturze Baranowskim, który szturmem wziął serca Polaków swoją spektakularną wygraną w teleturnieju „Jeden z dziesięciu”. Odpowiedział poprawnie na wszystkie 40 pytań, co nie udało się nikomu w 30-letniej historii programu.

Różne reakcje ten sukces spowodował, wszystkie pozytywne. Każdy z nas przeżył coś w rodzaju szoku, kiedy pan Artur z takim samym spokojem odpowiadał na pytanie, z jakiej części rośliny robi się galęk muszkatolową, jak się nazywał ukochany Halki i czy silnik Diesla ma świece zapłonowe. Wiedział nie tylko, ile tuzinów jest w grosie, ale że choć kawior jesiotrowatych jest czarny, to odaliska, niewolnica w sultańskim haremie, jest biała.

Panu Arturowi nie sposób nie kibicować. Spokojny, nieprawdopodobnie czytany, sympatyczny. Ale zadaniem felietonisty jest nie śpiewać w chórze, tylko zmuszać do refleksji szerszej. Skoro już, trochę żartobliwie, ale i trochę serio, dołączamy pana Artura do panteonu wielkich Polaków, wkładając jego podobiznę do znanego memu, w którym na tle nieba pojawiają się twarze Jana Pawła II, Andrzeja Gołoty i Igi Świątek (sam widziałem), to trzeba zadać pytanie kluczowe: jaki rodzaj wiedzy propagujemy, ekscytując się tym wielkim zwycięstwem?

Zwykliśmy przecież sądzić, że teleturnieje testują wiedzę. Filozof Byung-Chul Han powiedziałby: testują raczej zasób informacji. A to duża różnica. „Wiedza ma zupełnie inną strukturę niż informacja” – jest systemowa, nie punktowa. Informacja jest hałasem, a wiedza „zmniejsza entropię, czyli poziom hałasu”. Innymi słowy, porządkuje informacyjny szum.

A tego porządku potrzebujemy, bo, jak zauważa słynny futurolog John Naisbitt, choć „topimy się w informacji, umieramy z głodu wiedzy”. Współcześnie całkiem zwyczajna osoba przetwarza dziennie około 74 GB danych – to tak, jakby każdego dnia oglądała 16 pełnometrażowych filmów. 500 lat temu tyle przetwarzało się przez całe życie.

„Wiedza” sprawdzana w teleturniejach jest jak to, co sprawdzają szkolne testy. Testują przede wszystkim pamięć i znajomość zbioru rozczłonkowanych faktów, nie umiejętności. Filozofia rozróżnia „wiedzę, że...” oraz „wiedzę, jak...”. Wiedza teleturniejowa należy do pierwszej kategorii. Ta druga to praktyczna zdolność rozwiązywania problemów. Z tego punktu widzenia podziw należy się także mechanikowi naprawiającemu auto, którego awaria uniemożliwiła panu Arturowi uczestniczenie w kolejnym etapie teleturnieju. Mechanika niikt jednak w panteonie polskich bohaterów nie umieszcza.

Teleturniejowej promocji gromadzenia informacji się obawiam. Nigdy teleturniejów nie lubilem, nie mogłem zapamiętać wyizolowanych dat wydarzeń historycznych – łatwiej przychodziło mi zrozumienie ich znaczenia i wzajemnych powiązań. Nie widziałem też sensu uczyć się budowy pantofelka czy innej ameby. Zdawało mi się, że niepowiązane ze sobą informacje obciążają mi umysł. Tak jak zbyt dużo plików zaśmieca pamięć komputera, jak zbyt dużo otwartych



aplikacji zmniejsza jego wydajność i powoduje, że zwalnia.

Czy nie jest wiedza promowana przez teleturniej jak nauka języka, w której duży nacisk kładzie się na wykucie deklinacji, a mały na umiejętność mówienia? Efekt jest taki, że osoba z głową pełną językowej „wiedzy, że” czuje się bezradna rzucona w środek obcego kraju, bo brakuje jej praktycznej „wiedzy, jak”. Fakty o języku wypełniają jej umysł, który nie powinien być przecież jak skrytka w szwajcarskim banku, ale raczej jak szwajcarski scyzoryk. Nie kontener, ale wielofunkcyjne narzędzie.

Czy więc promując wiedzę teleturniejową, nie promujemy intelektualnej syllogizacji: kompulsywnego zbieractwa faktów i nazwisk, które ostatecznie nas przywalają i nie pozwalają normalnie żyć?

A może jest pan Artur jak Ireneo Funes, bohater opowiadania Borgesa: człowiek, który pamiętał wszystko? „Nie tylko każdy liść każdego drzewa w każdym znanym mu lesie, ale pamiętał także osobno wszystkie razy, kiedy go oglądał albo go sobie wyobrażał. Znał kształty południowych chmur o świcie dnia trzydziestego kwietnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego roku i mógł porównać je ze wspomnieniem żyłek na okładce książki, którą widział raz tylko, i z kształtem spienionych fal, które wzbudziło wiośło na rzece Río Negro w przeddzień bitwy pod Quebracho”.

Pan Artur – ubrany na czarno, stojący na czarnym tle – był samą twarzą. Wyglądał jak Magiczne Zwierciadło w „Shreku”, tak, jak pisarze science fiction wyobrażają sobie zaawansowaną sztuczną inteligencję. I to, jak odpowiadał, było w jakimś sensie nieludzkie. Moja reakcja na tę twarz była podobna do reakcji Borgesa, gdy spojrzał w twarz Funesa: „Ireneo wydał mi się podobny do posągu z brązu, starszy niż Egipt, dawniejszy niż prorocтва i piramidy. Pomyślałem, że każde moje słowo (i każdy mój gest) będzie trwało w jego bezlitosnej pamięci; oniemiałem mnie lęk pomnażania niepotrzebnych gestów”.

Czy Funes był jednak szczęśliwy? Nie wydaje się. „Moja pamięć, panie Borges, jest jak ogromny śmietnik” – mówił. A Borges konkludował: „Podejrzewam, że nie umiał myśleć. Myśleć to zapominać o różnicach; uogólniać, tworzyć abstrakcje. W przeładowanym świecie Funesa były tylko szczegóły, prawie bezpośrednie”.

Co z tego, skoro zadziwiał. Pan Artur, jak Funes, też jest „zwiastunem nadludzi”. Jak czytamy w medialnych komentarzach, on nie tylko wie, co stało się z naszymi pieniędzmi z komunii, doskonale orientuje się, dokąd tupta nocą jeź, ale nawet na klasyczne pytanie rapera – „Mordo, wiesz o co chodzi?” – może spokojnie odpowiedzieć: „Wiem”. I to będzie zawsze budzić podziw, mimo złośliwości zazdrosnego felietonisty, który w beczkę miodu chce na siłę wrzucić łyżkę dziegciu.

PS Czy jak się wie, co to jest „dziegieć”, to ma się wiedzę, czy informację? I czy zmiana to fundamentalnie nasze życie? ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka.

A poprzednia – „**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**” – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

Pomysł

Kaczyński przypomina, że priorytetem poprzedniego rządu była „walka z postkomunizmem”, i uważa, że odniósł on w niej zwycięstwo.

Michał Rusinek



Prezes Jarosław Kaczyński udzielił niedawno wywiadu Polskiej Agencji Prasowej. Z pobieżnej jego lektury można by wysnuć wniosek, że jest to wywiad właściwie o niczym szczególnym. Ale już nieco wnikliwsza pokazać może ukryte sensory, którymi, jak mawiają literaturoznawcy, opalizuje ten krótki tekst.

Zacznijmy jednak od lektury językoznawczej. Prezes posługuje się zarówno zaimkiem dzierżawczym w pierwszej osobie liczby pojedynczej: „mój pomysł” (dwukrotnie), jak i czasownikami w pierwszej osobie liczby pojedynczej „powiedziałem” oraz liczby mnogiej (wielokrotnie): „chcemy”, „nie wykluczamy”, „wiemy”, „podsumujemy”, „będziemy skrupulatnie rozliczać”. To w pierwszej osobie. W trzeciej zaś: „miotają się” i „szukają wymówek”. Z gramatycznego punktu widzenia rysuje się nam więc wizja przenikliwego „ja”, podporządkowanego mu „my” oraz chaotycznego „oni”.

Użyty dwukrotnie zaimek dzierżawczy „mój” dotyczy pomysłu na charakter rządu Mateusza Morawieckiego oraz jego składu. Służyć ma, jak sądzę, podkreśleniu, że to nie desygnowany przez prezydenta premier decydował o swoim rządzie, ale prezes partii. Nie zapominajmy, kto tu rządzi. Rząd ma mieć charakter „ekspersko-polityczny”. To pomysł Kaczyńskiego. Z językowego punktu widzenia jest to konstrukcja zdumiewająca, bo wewnętrznie sprzeczna: albo powołuje się bowiem ponadpartyjny, a więc apolityczny rząd ekspertów, albo – co jednak częstsze – rząd czysto polityczny, złożony z polityków jednego ugrupowania lub ugrupowań spowinowaconych. Sformułowanie „ekspersko-polityczny” oznacza, że będą to, owszem, eksperci, ale wywodzący się de facto z jednej partii, więc wówczas nie będzie to rząd ekspercki, tylko polityczny, sprawiający wyłącznie wrażenie eksperckiego. Być może oznacza też, że są to politycy, ale tacy „nie z pierwszego szeregu” – jak wyjaśniał Mariusz Blaszczak, uważający się za polityka „z pierwszego szeregu”, zanim wszedł do rządu. Być może powołanie go do tego rządu miało być dla niego sygnałem, że z tego szeregu wypadł? Sformułowanie „ekspersko-polityczny” może też oznaczać, że poprzedni rząd nie był ekspercki (trudno się z tym nie zgodzić), ale ten też nie powinien być tak do cna ekspercki, bo pamiętamy przecież złe doświadczenia PiS-u w tej kwestii. W 2020 roku wicerczecznik partii Radosław Fogiel tłumaczył: „Nie zatrudniamy ekspertów, bo jak zatrudnialiśmy ekspertów, to nie chcieli oni realizować naszego programu”. Jest jednak w tym oksymoronicznym szaleristwie jakaś metoda: jeśli ktoś zarzuci któremuś z ministrów niekompetencję, będzie on mógł powiedzieć, że nie jest ekspertem, lecz politykiem. I co mu zrobimy? Nic mu nie zrobimy. Albo jej: na miejscu pani minister kultury już bym tak mówił.

Wywiad Jarosława Kaczyńskiego ma też momenty polemiczne: „Trzeba jednocześnie sprostować informacje medialne, jakoby znaczący politycy Prawa i Sprawiedliwości nie chcieli wejść do nowego rządu premiera Morawieckiego. To jest wierutne kłam-

stwo. Mieliliśmy do czynienia z odwrotną sytuacją” – powiedział prezes. Rozumiem, że do rządu ustawiały się kolejki chętnych polityków, czyli jednak nie ekspertów. Nieprawdziwe – i to „w sposób oczywisty” oraz „na wielu odcinkach” – mają być także zarzuty, że Prawo i Sprawiedliwość zrujnowało Polskę. Przyzwyczailiśmy się, że prezes Kaczyński posługuje się przymiotnikiem „oczywisty”, właśnie kiedy coś oczywiste nie jest, proklamując niejako oczywistość tego czegoś, bywającą czasami nawet „oczywistą oczywistością”. Metafora „odcinka” znana jest natomiast z peerelowskiej nowomowy, a zaczerpnięta została z języka wojskowego („odcinek frontu”). Kaczyński przypomina, że priorytetem poprzedniego rządu była „walka z postkomunizmem”, i uważa, że odniósł on w niej zwycięstwo. Tak sąd jest o tyle prosty do sformułowania, że pojęcie postkomunizmu zostało właściwie uszyte przez Jarosława Kaczyńskiego jako wygodny worek, do którego można było wrzucać wszystkie te zjawiska, które jego zdaniem należało w Polsce napiętnować. Stworzony więc został fikcyjny wróg, po czym odtrąbiono zwycięstwo nad nim. Jak w dziecięcej zabawie.

„A jeśli chodzi o rujnowanie kraju – mówi Kaczyński – to jest wiele danych, również z organizacji międzynarodowych, które temu radykalnie przeczą, mówią o sukcesie i to bardzo poważnym sukcesie”. Nie jest to wprawdzie sukces „poniesiony”, rodem z memów, ale „sukces poważny” też brzmi niepokojąco. „Poważny” bywa raczej stan, w którym się możemy znaleźć, i taka diagnoza nie wróży nam najlepiej. Można nawet powiedzieć, że przymiotnik „poważny” lepiej opisuje stan państwa po ośmiu latach rządów PiS-u niż rzeczownik „sukces”.

Ku naszemu zdumieniu obiektami szczególnej troski Jarosława Kaczyńskiego w tym wywiadzie są demokracja i konstytucja. Jeśli powstanie „ewentualny nowy rząd” (Kaczyński stosuje peryfrazę, by uniknąć znienawidzonego nazwiska Donalda Tuska), to „w nieodległym czasie podsumujemy pierwsze jego »posunięcia«, w szczególności w sferze demokracji”. Z jakiegoś powodu autorzy wywiadu – lub jego bohater na etapie autoryzacji – postanowili „posunięcia” zapisać w cudzysłowie, choć jest to metafora silnie zleksykalizowana w języku polityki i zapisywana jest zwykle bez cudzysłowu. Umieszczenie tego wyrazu w cudzysłowie ma insynuować, że to nie będą prawdziwe posunięcia. No bo i niczego prawdziwego nie ma się co spodziewać po tym rządzie.

Kaczyński zresztą doskonale wie, co się wydarzy, bo ma nadludzką umiejętność przewidywania przyszłości. Za cztery lata wygra wybory: „Wszystko uczynimy, aby je wygrać” – mówi dobitnie, ale i przedstawiając naturalny szlak wyrazów: „uczynimy wszystko”. Pokazuje tym samym, że najważniejsze jest dla niego owo „wszystko”, a więc że nie cofnie się przed niczym, żeby wygrać. Obawiam się, że można mu wierzyć. Wie także, że wybory za cztery lata nie będą „przebiegały w warunkach demokratycznych”. „Warunków demokratycznych nie będzie”, bo „de facto przestanie obowiązywać konstytucja”. Jakoś nie przypominam sobie ortodoksyjnego przywiązania do ustawy zasadniczej przez rząd i prezydenta w ostatnich latach, dobrze natomiast pamiętam wściekłość, z jaką atakowani byli przez władzę obrońcy konstytucji, zwłaszcza posługujący się plakatem Luki Rayskiego.

Kaczyński wie także, co mogłoby się wydarzyć. Niby rząd Tuska jest nieunikniony, ale subtelnie sugeruje scenariusz alternatywny: rząd „z premierem wywodzącym się z PSL-u”. Puszcza tu oko do liderów tego ugrupowania, sugeruje, że ma jeszcze jeden pomysł: PiS mógłby się z nimi dogadać. Jeśli nie teraz, to może za cztery lata? Kto wie, czy już wcześniej nie dojdzie do tarć w obrębie koalicji. I to jest chyba najważniejsze zdanie w tym wywiadzie, najjaskrawiej i najzłowroźniej opalizujące ukrytymi sensami. ●

Marszałkini to nie Murzyn

Jeśli Elżbieta Witek ma prawo nie życzyć sobie feminatywu „marszałkini”, czy ja mogę nie życzyć sobie formy mianownikowej „słuchaj, Wojtek”, bo wolę wołacz?

Wojciech Maziarski



Myszę, że Michał Rusinek w żądaniu zachowania standardów poprawności i w zarzucaniu mi autorytarnych skłonności nieco się zagalopował.

Są oczywiście w Polsce znacznie ważniejsze sprawy niż używanie bądź nieużywanie feminatywów. Muszę jednak odpowiedzieć Michałowi Rusinkowi, który zarzucił mi autorytarne skłonności.

Wcześniej ja zarzuciłem autorytarne skłonności Elżbiecie Witek, która ofuknęła dziennikarkę TVN 24 za nazywanie jej „wicemarszałkinią”.

Pisze Rusinek: „Gdyby tak rzeczywiście było, to sam do fuczenia Maziarskiego bym się dołączył. Zdaje się jednak, że rzeczona dziennikarka nie mówiła o Elżbiecie Witek, ale do Elżbiety Witek. A to zmienia postać rzeczy”.

Otóż sprawa jest skomplikowana, bo rzeczona dziennikarka mówiła jednocześnie i o Elżbiecie Witek, i do Elżbiety Witek. Scena wyglądała tak:

– A będzie pani wicemarszałkinią? – pytała dziennikarka.
– Proszę nie używać wobec mnie „wicemarszałkinią” – fuknęła gniewnie Elżbieta Witek.

– Panią wicemarszałek – niepotrzebnie poprawiła się dziennikarka, zamiast pouczyć panią Witek, że nie życzy sobie pouczenia. To już był koniec rozmowy, bo potem Elżbieta Witek zamknęła się w gabinecie, trzaskając dziennikarce drzwiami przed nosem.

Więc co tu jest ważniejsze: o Witek czy do Witek? Ja uważam, że raczej jednak o Witek. Na tym mógłbym uznać sprawę za zamkniętą, oczekując, że teraz Michał Rusinek zgodnie z zapowiedzią dołączy się do mojego fuczenia. Zwłaszcza że chyba błędnie odczytał moje intencje – nie domagam się przecież ani używania, ani nieużywania feminatywów. Każdy może mówić, jak mu jego własne wyczucie dyktuje. I nikt nikogo nie ma prawa za to rugać, tak jak Elżbieta Witek zrugała dziennikarkę.

Rusinek jest jednak zdania, że Elżbieta Witek ma prawo żądać, by ktoś inny nie posługiwał się w odniesieniu do niej żeń-

ską formą rzeczownika „marszałek”. Mój polemista przywołuje fałszywą analogię, pisząc tak: „Jeśli jakaś osoba nie życzy sobie, żeby wobec niej używać jakiejś formy, to stosowanie jej jest formą przemocy wobec tej osoby. Chyba redaktor Maziarski zgodzi się, że zwracanie się za pomocą tzw. dead name do osoby transpłciowej lub postkolonialnymi określeniami jak »Eskimos« do Inuity czy »Murzyn« do osoby czarnoskórej – jest wysoce niestosowne”.

Zgodzę się, ale co ma piernik do wiatraka? „Murzyn” czy „Eskimos” to nazwy – rzeczowniki, a nie formy gramatyczne. Natomiast feminatywy to tylko żeńska forma gramatyczna rzeczowników rodzaju męskiego, a nie inne słowa.

Nie są w żaden sposób nacechowane, nie mają innej wymowy odnoszącej się do swoich desygnatów – osób, które oznaczają – niż ich męskie odpowiedniki. „Murzyn” czy „Murzynka” są tak samo wysoce niestosowne. A „kierownik” czy „kierowniczka”, „marszałek” czy „marszałkini” są tak samo stosowne. To, że ktoś któreś z tych form nie używa, nie oznacza, że może żądać, by inni też jej nie używali. I oczywiście odwrotnie: nikomu nie wolno nakazywać jej używania.

Szczerze mówiąc, pierwsze słyszę, że ktoś może czuć się urażony i nie życzyć sobie, bym używał (lub nie używał) w rozmowie z nim takiej czy innej formy gramatycznej. Czy analogicznie ja mogę żądać, by mój rozmówca posługiwał się co raz rzadziej używanym i zaniżającym przypadkiem wołacza? Jeśli ktoś zwróci się do mnie: „Słuchaj, Wojtek”, mam prawo ochrzanić go i domagać się, by mówił: „Słuchaj, Wojtku”, bo nie życzę sobie formy mianownikowej?

A mieszkaniec Tych? Czy może się domagać, by wszyscy mówili o nim „mieszkaniec Tychów”? Bo on sam tak o sobie mówi. Czy spora część Polski, używając innej formy dopełniacza – „Tych”, nie „Tychów” – stosuje wobec niego rodzaj językowej przemocy?

Wydaje mi się, że Michał Rusinek w żądaniu zachowania standardów poprawności nieco się zagalopował. Co konstatując, wracam do obserwowania procesu przywracania praworządności w państwie polskim. Bo wprawdzie obaj z Michałem Rusinkiem mamy szerokie zainteresowania, ale chyba obaj też wiemy, że są sprawy ważne i ważniejsze. ●

Felietony o języku polityków w nowej książce Michała Rusinka: **„Ptak Dodo, czyli co mówią do nas politycy”**, dostępnej m.in. w księgarni Znaku i w formie e-booka na Publio.pl

Autobiografia Wolfa Biermanna, niemieckiego poety, barda i opozycjonisty, „Warte nicht auf bessere Zeiten!” (Nie czekaj na lepsze czasy!) ukazała się w Berlinie w 2016 r. Liczy 544 strony, 35 rozdziałów, zawiera 60 czarno-białych zdjęć, kilkanaście wierszy i piosenek autora. Doczekała się kilku wznowień i wydań kieszonkowych.

Przez wiele miesięcy utrzymywała się na pierwszych miejscach listy bestsellerów „Spiegla”. Komentowały ją wszystkie niemieckojęzyczne media: „Arcydzieło literackiej wizualizacji, książka łącząca rzeczową precyzję z osobistą pasją, dowcip z sarkazmem” („Die Zeit”); „Wielka, porywająca powieść o Niemczech” („Der Spiegel”).

Autobiografię Biermanna chwalono zarówno za język, jak i za sposób ujęcia historii, która nie skupia się wyłącznie na osobistych przeżyciach autora, ale tworzy wielką panoramę Niemiec.

Biermann urodził się w Hamburgu w 1936 r. Mając 16 lat, przeniósł się do NRD, pierwsze piosenki i wiersze opublikował w 1960 r. Z czasem stał się surowym krytykiem komunistycznej partii SED i NRD, w 1965 r. władze zakazały mu występów i publikacji.

W 1976 r., po trasie koncertowej w RFN, komunistyczne władze odmówiły mu wjazdu do NRD i wydalily go. Doprowadziło to do masowych protestów w Niemczech wschodnich i zachodnich, co przyjmuje się za zwiastun końca NRD. Swoją sprzeciw wyrażali nie tylko artyści i pisarze, jak Christa Wolf, Stefan Heym, Armin Mueller-Stahl i Manfred Krug, ale także – przede wszystkim – zwykli obywatele na ulicach obu krajów.

W kolejnych latach w Republice Federalnej Biermann nadal był aktywny artystycznie i brał udział w debatach politycznych. Angażował się w ruchy pokojowe i antynuklearne.

I. FENOMEN

Życiorys Biermanna nie ma sobie równych w całych Niemczech. Można go nie lubić, można mieć obojętny stosunek do niego, ale nie można go nie znać. Nawet najbardziej obojętni i całkowicie niezainteresowani wschodnimi losami Niemcy z Zachodu doskonale orientują się, jaką rolę odegrał w połączeniu Niemiec i kim jest Wolf Biermann.

W podzielonych Niemczech, w państwie, w którym 30 lat po upadku muru Zachód wciąż lekceważy Wschód, a Wschód nienawidzi Zachodu, Biermann jest niczym skalający republikę duch. Jako jeden z nielicznych uosabia całe Niemcy, nie tylko poprzez miejsce swego urodzenia i osiedlenia.

Urodził się na zachodzie Niemiec, jako nastolatek przeniósł się do Berlina wschodniego. Nikt nie może więc powiedzieć o nim, że jest Ossi (pogardliwe określenie osób zamieszkających na wschodzie Niemiec). Nikt nie może powiedzieć o nim, że jest Wessi (pogardliwe określenie osób zamieszkających na zachodzie Niemiec). Wikipedia i encyklopedie informują po prostu, że Biermann jest Niemcem.

W swojej autobiografii jednak przypomina on o swoich żydowskich korzeniach, ba! nieustannie je podkreśla i często do nich nawiązuje. Nie robi tego jednak, aby magnetyzować tym swoją publiczność, tylko dlatego, że bez tego jego historia nie jest w pełni opowiedziana. Żydowskość i komunizm to dwa filary jego życiowej postawy i najważniejsze dziedzictwo po ojcu, któremu dedykuje książkę. Nie może więc pozwolić, aby zostało przemilczane. Fakt, że jego ojciec był Żydem i komunistą, wpły-

nał na całe życie i twórczość syna. Fakt, że był Żydem i komunistą, sprawił, że został przez nazistów zamordowany. Największy spadek po ojcu to jego (nie)obecność.

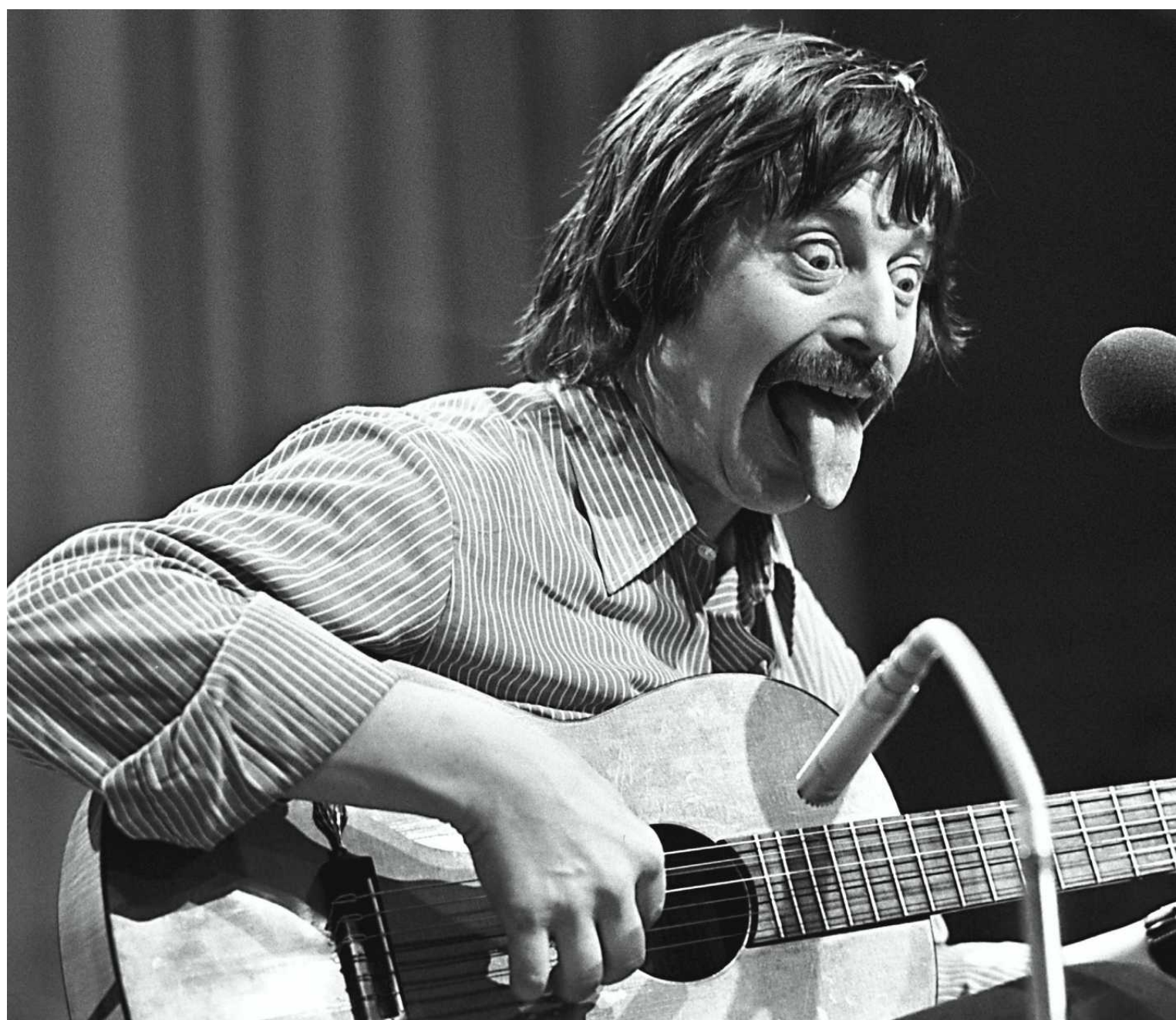
II. OJCIEC

Opowieść Biermanna zaczyna się od skomplikowanych losów małżeństwa matki i ojca, młodych komunistów; mowa tu o początkach ich miłości, o zdradzie matki, która podczas pobytu męża w więzieniu zakończyła się w innym mężczyźnie, ale ostatecznie wróciła do niego.

Ojciec, Dagobert Biermann, pracował jako robotnik w hamburskim porcie. Trafił do więzienia za drukowanie gazety Komunistycznej Partii Niemiec, kiedy Wolf był niemowlęciem. Po wyjściu na wolność dołączył do ruchu oporu przeciwko narodowym socjalistom, ale jego grupa zosta-

**Nielatwo wzruszyć Polaka
opisem bombardowania
niemieckiego miasta
w czasie wojny,
zwłaszcza opisem Niemca.
Jemu się udało**

ła zdemaskowana i w 1937 r. dostał sześć lat więzienia. Na sali rozpraw nie tylko wykrzykiwał, że jest Żydem, ale jeszcze przyznał się do rozprowadzania ulotek i wziął na siebie całą winę, chroniąc przed więzieniem szwagra, również komunistę. W 1943 r. jako żydowski więzień polityczny został wysłany do Auschwitz, gdzie po kilku tygodniach został zamordowany.



Adam Michnik poleca.

MIŁOŚCI WOLFA BIERMANNA KOBIEТЫ I NIEMCY

**W podzielonych Niemczech, gdzie 30 lat po upadku muru Zachód wciąż lekceważy Wschód,
a Wschód nienawidzi Zachodu, republikę scala ten niewysoki, wąsaty facet**

Magdalena Parys

III. MATKA

Emma Biermann we wspomnieniach syna to troskliwa matka, ale również strażniczka dobrego imienia ojca i komunistka. Wysła niesfornego, niechącego za bardzo się uczyć Wolfa do NRD. Nadzoruje jego ideologiczny rozwój, napomina, kiedy wydaje się, że ten zbacza z właściwej drogi, jest opoką i oparciem moralnym dla syna, wspiera go też finansowo. Sama nie opuści Hamburga, musi po wrogiej stronie wspierać komunizm.

„Autobiografia Wolfa mogłaby nosić tytuł »W imię ojca«. Jego dziedzictwo, a jednocześnie zobowiązanie, stanowi fundament egzystencjalny Biermanna: pomaga i chroni jednocześnie przed zsunieniem się w moralną dwuznaczność czy zaprzeczenie własnym ideałom. Tak było zarówno w latach szkolnych, kiedy Wolf występował w obronie słabszych, gnębionych przez rówieśników czy nauczycieli, uczniów, jak i podczas osobistych prób życiowych. Np.

maż. Ksiądz pomaga ateistce i komunistce w 1943 r. w nazistowskich Niemczech. W tej książce nic nie jest oczywiste.

IV. RODZINA

Tymczasem rodzina Biermannów ze strony ojca wciąż wierzy, że nie może stać się jej krzywdą, przecież są Niemcami, mężczyźni walczyli podczas I wojny światowej, byli ranni, zostali odznaczeni orderami, płacą podatki, kobiety są porządne i pracowite.

Matka Wolfa nie jest Żydówką, jest żoną Żyda i komunistką, jakimś cudem ona i jej syn przeżyją tę wojnę.

Emma to nieskończona skarbnica wiedzy. Wszystko pamięta, wszystko opowie Wolfowi, na wypadek gdyby ten zapomniał. I tak dowiadujemy się, jak byli ubrani dziadkowie Wolfa i reszta rodziny ze strony ojca, czekając na dworcu na wyjazd w nieznane: gadająca papuga w klatce, którą zabrała ze sobą babcia Biermannowa do bydłych wagonów. Ciepłe buty dziadka, ciepłe płaszcze, skarpety dziergane przez tydzień przez synową, matkę Wolfa. I jeszcze rzecz jest o pamiątkach, którymi dziadkowie w pośpiechu obdarowali resztę rodziny i znajomych przed wyjazdem. Wiele tego nie zostało, 99 proc. skromnego majątku przejęli naziści. Do miejsca docelowego „dojechali szczęśliwie” – jak doniesie dziadek Biermann w jedynym podejrzenie radosnym liście. Więcej listów nie będzie.

Historia, jakich wiele, ale opowiada ją poeta Wolf Biermann, krótko i zwięźle, tylko najważniejsze, najpotrzebniejsze słowa. Tym bardziej ciekawe, że z perspektywy przeciętnego Polaka podczas II wojny światowej los Żydów to była Europa Wschodnia, głównie Polska, a tu nagle okazuje się, że Żydzi mieszkali także w Niemczech. Kochali Niemcy i uważali się za Niemców, nawet jeśli niektórzy wykrzykiwali w sądzie, że są Żydami.

V. WOJNA

Narrator Wolf jest wszechwiedzący, wszystko już widział, wszystko przeżył i nie musi upiększać. W końcu „osiwiał już jako pięcioletek” w bunkrze, kiedy na Hamburg spadały bomby. Nie jest łatwo wzruszyć Polaka opisem bombardowania niemieckiego miasta. A jednak Biermannowi udaje się stworzyć obraz, który zapada głęboko w serce i nagle nie jest ważne, gdzie te bomby spadły, wiadomo tylko, że wojna zawsze i wszędzie jest taka sama: straszna.

VI. WYJAZD

Kto w latach 50. przenosi się z Niemiec zachodnich do NRD?

„Sprawiałem wrażenie jadącego pod prąd autostradą, który się dziwi, że tyłu jedzie w odwrotnym kierunku. Ja, 16-latek, jechałem zatem pociągami do zachodniego Berlina, ale wcale tam nie chciałem zostać, zaraz za granicą wysiadłem”.

Jak daleko sięga ramię matki Wolfa, jeszcze się przekonamy. Na razie załatwia mu dzięki znajomościom w NRD odpowiednią szkołę.

Tymczasem po tygodniu dotrze do niego, że te „lepsze Niemcy, komunistyczna ojczyzna”, mają też inne oblicze. Oto uczniowie szkoły zbierają się na apelu, nieoczekiwanie około 20 członków Junge Gemeinde, organizacji chrześcijańskiej, zostaje wezwanych, by publicznie zadeklarowali, że rezygnują z członkostwa w niej. Młody Biermann wyczuwa atmosferę strachu i upokorzenia, jest zaskoczony, jakoś niewiele ma to wspólnego z komunistycznym rajem, o którym opowiadała mu matka.

„W końcu uczennica, Margot Ullrich z 9. klasy, wstaje i mówi ochryplym z przejęcia głosem: »Wierzę w Boga« i »Nie opuszczę Junge Gemeinde«. Sala zamiera. Paraliżująca cisza. Sekretarz [komunistycznej młodzieżówki] FDJ wycelowuje

w dziewczynę retoryczny karabin maszynowy i opróżnia cały magazynek”.

Nikt nie stanął po stronie dziewczyny poza przyjezdnym z Zachodu – Wolfem Biermannem z 10. klasy. „Wstałem i jękając się, powiedziałem: »Jestem komunistą... Jestem przeciwko Kościołowi... Ale to, co się tutaj dzieje, to... to nie komunizm!... Nie za to zginął mój ojciec w Auschwitz!«”.

Wkrótce w życiu nowego przybysza pojawia się oficer Stasi i żąda, aby donosił na kolegów; jeśli tego nie zrobi, udowodni, że jest „szpiclem z NRF”, który „przyjechał szkodzić”. Młody Wolf jest wstrząśnięty, czuje się zszargany i sponiewierany, jak ktoś może w ten sposób myśleć? Nie będzie donosił, niczego nie podpisze, nie ma mowy!

Dlaczego wierzymy mu, kiedy to czytamy? Bo wszystko, co będzie w życiu robił potem, przypomina postawę na apelu i wobec oficera Stasi.

Biermann robi tylko to, co chce, mówi, co myśli, nie da sobie niczego narzucić, jest niepokorny i wiecznie walczy z silnym o prawa słabego. Dyplomatą raczej nie zostanie, politykiem tym bardziej nie: tam, gdzie pojawiają się bezprawie, hipokryzja i kłamstwo, tam on też już jest i to zapamiętuje. Z każdą stroną książki coraz bardziej przypomina Bertolta Brechta.

Asem z matematyki w swojej starej szkole w Hamburgu raczej nie był, ale jego rogata dusza pełna jest sprzeczności. W enerdowskiej szkole łatwo nie jest, ale zdaje maturę i decyduje się na studia na Uniwersytecie Humboldtów. Będzie studiował matematykę i filozofię. Powiedz mu, że czegoś nie umie, to on już ci udowodni...

O najważniejszym nie wolno zapomnieć: nuci i śpiewa, bo śpiewać lubi od dziecka, najchętniej, kiedy jest sam w domu; kiedy mama Emma szuka w zbombardowanym mieście jedzenia lub idzie do fabryki – Wolf śpiewa. Śpiewa tak głośno, aż liche ściany z lichego kartonu się trzęsą. Potem będzie musiał je składać na nowo. Dom z kartonu w zbombardowanym Hamburgu.



***Zaśpiewa w Kolonii
o władcach NRD jako
o „zgrzybiałych ramolach”,
którzy żyją „w getcie za
murem i drutem kolczastym”.
Tego władcom było już za
wiele***

VII. POWIEŚĆ O NIEMCZECH

Podczas studiów, szukając dodatkowego zarobku, udaje się wprost do teatru Berliner Ensemble i domaga się spotkania z samą wdową po Brechcie (Brecht nie żyje od kilku lat), słynną Helene Weigel, która po mężu aż do 1971 r. będzie zarządzać teatrem. Czy trzeba dodawać, że Weigel jest zaintrygowana młodym Wolfem? Początkowo jest chłopcem na posyłki, ale już „wsysa w siebie teatr”, niebawem zostaje asystentem reżysera, uczy się aktorstwa, pisze, komponuje, choć jeszcze trochę się wstydzi.

„Cóż to za dziwna, niewiarygodna bohaterska bajka to życie. Niemiecka powieść łotrzykowska, w której bohater został obsadzony wbrew swoim rzeczywistym skłonnościom i talentom”. „Zawsze się bałem – mówi Biermann – ale strach ze mną nie wygrał”.

Kilka etapów życia i kilka miejsc zbliżonych do siebie na mapie, poczynawszy od etapu pierwszego, kiedy mały grajek z gitarą staje się wrogiem publicznym numer jeden w NRD. Dzieli te etapy od siebie dokładnie kilometr: od Pałacu Łez, przy daw-

nym przejściu granicznym Friedrichstrasse, przez most Weidendammer, na którym napisze swoją słynną piosenkę „Ballada o pruskim Ikarze”, do Berliner Ensemble na Schiffbauerdamm, gdzie asystował wdowie po Brechcie jako reżyser i aktor, aż do słynnego mieszkania przy Chausseestrasse 131, w którym w latach 1965-76 miał swoje studio nagrań, choć dokładnie w tym samym czasie miał zakaz występów i nagrań (tam przyjmował artystów, poetów, aktorów i wszystkich sławnych z całego świata i, jak pisze, w narzuconej przez państwo izolacji był „najmniej odizolowaną osobą w NRD”), aż po etap ostatni na mapie: cmentarz przy Dorotheenstadt, gdzie leży wielu jego przyjaciół i wrogów, a przede wszystkim ON, jego wielki nauczyciel, jego wzór do naśladowania Bertolt Brecht (Volker Weidermann, „Der Ein-Mann-Deutschlandroman”, „Der Spiegel”, 30 września 2016).

VIII. POETA

W 1960 r. Biermann poznał w Berliner Ensemble austriackiego muzyka Hannsa Eislera, jednego z najbardziej znanych kompozytorów niemieckich, wieloletniego współpracownika Brechta, autora hymnu NRD. Pod jego wpływem zaczął komponować i pisać wiersze. Początkowo, jak sam przyznaje, nie najlepsze.

Rok później założył w Berlinie wschodnim niezależny Teatr Robotniczy, pierwszą sztukę, która miała zostać wystawiona, pisał sam, była to opowieść o budowie muru berlińskiego. W 1963 r., krótko przed otwarciem teatru, sztuka została zabroniona, a teatr zamknięto. Biermann został zawieszony na pół roku, nie chciano go przyjmować ani do partii, ani do stowarzyszenia pisarzy NRD. W partyjnym organie „Neues Deutschland” ukazywały się artykuły skatalogujące młodego poetę.

Powodów nie brakowało, Biermann zdążył opublikować we wschodniomniemieckich gazetach kilka wywrotowych wierszy, wystąpił w politycznym kabarecie w Kolonii (Niemcy zachodnie), co pokazano w telewizji zachodniomniemieckiej, i wreszcie w 1962 r. w renomowanej Akademii Sztuk Pięknych wywołał skandal, czytając własny wiersz „An die alten Genossen” (Do starych towarzyszy partyjnych).

Autobiografia Biermanna dostępna jest też jako audiobook i można wysłuchać tego oryginalnego nagrania z 1962 r. Biermann ma 26 lat, lecz słuchając go, ma się wrażenie, że wiersz czyta młody starzec. Jest w tym wystąpieniu mądrość i cierpienie. Wszystko się zgadza; młodzieńcza swada, intonacja, ciszej, głośniejsze, poezja wspaniała. Jest i odwaga. I chłopięcy głos.

Wiersz przypomina, czym miał być socjalizm, ostro krytykuje towarzyszy, nie padają żadne nazwiska, lecz wszyscy wiedzą... Cisza na sali mówi sama za siebie. Mimo krótkotrwałej odwilży staje się jasne, że Biermann przesaadził, jest niebezpieczny i trzeba na niego uważać. Od 1965 r. ma zakaz wykonywania zawodu.

W 1976 r. zaśpiewa w Kolonii o towarzyszach z SED jako o „zgrzybiałych ramolach”, którzy żyją w Wandlitz „w getcie za murem i drutem kolczastym” [na strzeżonym osiedlu dla wysokich funkcjonariuszy reżimu]. Tego „towarzyszom” było już za wiele. Biermann grał swój koncert przez cztery i pół godziny i był to, jak zapisze w książce, „najbardziej bezchmurny dzień szczęścia” w jego życiu.

Kiedy kilka dni później koncert był pokazywany przez zachodnią telewizję publiczną ARD, oglądała go cała ówczesna NRD, wszędzie tam, gdzie można było odbierać zachodniomniemiecką TV, czyli niemal wszędzie, mimo zakłóceń. „W tę budzącą się noc miasta NRD były jasno oświetlone”, zapisze Biermann.

Już po pięciu minutach przemówi do publiczności: „Niemiecka jedność! Nie pozwólmy, aby tę jedność zawłaszczyła sobie



kiedy Stasi, wszechpotężna bezpieka, usiłowało zwerbować go brutalnymi szantażami względnie przekupstwem albo namawiało do wyjazdu. Mantrą odbijającą się echem w głowie Biermanna było zdanie: »Nie po to mój ojciec umarł w Auschwitz, żebym ja...«” (Viktor Grotowicz o Biermannie, „Wróg numer jeden”, „Wyborcza” z 13 maja 2017).

Jedyne wspomnienie Wolfa o ojcu niewspomagane przez matkę pochodzi z odwiedzin w więzieniu. Ojciec częstuje syna cukierkami, których jako więzień nie mógł mieć, przeszmygłowała je wcześniej matka. Ona zadba w życiu jedynego syna o wszystko.

Niezwykła jest perspektywa, z jakiej snuta jest ta opowieść, Biermann sięga pamięcią do czasów, kiedy nikt nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że gdzieś istnieje Auschwitz. Na pocztę urzędnik nie chce nawet przyjąć listu, „nie ma takiego miasta”. Matka skarży się księdzu, który jako jedyny pomaga jej w uzyskaniu informacji na temat tego, gdzie może przebywać jej

partyjna swolocz! My chcemy tej jedności, tej jednej, tej tylko, tak powinno być, tak będzie”. A na koniec zaśpiewał „Balladę Ikarą”: „A jeśli chcesz odejść, musisz odejść/ Widziałem już wielu ludzi uciekających/ Z połówki naszego kraju/ Będę tu trwał szarpany pazurami/ Dopóki ten znienawidzony ptak/ Nie ściągnie mnie za krawędź”.

„Zadział paradoks realnego komunizmu – im bardziej artysta jest ograniczany, cenzurowany i wykluczany z obiegu, tym staje się płodniejszy i popularniejszy. Najlepsze lata miał między rokiem 1965 (oficjalny zakaz występów i publikacji) a 1976 (pozbawienie obywatelstwa). To wtedy powstają jego najbardziej znane wiersze i ballady, które ukazywały się, rzecz jasna, na Zachodzie i szmuglowane były na Wschód. Biermann awansuje do roli jednej z najważniejszych postaci opozycji NRD, chociaż wątki stricte polityczne w jego twórczości pojawiają się raczej rzadko, a jeżeli już, to są to z reguły apele nie tyle o wyzwolenie z socjalizmu, ile o dążenie do jego naprawy” (Grotowicz).

W 1966 r. pierwszy duży pochlebny artykuł o nim opublikuje w „Die Zeit” sam „papież literatury” Marcel Reich-Ranicki, na spotkanie słynnej literackiej Grupy 47 zaprosi go wszechwładny Hans Werner Richter, pisarz. Więcej w Niemczech w kulturze już chyba osiągnąć nie można. U stóp niespełna 30-letniego Biermanna legł cały Zachód, ale on chce koncertować w ojczyźnie komunistów. Tylko na tym mu zależy.

**Do miejsca docelowego
„dojechali szczęśliwie”
– jak doniesie dziadek
Biermanna w podejrzenie
radosnym liście z obozu.
Więcej listów nie będzie**

IX. CZŁOWIEK

Jest taka scena w książce, kiedy krótko przed zakazem występów odwiedza go w domu żona Ericha Honeckera, minister oświaty Margot Honecker. Próbuje przekonać młodego Wolfa, że zblądził, namawia go, aby wycofał się, bo podąża niewłaściwą drogą, powołuje się na ojca komunistę, na jego śmierć w Auschwitz, na matkę komunistkę w Hamburgu... Żona Honeckera robi to na prośbę matki Biermanna, która jeszcze przed wojną doskonale знаła rodzinę Margot.

„Ojciec Margot był towarzyszem broni mojego dziadka. Ona i ja byliśmy dziećmi komunistycznej proletariackiej szlachty. Ojciec Margot, szewc, członek komunistycznej partii w Halle an der Saale, mój dziadek, robotnik budowlany, członek czołowej kadry partyjnej w Hamburgu. Kiedy w latach 20. i na początku lat 30. w Hamburgu odbywały się centralne spotkania, Saksończycy z czerwonego Halle nocowali u nas, a kiedy spotkania odbywały się u nich, my nocowaliśmy w Halle u nich”.

Wolf rozmawia z Margot szczerze i bez obaw; będzie dalej żyć i pisać po swojemu. Próbuje jej wytłumaczyć, co partia robi źle, że trzeba zmian. Klóć się o politykę Chruszczowa, klóć się o wszystko. Biermann proponuje wymianę politycznych kadr.

Po takiej rozmowie każdy inny opozycjonista zniknąłby w otchłani reżimu, lecz nie Biermann. Co go chroni? Co sprawia, że udaje mu się przeżyć tyle lat w NRD, mimo że krytykuje reżim? Wzrastająca popularność mimo zakazu występów? Ojciec zamordowany w Auschwitz? Sentymenty przedwojenne?

Jego popularność i rozpoznawalność pomimo izolacji w domu była tak wielka,

że nawet zbrodniczy system Stasi nie odważył się na więcej. Czytając książkę, myślałam wielokrotnie, że bałabym się takiego człowieka jak Biermann. Jego młodość dobrowolnie przeniesiona na Wschód to represje, szykany, wykluczenia, zakazy, izolacja. A on nic. Dalej trwał przy swoim. Nieobliczalny. Nieprzewidywalny. Pyskarty. Naznaczony i nierozdzielnie związany z żydowskim ojcem komunistą. Wspomina, że często się bał, ale jeśli to jest strach, to jakaś jego inna odmiana.

„Właśnie my, opozycjoniści, trzymaliśmy się kurczowo komunizmu. W naszej nienawiści do stalinistów podobala nam się teoria totalitaryzmu Hannah Arendt: Stalin równa się Hitler. W tej konstrukcji nie było istotne, który z nich zabił więcej ludzi. Człowiek zawsze nienawidzi najbardziej tych, którzy są najbliżej. Dlatego myślałem niekiedy w mojej rozpacz, jak to dobrze, że ojciec miał to szczęście, że został zabity przez swojego śmiertelnego wroga w nazistowskim obozie koncentracyjnym, a nie przez własnych towarzyszy w gulagu”.

X. PRZYGODA ZA PRZYGODĄ

Wiele jest pięknych poetyckich zdań w tej książce, wiele obcych Polakowi przemyśleń, tym bardziej ciekawych i godnych kilku tłumaczy, w tym jednego wybitnego poety tłumacza. Przeciętny tłumacz z tą autobiografią sobie nie poradzi.

Biermann w każdym rozdziale snuje opowieść, a gdzieś w środku i pod koniec każdej historii zamyka je w jednym zdaniu. Jest świetnym pisarzem, ale zawsze zwycięża poeta. To zdanie spada na czytelnika niespodzianie. I chociaż robi to wielokrotnie, w każdym rozdziale, to za każdym razem to zdanie jest niespodzianką i przeżyciem. Poezja, której nie przytoczę, bo nie potrafię jej przetłumaczyć.

Równocześnie każdy rozdział opisuje nieobliczalnego człowieka, który z dużym dystansem spogląda na samego siebie i jest bezkompromisowy wobec innych. Nie był kryształowy. Był draniem? Był. Mierzył wysoko? Mierzył. Lubił kobiety? Lubił. Zdradzał kobiety? Zdradzał. Wystarczy wspomnieć, że miał trzy żony, jego wieloletnią partnerką była m.in. aktorka Eva-Maria Hagen, matka słynnej Niny.

Z tych związków pochodzi wiele dzieci własnych i adoptowanych. Łatwo się pogubić. Kobiety kochały Wolfa. On sam nie chwali się tym, raczej dziwi, bo przecież Biermann jest wąsaty, niewysoki, ot, taki sobie.

Czy zdradził przyjaciół, towarzyszy drogi? Nigdy. Ale zdarzało się, że w swoich urojeniach podejrzewał przyjaciół o zdradę. W zasadzie się nie mylił, jak po upadku muru pokazały tajne śledztwa, dokumenty. Zdrady najbliższych przyjaciół, łamanych i szantażowanych, w tym 20-punktowy plan „rozkładu osoby Biermanna” stworzony przez Stasi. Plan zakładał, aby przez naciski i szantaże wpłynąć na jego przyjaciół w NRD oraz matkę w Hamburgu, żeby ta zdystansowała się do syna. Nigdy nie poddała się naciskom.

Ta książka jak żadna inna opisuje zasady działania aparatu Stasi. Polskiemu czytelnikowi, nawet obeznanemu z metodami bezpieki w PRL, niejednokrotnie staną włosy na głowie. Dobrze, kiedy Polak w Polsce dowie się, że w NRD ludzie wychodzili na ulicę. Zdarzało się, że wychodzili nie tylko, kiedy drożały ceny żywności, lecz także w obronie wartości najwyższych.

„Represje w NRD były szerzej zakrojone i dotkliwsze niż nad Wisłą. Przykładem opisywana przez Biermanna historia młodego elektryka z Halle, który miał zamiar napisać na murze farbą trzy słowa: »Biermann ma rację«. Nie dokończył dzieła, bo został spłoszony. Mimo to Stasi robiło wszystko, żeby go złapać: udało się po dwóch latach – robotnik poszedł do więzienia” (Grotowicz).

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Joanna Pollakówna*

Deszcze i o rehabilitacji Galileusza

Niech stromo spada.

Pojednane z ziemią
niebo glinę bada rżęsami
ból chmury otęchl

Deszcze błogosławieństw
krople ulewy
pociski jądrowe
wszystko przygarnie z jednakową siłą
ziemia czuło-wrażliwa.

Tak uczył Galileusz
dziś już oczyszczony
z grzechu kłamstwa przeciwko najświętszej harmonii
zwrócony błogiemu niebu.

lipiec '68



***Joanna Pollakówna** – 1939–2002, poetka, eseistka, historyk sztuki. Autorka licznych tomów wierszy, prac o malarstwie polskim i europejskim, a także książek dla dzieci. Córka Seweryna Pollaka i Wandy Grodzieńskiej. Wiersz za: Joanna Pollakówna, **„Wieczność dopełni. Wiersze z lat 1958–2002”**, wyb. Jan Zieliński, PIW, Warszawa 2023.



Autobiografii Biermanna udaje się coś więcej. To nie tylko książka historyczna, wspomnienia barda i opozycjonisty, filozoficzne rozprawy, to przygoda za przygodą, pościgi, romanse, kłótnie, podsłuchy, zdrady, podejrzenia, sensacja goniąca sensację, śmierć przyjaciół, represje... Pada mnóstwo nazwisk, dla nieobeznanych z realiami NRD tamtych czasów brzmiących obco, ale Biermann opowiada o nich tak, że nie stanowi to żadnej przeszkody. Poznajemy ludzi, którzy tworzyli opozycję energową, aparat polityczny, jak w sensacyjnej książce szpiegowskiej.

Czy ta detaliczność może polskiego czytelnika przerosnąć? Taka obawa jest nieuzasadniona. Niemiecki czytelnik zachodni kompletnie nie zna nazwisk ludzi ze Wschodu, nie interesuje się nimi i nie ma pojęcia o strukturach ówczesnej NRD, a czyta wspomnienia z wypiekami na twarzy. Z drugiej strony wiele jest tam nazwisk doskonale znanych: Jeana-Paula Sartre’a, Joan Baez, Rudiego Dutschkego, Roberta Havemanna, Martina Walsera, Spielberga i Spielmanna.

XI. WYDALONY

Po przymusowym osiedleniu się w Republice Federalnej postawa Biermanna nie uległa zmianie: „Życie na Zachodzie w tamtych czasach nadal wydawało mi się egzystencją na ziemi niczyjej zimnej wojny między Wschodem i Zachodem. (...) NRD pozostawiłem za sobą, ale także na Zachodzie chciałem pozostać synem swego ojca, wiernym naszej komu-

nistycznej religii”. Stąd też Biermann z bezwzględnego krytyka stosunków w NRD staje się bezwzględnym krytykiem życia w RFN.

W sumie mimo takiej biografii potrzebował na ostateczne zerwanie z komunizmem prawie 30 lat. Dlaczego tak długo? – zastanawia się Grotowicz i odpowiada sam sobie: „Z dziecięcej miłości do wiecznego ojca”.

A Biermann odpowiada tak: „Kosztowało mnie to wiele wysiłku, ale wreszcie mogłem swobodnie odetchnąć, powrócić do starej, dobrej melancholii, która nie oznacza leniwego pogrążania się w smutku. Melancholia to z pewnością nie romantyczna rezygnacja, lecz siła umożliwiająca takie przetrzymanie, wręcz zrównoważenie żywotnej sprzeczności między uzasadnioną rozpaczą a uzasadnioną nadzieją w człowieku, które zapobiega stoczeniu się w niszczące wygodnictwo po tej czy innej stronie”. ●

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

„Tunel”, „Magik” i „Książę” – kryminały historyczno-polityczne Magdaleny Parys – na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl



Dla was, Polaków, to Galicja, dla Ukraińców to Hałyczyna, która 700 lat była pod okupacją.

Z PROF. **NORMANEM DAVIESEM**
O JEGO OSTATNIEJ KSIĄŻCE „GALICJA”
ROZMAWIA **MACIEJ STASIŃSKI**

Polska miała trzy zabory przez ponad 140 lat, ale monografię poświęcił pan tylko jednemu, austriackiemu – Galicji.

– Po części z powodów osobistych. Kiedyś mieszkalem i studiowałem w Krakowie i wszyscy Polacy, których poznałem, mieli korzenie galicyjskie. Także rodzice mojej żony stamtąd pochodzili.

Ale nie tylko dlatego. To prawda, że zabór austriacki nie miał tak kluczowej roli w dziejach Polski jak królestwo kongresowe czy zabór pruski. Ale budzi bardzo ciekawe pytania. A dla Polaków szczególnie, bo jak wiadomo, przeszłość to obcy kraj.

Galicja nie tylko była bardzo różna od Kongresówki, ale bardzo różna od konwencjonalnych wyobrażeń Polaków. Była dynastyczną posiadłością Habsburgów, ale przede wszystkim była wyjątkowo wieloetniczna. Nie była częścią polskiego społeczeństwa, zachodnia Galicja z Krakowem może tak, ale jako całość – wcale nie. Tam mieszkali Polacy, Ukraińcy, Rusini i Żydzi. I ta „konkurencja etniczna” była sprawą kluczową.

Każda z tych społeczności, czy narodów, ma po dziś dzień własną pamięć swojej Galicji...

– Bardzo prędko sobie z tego zdałem sprawę. Nie tylko pamięć jest inna. Także historiografia tych ziem, np. polska, jest zupełnie różna od ukraińskiej czy żydowskiej.

Polacy zawsze o niej piszą jako o części dawnej Rzeczypospolitej zagarniętej i „powróconej do macierzy”. Ale dla Ukraińców to Hałyczyna, czyli przede wszystkim wschodnia Galicja, bo o zachodniej, czyli o Krakowie, wcale nie piszą. I dla nich Hałyczyna przez 700 lat była pod okupacją. Pierwszy polski król, który tam panował, czyli Kazimierz Wielki, to pierwszy polski okupant, podobny do Rosjan czy Austriaków później. Polacy to wyłącznie okupanci, a polscy magnaci w latach zaboru austriackiego, jak Potoccy czy Ledóchowscy, są niczym Austriacy. Ukraińscy historycy, głównie z Ukrainy zachodniej, piszą o Polakach tak jak Polacy o Rosjanach lub Niemcach.

Widać to choćby w muzeum zachodniej Ukrainy we Lwowie. Ukraińcy, zwłaszcza ci z zachodu kraju właśnie, nie przyjmują do wiadomości, że Polacy byli większością we Lwowie. Ci z Kijowa, znad Dniepru i ze wschodu dzisiejszej Ukrainy już inaczej na to patrzą, bez tego skrajnie nacjonalistycznego zacietrzewienia zrodzonego u początków XX wieku.

Dla Żydów z kolei liczy się przede wszystkim pamięć i rekonstrukcja życia żydowskiego w dawnej Galicji. Widać to w Muzeum Galicji w Krakowie. To ziemie utracone, zaginiony ład. Nikt tak nie pamięta Franciszka Józefa jak Żydzi. Kiedy upadało imperium, Żydzi niechętni byli nowej Polsce. Bali się jej.

Te trzy opowieści są od siebie radykalnie różne. Kiedy to pojąłem, uznałem, że połączę je w jedną opowieść. Wyzaczyłem sobie misję rekonstrukcji całej rzeczywistości tego kraju, gdzie przez kilkaset lat kilka narodowości mieszało razem i obok siebie, czasem dobrze, czasem źle.

O sile ukraińskiego nacjonalizmu przekonałem się we wczesnych latach 90. jako korespondent hiszpańskiej prasy. Poznałem we Lwowie Jurija Szuchewycza, syna Romana, ostatniego dowódcy UPA. Świeżo wrócił z łagru po 30 latach i był ślepy. Nie chciałem z nim rozmawiać po rosyjsku, więc mówiliśmy po polsku. Doskonale rozumiał i mówił. I nie miał



KAZIMIERZ WIELKI, PIERWSZY OKUPANT

nic przeciw temu, bo byłem reporterem hiszpańskim. Ale kiedy mój kolega z „Wyborczej” próbował z nim rozmawiać po polsku o tragicznej przeszłości polsko-ukraińskiej, Szuchewycz rzucił się na niego z łaską...

– W książce publikuję fotografię z demonstracji w Toronto, gdzie Ukraińcy mają transparenty „Polacy mordercy!”, mówią o 250 tysiącach jeńców ukraińskich w obozach i tak dalej.

W latach 70. poznałem na Harvardzie w USA historyka Omelana Pricaka i jego kolegów z ośrodka studiów ukraińskich. Oni wszyscy studiowali przed wojną we Lwowie i na Harvardzie rozmawiali między sobą po polsku, bo po polsku mówili lepiej niż po ukraińsku. Ale Pricak był dumny z tego, że urodził się w 1919 jako obywatel Zachodniej Ukrainy!

Ten nacjonalizm po dziś dzień nie pozwala im uporać się z własną historią, np. z rzezią wołyńską.

– Owszem. Jestem bardzo ciekaw, jaka będzie reakcja na moją książkę w Ukrainie. Dla wie-

lu to będzie szok, że ktoś tak może pisać o Żydach czy Polakach.

Teraz Ukraińcy mają inny problem z Rosją i Rosjanami. Ale własnej historii, choćby tej galicyjskiej, jeszcze muszą się uczyć. Pewnie trudno im będzie przetrwać moją książkę, bo wielu z nich nie rozumie, że o Polakach w Galicji można nie pisać wyłącznie źle. O okrutnych polskich panach i ciemniejszych rusińskich chłopach. To także prawda, ale nie cała, bo bywało też inaczej.

Jak się widzi takie morderstwa, jakich w Izraelu dokonuje Hamas, nie sposób nie przypomnieć, że podobne były na Wołyniu. Na Zachodzie ludzie wiedzą o Holocauście, ale o pogromach w Ukrainie wcale.

Galicję spotkał katastrofalny koniec w czasie II wojny światowej. Wcześniej w 1918 roku Galicja umarła politycznie jako twór w ramach cesarstwa Habsburgów. To był nawet ładny koniec, gdy ostatniemu cesarzowi w Hofburgu poddany mówił: – Wasza Cesarska Mość, taksówka czeka.

Jednak potem dalej mieszkali tam ci sami ludzie. I dlatego nie skończyłem historii na

1918 roku, ale dopisałem dwa ostatnie rozdziały.

Bo w latach 1939–45 Galicja została zamordowana społecznie, kulturalnie, a nawet biologicznie. Społeczeństwo, którego przez 200 lat istotą było współzycie różnych nacji, zniknęło zupełnie.

Stereotypy, zwłaszcza narodowe, są najłatwiejsze. Trudniej malować wszystkimi kolorami, a taka wielobarwna była Galicja.

Polacy też mają swoją pamięć o Galicji felix, ale historycy potrafią o niej pisać krytycznie, także o polskim kolonialnym panowaniu w Ukrainie...

– O tym wiele już napisano. Natomiast nie pamięta się, że wielu Polakom z Galicji wcale nie spieszyło się do nowej Polski w 1918 roku. Likwidacja Galicji austriackiej i jej powrót w całości do Polski wcale nie były oczywiste. Polacy czekali dwa tygodnie i nie wiedzieli, co robić, aż Ukraińcy zajęli Lwów. W 1918 roku Legionów już nie było ani we Lwowie, ani nigdzie, bo zostały rozwiązane. Ignacy Daszyński wiedział, co robić, i przedostał się do Lublina, spotkał się z Piłsudskim, ale wielu galicyjskich Polaków czekało, wahało się, co dalej.

W marcu 1918 roku wyglądało na to, że niepodległości nie będzie i że Niemcy będą rozdawać karty. Dopiero gdy wypuścili Piłsudskiego z Magdeburga, wszystko się zmieniło.

Ostatnich gubernatorów cesarskich, na przykład we Lwowie, nie wypędzili Polacy, lecz Ukraińcy. Albo wycofali ich sami Austriacy. W Galicji nie było polskiego powstania przeciw cesarstwu. Ono się samo zawaliło.

W Cieszynie austriacki major, ostatni komendant cesarski, w listopadzie 1918 roku opuścił zamek, poszedł na rynek i rzucił klucze do zamku chłopcom na rynku ze słowami: „Bawcie się dobrze!”.

Galicja była od połowy XIX wieku przez dziesiątki lat krajem emigracji wszystkich nacji. Wyjeżdżało po kilkadziesiąt tysięcy ludzi rocznie. W Argentynie poznałem miejscowego wielkiego magnata sojowego Gustavo Grobocopatela, czyli „grabarza”, „kopacza grobów”. Jego dziadkowie wyjechali z Galicji.

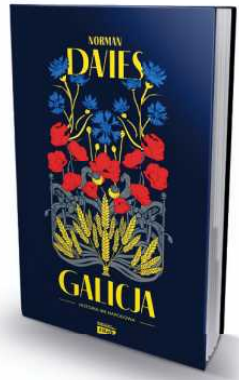
– Emigracja to kluczowe zagadnienie. Galicja jest podobna do Irlandii. Dzisiaj Irlandia ma 5 mln ludności, ale w XVIII wieku miała 8. W USA mieszka 30 mln pochodzenia irlandzkiego.

Z Galicją podobnie. Polacy wyjeżdżali głównie do USA. Jackowo w Chicago to potomkowie Polaków głównie z Galicji. Ukraińcy wyjeżdżali do Kanady i do USA. Żydzi przede wszystkim do Nowego Jorku, gdzie dzisiaj jest największe skupisko chasydów na świecie, ale i do Argentyny.

W Galicji mieszkali też Niemcy osiedlani przez Marię Teresę i Józefa I, którzy założyli około 100 niemieckich kolonii, protestanckich i katolickich, m.in. koło Nowego Sącza czy pod Lwowem.

I niemieckie osadnictwo też skończyło się w czasie II wojny. Niemców wyrzucili stamtąd sami hitlerowcy, przesiedlając ich do Wartheland, czyli w poznańskie. ●

Wydana przez Znak „**Galicja**” Normana Daviesa dostępna w dobrych księgarniach, na stronie wydawnictwa i w formie e-booka na Publio.pl



Ciągle czekam na reakcję ojca

**Jeśli nie bierzesz ślubu kościelnego, rodzice płaczą, że bez księdza się nie liczy.
Kiedy robisz wesele bez księdza, okazuje się, że sukienka jest zbyt tradycyjna**

MACIEJ MARCISZ*

– Śmichy-chichy, ale to naprawdę może się źle skończyć – mówi siostra mojego chłopaka.

– Oła... to przecież normalny człowiek. Trochę przesadzasz – odpowiada jej mąż.

– Przynajmniej będzie się coś działo. Trochę mam już dosyć pudroworóżowych wesel milenialsów z fajnymi rodzicami tańczącymi do piosenek sanah. Chętnie przeżyję coś innego – dodaję.

Mój chłopak przysłuchuje się, uśmiecha i milczy. Już wkrótce wybieramy się na wesele jego bra-

Próbujemy dociec, jakie wesele nas czeka. Czy będzie pieczony świniak wjeżdżający o północy w akompaniamencie fanfar? Pokaz tańca brazylijskiego? Dwugodzinny seans stworzonych przez znajomych wideoniespodzianek, zabawnych wyłącznie dla znajomych? A może któraś z żenujących zabaw? Kiedy się odbywają, faktycznie są żenujące. Ale kiedy ich nie ma, robi się jakoś pusto i smutno, obrzęd bez obrzędu.

Próbujemy namówić ich na opowieści o przedweselnym dramacie. Przecież zawsze jakieś są. Panna mło-

– Wszystko świetnie. Tylko ta sukienka... myślałam, że Basia wybierze coś bardziej minimalistycznego. A tam tyle koronek! Za dużo, za ciężko.

– Ale skoro taka jej się podoba?

– Szkoda, że nie podobały jej się inne.

Czyli zawsze musi istnieć choć cień rodzicielskiej opresji? Jeśli nie bierzesz ślubu kościelnego, rodzice płaczą, że bez księdza się nie liczy. Kiedy robisz wesele bez księdza, okazuje się, że sukienka jest zbyt tradycyjna.

– Czy będą górale? – pytam.

– A dlaczego mieliby być górale?

Pytam, bo moja mama w ramach niespodzianki na wesele mojego brata zamówiła występ górali. To był hit. Kiedy kapela weszła na parkiet i zaczęła wydawać gościom polecenia, zaczęła się prawdziwa zabawa. Wtedy zrozumiałem, że wcale nie jest tak, że gdy ludzie mogą się bawić, jak chcą, to faktycznie się bawią. Zabawa to umiejętność jak każda inna i niektórzy po prostu nie wiedzą, jak się do tego zabrać.

Łapię się na tym, że zawsze, kiedy próbuję wypaść na osobę w normie, mówię coś na temat mojego rodzeństwa. To w końcu wydaje się właściwe i rzeczywiste: mieć rodzeństwo, siostrzeńca, bratanić, brać udział w rytuałach, wiedzieć, jak wygląda sytuacja w żłobkach. Mówiąc o nich, próbuję ukryć moje nieprzystosowanie do twardego świata, zamaskować szybką, która oddziela mnie od rzeczywistości.

– Oj, nie – kwituje. – Mam dość tej cepelii i polskiej prząsności. Nie będzie górali i nie będzie oscypków. Będą makaroniki.

Po chwili zaczynam się obawiać, czy pytanie o górali było w ogóle na miejscu. Postanawiam zrobić wszystko, by nikt z rodziny mojego chłopaka nie stwierdził, że jestem dziwny, zbyt wrażliwy, zbyt wyniosły, zdystansowany lub zbyt do przodu. Patrzę przez szybę samochodu na osłonecznione góry

FOT. SHUTTERSTOCK



ta. Po kilku latach wreszcie poznam rodzinę. I konserwatywnego ojca, przez którego wszystko może się źle skończyć.

Przez lata uwielbiałem chadzać na wesela, szczególnie w trakcie studiów. Myślałem o nich jak o jednodniowych all-inclusive, mogłem jeść i pić bez ograniczeń. Miałem w sobie, wtedy jeszcze nieświadomą, tęsknotę za rodzinnym domem, a myśl o tradycyjnym jedzeniu przynosiła mi komfort i ulgę. Za to all-inclusive płaciłem towarzystwem, tańcem i udawaniem chłopaka moich z roku na rok coraz bardziej niezamężnych przyjaciół. Byłem etatowym partnerem do wynajęcia. Odwiedzałem wesela wiejskie i miejskie, w remizach, górach i Łazienkach Królewskich. Wcielałem się w rolę życzliwego obserwatora podbijającego cudze parkiety. Wśród rodzin obcych ludzi pojawiałem się jak ktoś spoza. Towarzyszyła mi odprężająca świadomość, że już nigdy ich nie zobaczę. Że jestem kosmitą z planety tak odległej, że uda mi się odwiedzić ich tylko raz. Ta sytuacja jest inna. Poważniejsza.

Kilka dni przed weselem para młoda odwiedza Warszawę i zostaje u nas na noc. Od kilku lat mieszkają w Stanach, przywożą nam w prezencie czapki z LA Lakers. Brat mojego chłopaka jest programistą. Wypowiada się na każdy temat w sposób pewny i rzeczowy. Tłumaczy nam, jak działa rzeczywistość, jakby znał jej kod. Słucham go i myślę, że programiści to prawdziwa arystokracja współczesnego świata. Inni ludzie żyją ze świadomością, że rzeczywistość wymyka im się z rąk. Ale nie oni.

da odpowiada na pytania z lekkością, bez narzeczeńskiej presji, z wewnętrznym spokojem osoby, która miała szczęśliwe dzieciństwo. Nigdy nie widziałem równie wyluzowanej pary naręczonych, tak jakby wesele miało wydarzyć się obok nich.

– Jak urządzasz wesele za własne pieniądze, to nie masz się czym przejmować – mówię.

Przypomina mi się diagnoza dotycząca współczesnego zawierania małżeństwa: kiedyś było kamieniem węgielnym oznaczającym wejście w dorosłość, wyprawę z domu, rozpoczęcie nowego rozdziału. Dziś jest głównie potwierdzeniem tego, że wszystko masz już w życiu ułożone.

Wesele, które nas czeka, wygląda po prostu na imprezę, której najważniejszą funkcją jest to, że ma zostać zorganizowana. Dla mnie to jednak mniej wesele, a bardziej dwa dni ojca. Poruszamy jego temat.

– Nic takiego się nie stanie – odzywa się brat.

Mężczyźni zawsze mówią, że nic się nie stanie.

– Wasza siostra powiedziała kiedyś, że jest jak postać z Dostojewskiego – wtrącam.

– Ale co to właściwie znaczy?

Pozostawiam pytanie bez odpowiedzi. Wizja rodzinnej katastrofy układa mi się w głowie sama. Wesele w wyobrażeniach zwykle występują tylko w dwóch opcjach: rodzinnej tragedii lub komedii obyczajowej.

W dniu imprezy odbiera nas mama panny młodej. Po kilku wypowiedzianych przez nią zdaniach czuję, że na pewno brała udział w „czarnym proteście”. Że jest w naszej drużynie. Pytamy, jak przygotowania do wesela.

i zastanawiam się, na które cechy swojej osobowości postawić. W finale, kiedy dojeżdżamy do hotelu, mam już mocne postanowienie, by nie mieć żadnych cech. Wsiadamy z samochodu.

– Jest już? – pyta kogoś mój chłopak.

– Nie, jeszcze go nie ma.

Nie chcemy przyznać, że wizja spotkania z ojcem nas stresuje. Udajemy obojętność. Udajemy, że nas to wszystko nie obchodzi. Nadrabiamy ironią. Czuję coś, czego nie czułem od bardzo dawna. Mały strach.

Konrad obwieszcza, że idziemy na spacer, tak od razu. Zgaduję, że stąd uciekamy. W każdym mieście jest taka atrakcja: baszta na szczycie małej góry. Zbliżamy się do niej. Wchodzę białymi adidasami w błoto, praktycznie po kostki, i zupełnie tracę humor. Mówię Konradowi, żeby szedł dalej, ja tu poczekam. Siadam na skałę, odblokowuję telefon, z ulgą stwierdzam, że internet działa szybko. Odpalam najnowszy odcinek „RuPaul’s Drag Race”. Promienie słoneczne wbijają się w moją twarz jak cyrkiel, ptaki śpiewają, obok przechodzą ludzie, którzy też postanowili odwiedzić basztę. Ja oglądam drag queens. Myślę: w tej chwili jestem żywą kliszą, co za wstyd. Myślę: to kolejna historia, o której nie powinni się dowiedzieć. Jest w nas tyle rzeczy, których nie da się wyjaśnić w dwóch słowach. Wracamy do hotelu i robimy sobie drzemkę.

Wybija godzina zero. Czytamy scenariusz wesela: siedemnasta trzydzieści – obiad. Osiemnasta czterdzieści pięć – tort. Dwudziesta trzydzieści – pierwsza potrawa gorąca. Dwudziesta trzecia – druga potrawa gorąca,

dwie godziny później – trzecia potrawa gorąca. Ślub odbył się jakiś czas temu w Stanach, dzisiejsze wydarzenie nie ma żadnej mocy formalnej. Przydzielono nam miejsce przy stoliku dorosłych, razem z siostrą mojego chłopaka, jej mężem, ich dziećmi i dziesiątką kuzynek i kuzynów.

Siedzę grzecznie i jem, uśmiewam się, ale nie za szeroko. Staram się zrobić dobre wrażenie na wujkach i kuzynach poprzez ochotcze zgadzanie się na kolejne toasty. Tak naprawdę jednak tylko moczę usta w kieliszku i udaję. Alkohol wywołuje we mnie zbyt szybką senność, a chcę zachować jasność umysłu. Co jakiś czas przelewam wódkę z kieliszka do szklanki z sokiem, a przy najbliższej okazji porzucam szklankę w odległym od naszego stołu miejscu. Mam nadzieję, że mój spisek nie wyjdzie na jaw. Obserwuję ojca. Siedzi dwa długie stoliki za nami, nasze spojrzenia nadal się nie skrzyżowały. Wygląda na strapionego, ale nie potrafię powiedzieć, czy to strapienie terazniejszą sytuacją, czy raczej postawa egzystencjalna.

Przenosimy się do drugiej sali, strefy osób niepełnoletnich i starszych.

– To kiedy wnuki? – pyta nas jedna z cioc.

– Z tym panem? – odpowiada Konrad.

– Mnie tam obojętne! Ale wnuki muszą być.

Rozmawiamy z ciociami, babciami, kuzynkami w ciąży. Pytają, co u nas. Konrad opowiada o rachunkach, gotowaniu obiadów, chodzeniu do pracy i życiu bez przygód.

– Znowu to robisz – mówię mu, kiedy na chwilę zostajemy sami.

– Co?

– Robisz z siebie kaczkę-biedaczkę.

Kaczka-biedaczka to termin, który ukuliśmy jakiś czas temu, przetworzenie motywu starej budy. Tę tendencję do przedstawiania naszego życia w błędnym, smutnym świetle upatruję w wiejskich korzeniach mojego chłopaka. W jego opowieściach, tworzonych szczególnie na potrzeby dalszych znajomych, a teraz również rodziny, nasze życie pełne jest mozołu, powtarzalności, cichej zgody na przykrą codzienność. Rozumiem, że nie należy się przechwalać. Rozumiem, że nie należy ubarwiać. Ale to wydaje mi się za dużo. Bo chyba mamy dobre życie? Mija nas ojciec. Konrad przejmuję jedno z dzieci od siostry, bierze je na ręce, wkrótce ja dostaję drugie. Ukrywamy się za dziećmi. Siedzę i czuję, jak sprawianie dobrego wrażenia odbiera mi siły życiowe. Jestem niby-pogodną, wysychającą roślinką.

Dosiadamy się do cioc w rogu sali. Czuję ich spokój i serdeczność, już wiem, że to bezpieczny kącik. Słucham. Wszystkie rodziny, które znam, mają typologię, gdzie na każdego członka i członkinię przypada jedna, ewentualnie dwie cechy. Rozwodnik. Gwiazda. Biznesmen. Informatyk. Matka wielu dzieci. Przebojowa księgowa. Pechowiec. Zaradny. Zapalona podróżniczka. Całe życie sprowadzone do maksymalnie dwóch słów. Jestem ciekaw, jakimi ja zostanę obdarowany po zakończeniu imprezy.

Gubię się w opowieściach o rodzinnych intrygach, nie rozumiem koligacji i pół konfliktu. Jestem z młodej rodziny, wszystkie osoby można policzyć na pal-

*Myszę o moich
dziadkach, którzy
w finale jakoś,
lepiej lub gorzej,
pogodzili się z tym,
że mam chłopaka.*

*Zastanawiam się, czy
wszyscy nie upupiamy
starszych, kiedy nie
dajemy im szansy na
konfrontację*

cach obu rąk. Odpyłuję. Jak przez mgłę dochodzą do mnie rozmowy.

– No i wtedy miałyśmy akurat dużo wydatków, to też było przed weselem. Na wszelki wypadek złożyłyśmy wniosek o kartę kredytową. W końcu nie trzeba było, bo sobie poradziłyśmy, ale już ta karta została. I tak już ją mam z dwanaście lat – mówi jedna z cioc.

– Najważniejsze, żeby co miesiąc trochę nią płacić, a potem szybko spłacać. Jak się tak robi, to można korzystać.

– Tak, trzeba mądrze korzystać.

Słuchamy piętnastominutowej opowieści o genezie wejścia w posiadanie przez ciocię kart kredytowych. Myślę: czyli... zwykłe życie? Czyli docenianie codzienności? Rozpaczliwie próbuję z nudy wyciągnąć dla siebie jakąś korzyść, jakąś lekcję. Ale może nie ma żadnej lekcji i jesteśmy skazani na przeżywanie wielu godzin bez znaczenia. Może nuda jest po prostu ofiarą, jaką należy złożyć na ołtarzu dobrych relacji rodzinnych. Może to spektakl, w ramach którego nudzą się wszyscy, nie tylko ja.

– Ale miło się z wami rozmawia. Jak miło z wami płynie czas – mówi najstarsza z cioc. Może temat rozmowy nie jest w ogóle ważny. Może należy mówić cokolwiek, co akurat przyjdzie do głowy, i liczyć, że ludzie zrozumieją, że w ten sposób okazujemy im miłość.

Ogłaszam, że idę na parkiet. Tańczę, nie za szybko, niezbyt popisowo, trzymając się wewnętrznych wymogów przezroczystości. Ciągłe czekam na reakcję ojca. Podchodzi do mnie siostra Konrada. Pyta, jak jest. Przyznaję, że to jeden z najnudniejszych dni mojego życia.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę. To najlepszy możliwy scenariusz – łapie mnie za ramię, ściska je lekko i przechodzi tanecznym krokiem do kolejnych gości.

Tak bardzo potrzebuję, żeby wreszcie wydarzyło się coś definitywnego. Myślę o moich dziadkach, którzy w finale jakoś, lepiej lub gorzej, pogodzili się z tym, że mam chłopaka. Zastanawiam się, czy wszyscy nie upupiamy starszych, kiedy nie dajemy im szansy na konfrontację. Podejmuję decyzję. Spinam się i próbuję aktywować w sobie wszystkie cząstki męskości, stanowczości, czegoś szorstkiego. Szukam wzrokiem ojca. Podchodzę do niego.

– Dzień dobry. Chciałbym się przedstawić – mówię i wyciągam rękę.

Podaje mi ją, ściska mocno, ale nie na tyle, bym mógł podejrzewać, że chce mnie zmiążdżyć. Odpowiada krótko, że miło mnie poznać i że ma nadzieję, że dobrze się bawię. Możliwe, że jest w tym jakiś szacunek. Odpowiadam, że bawię się znakomicie. Że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Chcę pokazać, że mam to pod kontrolą, czymkolwiek jest „to”. Mówi jeszcze raz, że miło mnie poznać. Zastanawiam się, czy powinienem przejść do rundy uprzejmych pytań, ale decyduję, że to może za dużo jak na pierwsze spotkanie. Rozchodzimy się.

– I co, nie było tak strasznie, jak wszyscy się spodziewali – mówię z triumfem do Konrada.

– Ale w jakim sensie?

– Nie widziałeś? – wskazuję oddalającą się sylwetkę.

– Przedstawiłem się twojemu tacie.

– Temu tam? To przecież nie mój tata. To chyba ktoś z rodziny panny młodej.

Możliwe, że wszyscy naburmuszeni mężczyźni po sześćdziesiątce wciśnięci w ciemne garnitury wyglądają podobnie. Mogło mi się pomylić. Zaczynamy się śmiać.

Śmiejemy się z tego aż do końca wesela, w trakcie występów dzieci, drugiego ciepłego dania i trzeciego ciepłego dania.

Śmiejemy się tak długo, aż robi nam się smutno. ●

***Maciej Marcisz** – ur. w 1988 r., autor **„Taśm rodzinnych”**, jednego z najczęściej komentowanych debiutów ostatnich lat, i **„Książki o przyjaźni”**. Opowiadania publikował w „Wakacie”, „Piśmie” i „Vogue”. Obie jego książki dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków na Publio.pl.



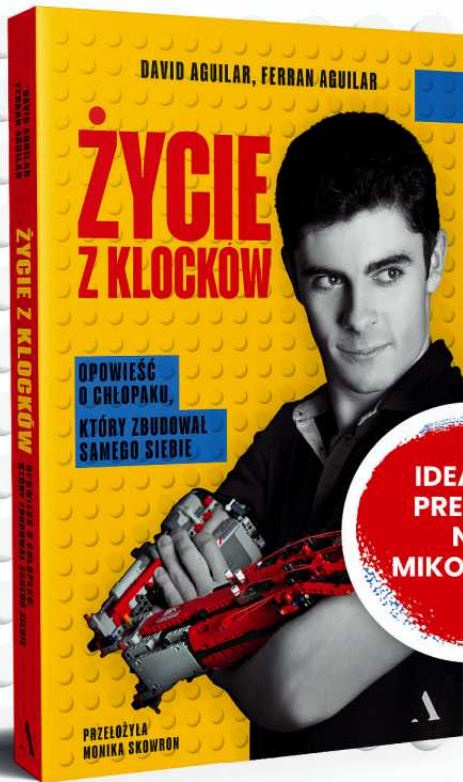
34248365

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

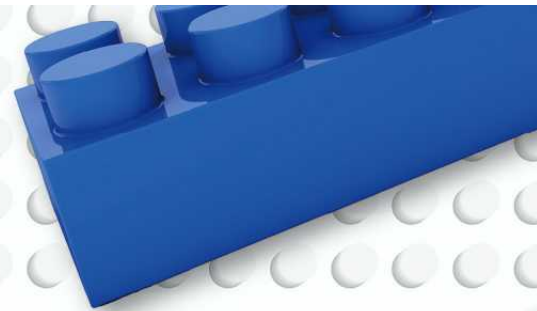


**ISTNIEJE WYSOKIE
PRAWDOPODOBIENSTWO,
ŻE PO LEKTURZE TEJ
KSIĄŻKI W SŁOWIE
„NIEMOŻLIWE” RZADZIEJ
BĘDZIESZ WIDZIEĆ „NIE”,
A ZDECYDOWANIE
CZĘŚCIEJ „MOŻLIWE”!**

PRZEMEK STAROŃ



**IDEALNY
PREZENT
NA
MIKOŁAJKI!**



Z klocków zbudował sobie rękę...
a potem całe życie! Poznaj
fascynującą historię Davida
Aguilara – chłopaka, który urodził
się bez dłoni, ale nigdy nie pozwolił,
by to w jakikolwiek sposób
go ograniczyło. Ta szczerą, czułą
i wypełnioną humorem historia
o uprzedzeniach, lęku przed
odmiennością i walce
o siebie to lektura obowiązkowa nie
tylko dla każdego klockomaniaka!

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

weekendówka
80



Autorem wielu haseł jest **Radosław Czyż**

BARDZO DZIKI ZACHÓD

Dwóch zamaskowanych bandytów wdziera się na kolejową stację telegraficzną, zmusza telegrafistę, by zatrzymał pociąg, a następnie polecił maszyniście uzupełnić zapas wody. Potem krępuje telegrafistę, a następnie, już z dwójką pozostałych kompanów, napada na pociąg, zabija dwóch członków jego załogi, terroryzuje pasażerów, po czym rabuje przewożone koleją pieniądze i papiery wartościowe i odjeżdża odczepioną od składu lokomotywą do miejsca, gdzie czeka ją ich konie.

Jednak uwolniony z więzów przez córkę dróżnik-telegrafista skrzykuje bawiących się w tancbudzie miejscowych, którzy ruszają w pościg. Dopadają rabusiów w górach i wybijają jednego po drugim odzyskując łup.

To „Napad na ekspres” („The Great Train Robbery”) w reżyserii Edwina S. Portera, który 1 grudnia 1903 roku jako pierwsza obejrzała publiczność w sali nowojorskiego Huber’s Museum. Film jak na tamte czasy był bardzo nowatorski, miał plenerowe zdjęcia, podwójną ekspozycję (za oknem stacji telegraficznej widać przejeżdżający pociąg), wreszcie jako pierwszy wykorzystał kaskaderów.

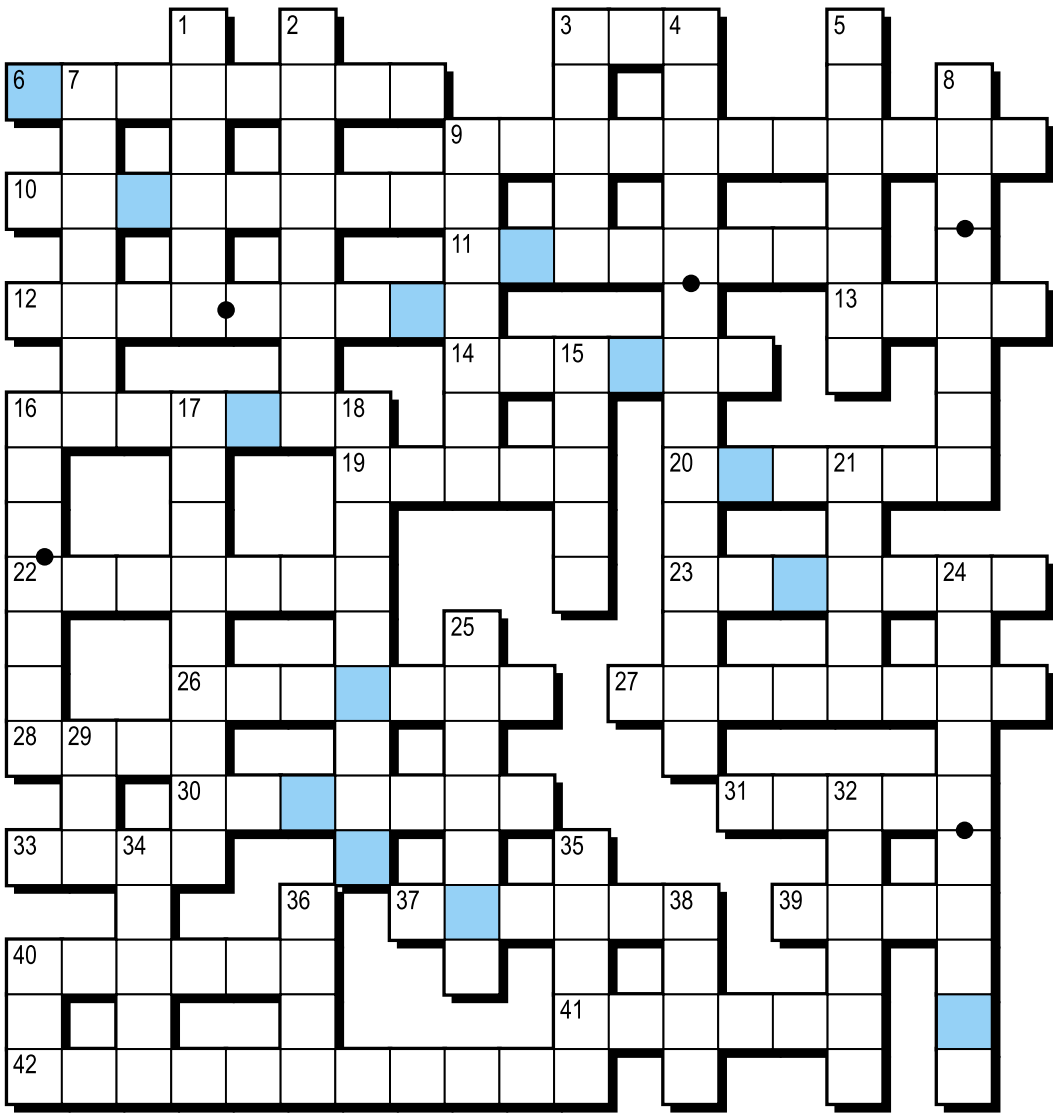
W filmie wystąpił m.in. Gilbert M. Anderson, zwany później „Broncho Billym” – taką bowiem postać wymyślił sam Anderson, który o przygodach swego bohatera (w którego sam się wcielał) nakręcił sto kilkadziesiąt filmów. Ale prawdziwą twarzą „Napadu na ekspres” był Justus D. Barnes, który zagrał jednego z bandytów, ale co najistotniejsze, pojawiał się w ostatniej scenie, na zbliżeniu, kiedy kierował w stronę kamery rewolwer i strzelał. Ekran wówczas pokrywał się czerwienią...

Scena robiła tak ogromne wrażenie na widzach, że ci wskakiwali za fotele, by się uchronić przed strzałem. Mimo to często nalegali, by puszczać to ujęcie zarówno na końcu, jak i na początku filmu – scena zarejestrowana była na oddzielnej rolce, dlatego było to możliwe.

„Napad na ekspres” uznawany jest powszechnie za pierwszy western, ba – pierwszy film fabularny w historii kina. A my, by uczcić 120. rocznicę jego premiery, zapraszamy Państwa na „Westernówkę” – czyli „Weekendówkę” poświęconą westernom i generalnie Dzikimu Zachodowi.

A o pomoc w ułożeniu pytań poprosiliśmy Radosława Czyża, dziennikarza i redaktora „Wyborczej TV”, człowieka, który westerny poważa wielce, obejrzał ich naprawdę masę, napisał o nich tuziny tekstów i zestawiał też składanki muzyki country (bardzo udane, niżej podpisany może to potwierdzić!). ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 79 z 25.11:

Poziomo:

- 2) mapety 6) Toy Story
10) miś 11) straszak
13) kukietka 14) gra
15) zabawa 16) latawiec
17) kolejka 19) klocki
20) Elmo 22) China
24) samoloty 25) Zaucha
26) motek 28) domino
30) harpun 32) diabeł
35) gryzak 36) hula-hoop
37) resorak 38) Carter

Pionowo:

- 1) kostka Rubika
2) maskotka 3) psikawka
4) Tamagotchi 5) huśtawki
7) skakanka 8) oczka
9) mebelki 12) kalejdoskop
18) lalka 21) żołnierzyki
22) cymbałki 23) Scrabble
27) konik 29) Richard
31) puzzle 33) dzieci
34) robot

HASŁO:

PIEKARZYKI

DZIKI ZACHÓD

Hasła Radosława Czyża oznaczono inicjałami (RC). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3)** „Lemoniadowy ...”, czeski film
6) „... Jane” (wysraźtowa rola Doris Day)
9) „W kraju ...” Michaela Curtiza (wpisujemy w mianowniku)
10) miasteczko w tytule westernu z Kevinami Kline’em i Costnerem
11) „Przełomy ...”, w reżyserii Arthura Penna
12) zagrał w 180 filmach, z czego 80 to westerny!

- Rzadko bywał czarnym charakterem (RC)
13) imię legendarnego stróża prawa. Grali go m.in. Kevin Costner i Kurt Russell (RC)
14) nazwisko rodzinki, której nie po drodze z 28 poziomo
16) „Pat ... i Billy Kid”
19) fort w Teksasie, miejsce słynnej bitwy i westernu z 12 poziomo (RC)
20) Ponderosa z serialu „Bonanza”
22) ... bydlą, zatrudniał kowbojów do ochrony stad
23) „Butch ... i Sundance Kid”
26) kółkowy film!
27) „Buffalo Bill i ...”
28) Lucky ..., kowboj z komiksów

- 30)** Wielkie ..., zamieszkiwane m.in. przez Apaczów i Czejenów
31) „... Ballou”, z Jane Fondą
33) ... Cooper („W samo południe”, „Vera Cruz”)
37) imię Hawksa, reżysera 8 pionowo i 34 pionowo
39) 3.10 czy 15.10, taka sama stacja docelowa
40) tam, gdzie rosną kojoty
41) „Fort ...”, z Henrym Fondą i Shirley Temple
42) Old ..., szlachetna błada twarz, brat Winnetou

Pionowo:

- 1)** Lee z westernów 9 poziomo, 31 poziomo, „Zawodowcy”
2) „... Rutledge”, w westernowym dorobku Johna Forda

- 3)** Jesse ..., zabity przez tchórzliwego Roberta Forda
4) bez jego muzyki spaghetti westerny nie podbiłyby świata (RC)
5) osadnik, kolonista
7) stan z hrabstwami Yuma, Apache, Santa Cruz
8) klasyk z piosenką „Mój koń, moja strzelba i ja”
9) „Płonące siodła” Mela Brooksa
15) Sergio, mistrz spaghetti westernu („Za garść dolarów”)
16) „Ostatni pociąg z ...” Johna Sturgesa
17) w miąg wyskakują z kabur
18) nazwisko reżysera „Nienawistnej ósemki” i „Django”

- 21)** „Człowiek zwany ...”, z muzyką 4 pionowo (wpisujemy w mianowniku)
24) „antywestern” Sama Peckinpaha
25) Charles, jeden z siedmiu wspaniałych aktorów
29) z Dzikim Zachodem
32) był nim Maverick grany przez Mela Gibsona
34) „... Czerwona”
35) na bank, na ekspres, na fort, na dylżans...
36) Christian, zagrał w „Hostiles”
38) ... Martin, Dude w 8 pionowo
40) z przypiętymi kaburami

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34225722

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play